

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 9/107

1956



• *«La Culture» • Revue mensuelle •*

J. MIEROSZEWSKI :

DIALOG

A. UZIEMBŁO :

JAK NIEGDYŚ...

ANKIETA "KULTURY"

ANTYSEMITYZM POLSKI

SPIS RZECZY

Juliusz Mieroszewski :	<i>Dialog</i>	3
—	<i>Ankieta „Kultury”</i>	12
K.A. Jeleński :	<i>Od endeków do stalinistów</i>	13
Witold Gombrowicz :	<i>Fragmenty z dziennika</i>	21



Józef Żywina :	<i>Na śmierć Lechonia</i>	31
----------------	---------------------------------	----



Andrzej Bobkowski :	<i>Punkt równowagi</i>	33
---------------------	------------------------------	----

ARCHIWUM POLITYCZNE

Adam Uziembło :	<i>Jak niegdys...</i>	53
Londyńczyk :	<i>Kronika angielska</i>	58

NAJNOWSZA HISTORIA POLSKI

Zbigniew Grabowski :	<i>Tematy napoczęte (I)</i>	65
Janusz Negryński :	<i>„Gospodarka Narodowa”</i>	76

KRONIKA KULTURALNA

Zdzisław Broncel :	<i>Kongres P.E.N.-Club'u i jego pol- skie echa</i>	105
Jan Bielatowicz :	<i>Jan Olechowski</i>	121

K S I A Ż K I

Marian Pankowski :	<i>Rzeczywistość widzialna</i>	129
Adam Czerniawski :	<i>„Ostatnie utwory” Pawlikowskiej</i> ..	134
(AV) :	<i>Lwów oczami Ukraińców</i>	137
ZBM :	<i>Wydawnictwa amerykańskie</i>	143
ZBM :	<i>Wśród czasopism amerykańskich</i> ..	147



M. Hochberg-Mariańska, I.M. Bocheński, O.P., Z. Grabowski, J. Kowalewski, T. Tomaszewski, L. Kruszelnicki, M.E. Rojek, W. Tumas, Z. Marek :	<i>Listy do Redakcji</i>	151
---	--------------------------------	-----

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Wrzesień-Septembre 1956

INSTYTUT



LITERACKI

KATASTROFA GÓRNICZA W MARCINELLE

Wśród setek zabitych w katastrofie kopalni węgla w Marcinelle (Belgia) znajdują się również górnicy polscy. Redakcja „Kultury” przekazuje 1.000 franków belgijskich na Fundusz Pomocy dla rodzin ofiar.

NAGRODA LITERACKA „KULTURY”

Przypominamy, że termin nadsyłania prac na Nagrodę literacką „Kultury” za rok 1956 upływa dnia 31 października 1956.



DALSZE WPLĄTY NA DOM „KULTURY”

Janusz Swieczyc-Wiland, Toronto, Ont. (Kanada)	1.000 fr.
Stanisław Stelmach, New Britain, Conn. (USA), ponownie ..	1.000 ”
Wincenty Radkowski, Chicago, Ill. (USA), ponownie	3.500 ”
Stanisław Kowalewski, Trenton, N.J. (USA), ponownie	1.000 ”
Z. Balko-Niowski, South Yarra, Vic. (Australia), ponownie ..	1.000 ”
Adam Uziembło, Monachium (Niemcy), ponownie	3.000 ”
Janusz Poray-Biernacki, Londyn (Anglia)	3.000 ”
Michał K. Pawlikowski, Berkeley, Calif. (USA)	1.750 ”
Jerzy Roszkowski, Philadelphia, Pa. (USA), ponownie	1.500 ”
A. Zieliński, Kaniama, Katanga (Kongo Belg.)	1.000 ”
H. Kunowska, Elizabeth, N.J. (USA)	400 ”
Wiktor Chmielewski, East Victoria Park, W.A. (Australia) ..	40.000 ”

DZIĘKUJEMY

Dialog

Kilka uwag o charakterze ogólnym. W początku lipca, w czasie zjazdu Pen-Clubów widziałem się kilkakrotnie z członkami delegacji krajowej. Rozmawiałem z wszystkimi z tą różnicą, że z pewnymi panami mówiłem pięć minut a z innymi pięć godzin.

Ponieważ w pewnych kołach emigracyjnych panuje pogląd, iż rozmowy tego typu są równoznaczne z „zejściem z platformy niepodległości” — pragnę przy tej sposobności jeszcze raz podkreślić że w mojej opinii obowiązkiem dziennikarza jest rozmawiać z każdym. Rozmawiałem z p. Brandysem, chętnie pomówiłbym z Gomułką, dałbym wiele za możliwość dłuższej rozmowy z p. Chruszczowem.

Może najbardziej charakterystycznym rysem tego dialogu był fakt, że my wiedzieliśmy o nich wiele — oni o nas, dosłownie nic. Dopiero na tle tej przerażającej ignorancji stają się zrozumiałe takie zjawiska jak biuletyn „Kraj” i artykuły o emigracji spotykane czasami na łamach pism krajowych. Owe dysproporcje występują jeszcze jaskrawiej na polu literatury. My znamy Brandysa od „a” do „z”, nie wyłączając „Obrony Grenady”. Natomiast Brandys o literaturze emigracyjnej nie wie nic.

Jerzy Zawieyski zwierzył mi się, że pewien wybitny krytyk emigracyjny powiedział mu, że na obczyźnie po roku 1939 powstało dziesięć arcydzieł literatury polskiej. „Czy to jest i pańska opinia?” — dopytywał się z wyraźnym niedowierzaniem. Uspokoilem go, że tylu arcydzieł nie możemy, niestety, zaprezentować Krajowi. Ale czyż literatura składa się z arcydzieł? Literatura to są dobre książki. Na emigracji napisano i wydano kilkanaście dobrych książek — dobrych „by any standards” — jakby powiedział Anglik.

Pewne ustroje czułyby się zagrożone u samych podstaw, gdyby obywatelom pozwolono rozczytywać się swobodnie w „Transatlantyku” Gombrowicza. Jest coś upakarzająco żenującego w tym fakcie. Moi krajowi rozmówcy wskazywali z dumą,

że dziś prasę francuską czy angielską można kupić w każdym kiosku w Warszawie. Jeżeli tak jest, to gdzie tu logika? Czy „Transatlantyk” Gombrowicza czy „Koniec „Zgody Narodów” Parnickiego groźniejsze są niż „The Times”?

Skłonny jestem przypuszczać, że pobyt na Zachodzie ułatwił naszym gościom dostrzeżenie pewnych zagadnień w właściwej perspektywie. Przekonali się, że problem Polaków zagranicą nie sprowadza się do konwentykli przedwojennych partii politycznych, którym p. Arski poświęcił tyle czasu, papieru i farby drukarskiej. Można pokpiwać z emigracyjnych partii, rządów i odwiecznych prezesów. Można liczyć na powrót do Kraju jeszcze jednego premiera czy jeszcze jednego znużonego życiem i sobą samym polityka. Ale identyfikować jednych lub drugich z emigracją oznaczałoby widzieć drzewa a nie dostrzegać lasu — na wzór p. Arskiego.

W moim przekonaniu, żaden rząd w Warszawie na dłuższą metę nie może sobie pozwolić na „luksus” ignorowania siedmiu milionów Polaków zagranicznych. Administracja warszawska, przyjmując „wojnę” z emigracją jako element stały, musiałaby tym samym zrezygnować z realnej poprawy stosunków z Zachodem.

Jakie jest wyjście z tej sytuacji i czy w ogóle jest jakieś wyjście?

Punktem rozpoznawczym numer jeden musi być stwierdzenie, że rząd warszawski nie dysponuje i nigdy nie będzie dysponował środkami przymusu w stosunku do Polaków zagranicznych. Praktycznie biorąc, pozostaje więc tylko jedna droga — to jest rozmowy, negocjacje i ewentualny kompromis. Czy to jest możliwe i osiągalne?

W czerwcu i w lipcu br. rozmawiałem z dziesiątkami Polaków z Kraju. Nie tylko z pisarzami i nie tylko z intelektualistami.

Pewną rewelacją były dla mnie opinie wyrażane przez ludzi zajmujących bardzo różne stanowiska — dotyczące reakcjonizmu szerokich warstw społeczeństwa. Jeden z moich informatorów społeczny przekrój współczesnej Polski zobrazował w następujących słowach: „po jednej stronie mamy procentowo nieliczną grupę komunistów — po drugiej ciasną, nacjonalistyczną reakcję. Między tymi dwoma biegunami jest „masa do wzięcia” potencjalnie reakcyjna”.

Inny rozmówca z Kraju, z którym rozmawiałem na temat Poznania, oświadczył wręcz: „partia nie może iść zbyt daleko na drodze liberalizacji ponieważ każdy centymetr terenu odstąpiony przez partię jest natychmiast okupowany przez reakcję”.

Jeżeli tak jest — zauważyłem — liberalizacja nie jest demokratyzacją tylko zamianą reakcji lewej na reakcję prawą.

Osobiście, nie miałem nigdy wątpliwości, że przedziwna współpraca pomiędzy partią komunistyczną a „wodzem” Bolesławem Piaseckim, poczęta w epoce kwitnącego stalinizmu, sta-

nowi klasyczny przykład sojuszu reakcyjnych totalizmów. Kato-licyzm p. Piaseckiego został właściwie sklasyfikowany przez władze Kościoła. Politycznie rzecz biorąc, nie chodzi o jego wątpliwy katolicyzm lecz o jego niewątpliwy faszyzm. Dziś, ten przytający faszyzm pracuje z stalinowską reakcją z dwóch przyczyn: po pierwsze obie reakcje łączy wspólna nienawiść do demokracji — po drugie Piasecki sądzi, że w razie nagłej „zmiany warty” on zostanie na placu i sięgnie po władzę.

Gdyby tylko komuniści, względnie ich bliscy sympatycy, wysuwali pogląd, że liberalizacja posunięta zbyt daleko niesie z sobą niebezpieczeństwo prawicowej reakcji — można by przejść nad tym do porządku jako nad zwykłym manewrem taktycznym. Oczywiście i wówczas należałoby postawić pytanie czy jest dozwolone tłumić wolność w obawie, że gdy się ludziom da wolność staną się faszystami i oenerowcami. Ale to jest zagadnienie odrębne i nie rozważajmy go w tej chwili.

Muszę jednak stwierdzić, że podobne obawy — ku mojemu zdumieniu — wysuwali w rozmowach z mną ludzie od samego początku negatywnie ustosunkowani do komunizmu. Według ich opinii nacisk totalizmu komunistycznego nie budzi w masach reakcji demokratycznej, liberalnej lecz przeciwnie hodzi w ludziach nastroje nacjonalistyczno-prawicowe. Jeżeli tak jest, to polski komunizm spełnia dziwną historyczną misję!

Mimo, że w powyższej sprawie opinie moich rozmówców były dość wyrównane byłoby błędem wysuwać z nich jakiś generalizujący wniosek. Niemniej sądzę, że należy, niestety, przyjąć za wysoce prawdopodobne, że świadomych, przekonanych demokratów w współczesnej Polsce jest stosunkowo niewiele. Nie każdy kto domaga się wolności jest demokratą. Iluż jest takich, którzy dziś domagają się wolności, jutro poszliby na barykady a pojutrze oddaliby głos na Piaseckiego czy innego „Führera”.

Komuniści prowadzą dziwną politykę. Komunizm może przecież istnieć wyłącznie w dwóch formach — jako tak zwana „dyktatura proletariatu”, albo w ramach państwa demokratycznego. W państwie prawicowej dyktatury komuniści mogliby tylko liczyć na szubienicę i obóz koncentracyjny. Mimo to szukają zawsze sojuszników wśród wrogów demokracji choć — jak historia uczy — wychodzili na tym fatalnie. Komuniści wytworzyli błędne koło. Tłumią wolność by nie tracić gruntu na rzecz prawicowej reakcji. Gnębienie wolności dynamizuje z kolei skrajny nacjonalizm, który jest naturalną pożywką „Führer-principia- listów”.

Jeżeli wyłączyć pewnych dygnitarzy z emigracyjnego teatru cieni — to można przyjąć, iż 7 milionów Polaków zagranicznych stanowi w chwili obecnej najbardziej demokratyczny człon naszego narodu. Czytelnikowi w Kraju może się wydać dziwne, że z jednej strony uważam Polaków zagranicznych za przekonanych demokratów, z drugiej zaś strony do reprezentowania tych Polaków zgłaszają pretensje Rady Trzech i inne instytucje, któ-

rych związek z demokracją jest raczej luźny. Odpowiedź jest prosta. Nikt się tymi panami nie interesuje. Gdyby jutro jeden z nich ogłosił się królem polskim i wielkim księciem litewskim również nie byłoby protestów i fakt ten w niczym nie wpłynąłby na demokrację emigracji.

O demokracji powiedziano setki rzeczy mądrych i wzniosłych. Ale dopiero na Zachodzie przyswoiliśmy sobie przekonanie, że istnieje tylko jedna prawdziwa wolność to jest wolność demokratyczna. Wszystko inne nie jest wolnością choćby się nią mieniło. Bo tylko wolność demokratyczna jest wolnością dla wszystkich. Polacy stawiają znak równania między wolnością a niepodległością. Ale to jest ujęcie fałszywe. Polska rządzona przez oenerowskiego „Führera” mogłaby być państwem niepodległym i suwerennym ale w tej Polsce nie byłoby wolności ani dla mnie ani dla setek tysięcy moich rodaków.

Na tle obrazu sytuacji w Kraju demokracja Polonii zagranicznej nabiera specjalnej wagi. Miliony Polaków na Zachodzie wrastają w tradycje ustroju demokratycznego. Być może, że Polsce przyjdzie kiedyś sięgnąć do tego rezerwuaru polskiego, zachodniego demokracji.

Postawiliśmy pytanie czy jest rzeczą możliwą — choćby z teoretycznego punktu widzenia — rozpatrzyć możliwości pewnej normalizacji stosunku emigracji do Kraju. Rozważając ten problem trzeba zacząć od punktów nienadających się z natury rzeczy do rozwiązań kompromisowych. Polacy zagraniczni nie zrezygnują nigdy z ustroju demokratycznego w Polsce. Ustrój demokratyczny nie przesądza politycznego pionu rządu. Rząd demokratycznie wyłoniony może być lewicowy, prawicowy, koalicyjny — z udziałem, lub bez udziału komunistów.

Jeżeli obecny ustrój w kraju będzie ewoluował w kierunku uznania zasady wielopoglądowości politycznej — jeżeli liberalizacja zacznie z czasem przekształcać się w demokrację — wówczas zarysuje się możliwość unormalizowania stosunku emigracji do Kraju.

Do czasu, gdy artykuł ten ukaże się w druku i dotrze do czytelnika sytuacja w Polsce może ulec poważniejszym zmianom. W moim przekonaniu państwa komunistyczne, z Rosją włącznie, weszły w fazę długofalowych przeobrażeń. Będzie jeszcze wiele liberalizacji i deliberalizacji. Poznań skompromitował licznych speców i uczonych komunistologów, którzy uporczywie głosili, że w państwie totalistycznym powstanie czy bunt nie są rzeczą możliwą. Państwa komunistyczne chowają w zanadrzu jeszcze nie jedną niespodziankę, którą zadziwią zachodnich komunistologów. Do wieczora dwudziestego wieku jeszcze daleko.

Może znajdzie się Czytelnik, który powie, że mój artykuł jest przedczesny. Po co zastanawiać się nad problemem normalizacji stosunków emigracji z Krajem skoro nie wiadomo czy sprawa będzie aktualna w najbliższym okresie?

W rzeczywistości sprawa jest aktualna już dziś. Ponieważ

w stosunku do Kraju nie mamy żadnej polityki tylko wiązanek sloganów i pobożnych życzeń — władze warszawskie przejęły inicjatywę w swoje ręce i podejmują próbę normalizacji na własny rachunek i na własnych warunkach. Inicjatywy i propozycje krajowe spowodowały kompletny chaos po tej stronie barykady. Ludzie nie wiedzą jak postąpić — czy odrzucić często nęcące propozycje — a jeżeli odrzucić, to dlaczego?

Liberalizacja wulgó „odwilż” spowodowała również nagłą zmianę w proporcji poziomów. Dopóki prasa krajowa była tylko narzędziem propagandy komunistycznej — na tle jej beznadziejnej jałowości — każdy druczek emigracyjny wydawał się arcydziełem. Konkurowanie z tygodnikami kulturalnymi i periodykami krajowymi było łatwe, gdyż przed-odwilżowa prasa była w pełni zrozumiała tylko dla specjalistów. Obecnie sytuacja uległa dużej zmianie. Prasa, a w szczególności tygodniki krajowe stały się bardzo interesujące. Poczytność tych tygodników na emigracji wzrasta w oszałamiającym tempie. Innymi słowy pojawił się groźny konkurent.

Ofensywa kulturalna reżymu podjęta została w chwili, kiedy etaty literackie „Free Europe” uległy już pewnej stabilizacji. Okazało się jednak, że poza tym rynkiem jest bardzo wielu pisarzy, którzy w większości wypadków walczą z trudnościami materialnymi. I ta grupa pisarzy znalazła się pod najgroźniejszą ostrzałem.

Byłoby błędem całe zagadnienie sprowadzać do momentów natury finansowej. Jest oczywiste, że każdy autor piszący po polsku, chciałby być czytany nie tylko przez publiczność emigracyjną ale i krajową. Największy rozgłos osiągnięty na emigracji nigdy nie wyrówna cywilnej śmierci pisarza w Kraju. Niemniej, momenty finansowe odgrywają w tych sprawach poważną rolę. Pisarz czynnie związany z „Free Europe” prędzej odrzuci propozycję druku w Kraju powodowany troską o swoją pensję, posadę i pozycję. Pisarz nie związany z instytucjami amerykańskimi ma inną sytuację, ponieważ najczęściej nie ma nic do stracenia.

W jakim kierunku idą owe warszawskie propozycje?

Proponuję by dla jasności obrazu ująć je w następujący schemat:

1. Pisywanie reportaży, esejów, omówień literackich itd. do tygodników i periodyków krajowych;
2. Krajowe wydania książek napisanych i ogłoszonych drukiem przed wojną;
3. Krajowe wydania książek, napisanych i ogłoszonych drukiem na emigracji;
4. Krajowe wydania książek napisanych na emigracji — dotąd drukiem nie ogłoszonych.

Odrębny dział stanowią projekty licznych antologii — jak „literatury dwudziestolecia niepodległości”, „prozy emigracyj-

nej", „poezji emigracyjnej” — oraz zbiorowy tom najmłodszych poetów emigracyjnych.

Do grupy omawianych propozycji należy również drukowanie korespondencji pisarzy krajowych na łamach pism emigracyjnych.

Na marginesie trzeba dodać, że pisarzy emigracyjnych rozpracowuje się indywidualnie. W pewnych wypadkach powyższe metody budzą wiele zastrzeżeń. Znam w Londynie pisarza emigracyjnego, którego zainteresowani panowie odwiedzają dwa razy tygodniowo, proponując mu przedruk jego tomu poezji w Kraju, równocześnie zachęcając go do pisania krytyk i esejów w krajowych tygodnikach literackich. Zainteresowani panowie obiecują wypłatę honorarium w funtach, tu w Londynie, po bardzo korzystnym kursie przeliczeniowym, tłumacząc, że za funty można daleko wydatniej pomagać rodzinie niż przelewając honorarium w złotych na matkę czy brata w Kraju.

Najbardziej nieustępliwi są ci pisarze, którzy — jak dotąd — nie otrzymali żadnych propozycji. Ale przykład z „Free Europe” może w tym wypadku napędzić otuchą władze warszawskie. Znamy pisarzy, którzy „Free Europe” dosłownie mieszały z błotem, a dziś są jednymi z najlepiej płatnych współpracowników tej instytucji.

Rozważając ten cykl niełatwych zagadnień Zespół redakcyjny „Kultury” doszedł do następujących wniosków.

Wychodzimy z założenia, że emigracja z przymusowej staje się dobrowolną. Powrót do Kraju nie wiąże się dziś z perspektywą więzienia czy łagru. Jeżeli ktoś z przyczyn osobistych wraca do Polski, jesteśmy gotowi uszanować tę decyzję, pod warunkiem, że jest powzięta uczciwie i jawnie.

Emigrant wracający do Kraju przestaje być emigrantem. Może zajmować się polityką, sprawami gospodarczymi czy literackimi, ale w Kraju, nie na emigracji. Repatriantom odmawiamy kategorię prawa do „podwójnego obywatelstwa”. Cat-Mackiewicz — by sięgnąć po najbliższy przykład — może być dziś publicystą czy politykiem krajowym — nie może być jednak równocześnie publicystą krajowym i emigracyjnym.

Stanisław Mackiewicz jest krajowym korespondentem, wydawanego w Londynie pisma pn. „Tygodnik”. „Tygodnik” nie ma jednak debitu w Kraju. Innymi słowy, „Tygodnik” nie jest rozpowszechniany w Polsce, ale artykuły p. Mackiewicza są rozpowszechniane na emigracji. To są klasyczne metody „konja trojańskiego”, którym należy się energicznie przeciwstawić.

Następny punkt dotyczy wycieczek i czasowych wyjazdów do Kraju.

Według opinii Zespołu — nie powinni odwiedzać Kraju w żadnym charakterze ludzie należący do emigracyjnej elity (tej bez cudzysłowu) politycznej, naukowej czy artystycznej. Jeżeli bowiem wybitne jednostki ze świata emigracyjnego zaczęłyby odwiedzać Kraj — udokumentowałoby się przekonanie, że warunki

w Polsce dojrzały do likwidacji emigracji politycznej. Reżym dąży od dawna do tego, by emigrację przemianować w opozycję, czasowo przebywającą na obczyźnie, w nowy Front Morges.

Bardzo chętnie zrezygnowalibyśmy ze statutu emigracyjnego, gdyby w Polsce istniały możliwości walki politycznej w charakterze opozycji. Gdyby w Kraju można było podjąć polityczną walkę o przywrócenie ustroju demokratycznego — wówczas obowiązkiem naszym byłoby powrócić. Ale, jak wiemy, w Polsce nie ma tych możliwości a opozycja, tak jak ją pojmuje demokracja, uważana jest za działalność anty-państwową.

Wycieczki wybitnych jednostek, których nazwiska powszechnie są znane emigracji, byłyby wodą na młyn polityki reżymowej pogłębiając chaos i dezorientację.

Nie jesteśmy natomiast przeciwni, by Kraj odwiedzali emigracyjni dziennikarze jeżeli zachowane zostaną pewne warunki.

Czytelnik gotów jest w tym miejscu posądzić nas o niekonsekwencję. Ale niekonsekwencja jest tylko pozorna i w dużej mierze wypływa z emigracyjnego pomieszania terminów, pojęć i wartości. Obowiązkiem dziennikarza jest zdobyć informację wszystkimi dostępnymi, a dozwolonymi środkami.

Weźmy przykład pierwszy z serii. Jeżeli do Warszawy jedzie korespondent choćby tak poważnego, światowego pisma jak „The Times” — to jego podróż jest tylko fragmentem normalnych zawodowych czynności dziennikarskich. Jeżeli jednak do Warszawy jedzie Graham Greene to już jest w pewnym stopniu manifestacja polityczna.

Jeżeli do Polski pojedzie na dwa tygodnie dziennikarz emigracyjny p. Iksatowicz i po powrocie z Kraju ogłosi serię udokumentowanych, rzetelnych reportaży — można przyjąć, że jego podróż mieści się w ramach zawodowej działalności dziennikarskiej. Oczywiście, że ostateczna ocena takiej wycieczki zależeć będzie od tego co p. Iksatowicz napisze. Ocena dziś jest tym łatwiejsza, że nasza wiedza o Kraju pozwala na rozróżnienie plew propagatki od ziarna autentycznej informacji.

Każdy jednak przyzna, że co innego jest, gdy do Kraju na wycieczkę wyjedzie p. Iksatowicz — a co innego, gdy gościem reżymu podejmowanym i fetowanym będzie pisarz rangi Wańkowicza. W pierwszym wypadku będzie to epizod bez większego znaczenia i konsekwencji, w drugim, manifestacja polityczna, której reżym nie omieszka wykorzystać.

Mechanik samochodowy z Chiswick może bez przeszkód pojechać do Warszawy by odwiedzić swą rodzinę. Jego wizyta w Kraju będzie wydarzeniem ściśle prywatnym i anonimowym. Ale Mieroszewski, Gombrowicz czy Giedroyc nie mogliby po Polsce podróżować prywatnie i incognito. W sumie, nie powinni wyjeżdżać ludzie, którzy dzięki swej pozycji umożliwiliby reżymowi ukucie kapitału politycznego z ich pobytu w Kraju.

Rozważając zagadnienie drukowania w Polsce — należy rozróżnić druk książek i współpracę w czasopiśmie. Istnieje w tej

sprawie deklaracja Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Zespół „Kultury” nie podpisał tej deklaracji i zaprotestował publicznie przeciwko jej postanowieniom. Uważamy, że każdy autor polski ma prawo drukować swoje książki w Kraju, ale muszą być spełnione pewne warunki. W pierwszym rzędzie wydanie krajowe winno być zgodne co do joty z oryginałem. Nie można akceptować żadnych skreśleń, redakcyjnych „komentarzy”, czy wstępów.

Nie jesteśmy również przeciwni pisywaniu autorów krajowych do pism emigracyjnych i pisywaniu pisarzy emigracyjnych do prasy krajowej. Ale i tu muszą być wprawdzie spełnione pewne warunki.

Uważamy, że pisarze emigracyjni nie powinni niczego drukować w periodykach krajowych dopóki pisarze krajowi nie zaczną publikować swych utworów w prasie zachodniej i na łamach pism emigracyjnych. Mamy oczywiście na myśli pisarzy a nie propagandyntów typu pp. Arskiego, Mitznera-Szeląga czy Kuśniewicza. Ci panowie nie są bowiem ani pisarzami ani dziennikarzami i wyjęci z wody marksistowskiej propagandy staliby się natychmiast martwymi zerami.

Ciernistym zagadnieniem jest honorarium. Zdajemy sobie sprawę, że wysuwamy rozwiązanie nie popularne, ale nie zawsze można pogodzić „popularność” z wymogami wyższego rzędu.

W opinii naszego Zespołu autorzy emigracyjni w żadnym wypadku nie powinni przyjmować honorarium w dewizach — to znaczy w funtach, frankach czy dolarach.

Dlaczego?

Przyczyn jest wiele — najważniejsze można sformułować następująco: Zapas dewiz w Kraju jest bardzo mały. Brak dewiz uniemożliwia zaopatrywanie bibliotek, czytelni uniwersyteckich itd. w książki i w prasę Zachodu. Z tej samej przyczyny cofa się przyznane stypendia naukowe. To są rzeczy powszechnie znane i w prasie krajowej szeroko omawiane.

Autor emigracyjny, pobierający honoraria w dewizach w opinii szerokich mas czytelnicych w Kraju byłby tym, którego reżym kupił za cenne dolary czy funty.

Mielibyśmy dwa typy książek polskich autorów; pisarzy uprzywilejowanych, przebywających bezpiecznie zagranicą i pobierających honoraria w funtach i w dolarach — oraz pisarzy drugiej klasy, którzy mieszkają w Polsce i otrzymują honoraria w złotych. Jest oczywiste, że rozwój po tej linii doprowadziłby w konsekwencji do odwrócenia sytuacji. To nie pewni pisarze krajowi byłiby pupilami reżymu, tylko pewni pisarze emigracyjni byłiby kosztownymi pupilami reżymu.

U dna sprawa jest jasna. Leży w naszym interesie by czytelnicy w Kraju mieli jak najszerszy dostęp do polskich książek napisanych na Zachodzie. Ale honorarium nie płacą czytelnicy tylko „Czytelnik”. Różnica kardynalna i zasadnicza.

Więc jakie jest wyjście?

Zespół „Kultury” uważa że dopuszczalne jest przekazywanie honorariów krajowych przez pisarzy emigracyjnych na rzecz ich rodzin w Polsce, mimo że pełną niezależność pisarza emigracyjnego, w oczach opinii krajowej i emigracyjnej, mogłoby tylko gwarantować przekazanie przez niego krajowych honorariów na rzecz bezspornie publicznych celów w Polsce, jak na przykład na odbudowę Biblioteki Narodowej.

Jesteśmy dalecy od organizowania terroru, ale sprawę tę oceniamy jako tak ważną, że postanowiliśmy zamknąć łamy „Kultury” dla tych autorów emigracyjnych, którzy przyjmą dewizowe honoraria za druk swych książek w Polsce.

By uniknąć wszelkich niejasności dodajmy jeszcze jeden punkt. Zasada nie pobierania honorarium w dewizach dotyczyć musi — w naszej opinii — zarówno książek napisanych przed 1939 rokiem jak i po tej dacie. Istotą rzeczy jest zapłata a nie data napisania książki.

Winniśmy wszelkimi dostępnymi środkami wzmacniać nasz udział w opiniotwórczym procesie Kraju, ale z postawy niezależnej.

Przeżywamy trudny okres i dziś bardziej niż kiedykolwiek indziej byłoby wielkim ryzykiem opierać się na przewidywaniach. Dlatego powyżej sformułowane postulaty Zespołu „Kultury” dotyczą wyłącznie sytuacji obecnej. Nasze stanowisko w tych sprawach może ulec liberalizacji lub też przeciwnie usztywnieniu — zależnie od dalszego rozwoju wypadków.

Juliusz MIEROSZEWSKI

Ankieta "Kultury"

Jednym z głównych zadań polskiej emigracji politycznej winno być wywieranie wpływu na społeczeństwo w Kraju. Już ten wzgląd byłby wystarczający abyśmy dołączyli się do głosów krajowych publicystów walczących z antysemityzmem, otoczonym do niedawna stalinowskim murem milczenia.

Dochodzą też inne względy: możemy na uchodźstwie otwarcie wskazywać na antysemityzm Kremla i na niebezpieczeństwo wykorzystania antysemityzmu przez pewne klikki polskich komunistów w rozgrywce z prądami liberalnymi, podczas gdy publicyści krajowi mogą sobie tu pozwolić jedynie na nieśmiałe aluzje.

Mieszkając i pracując od szeregu lat na Zachodzie, wiemy skądinąd ile polski antysemityzm przyniósł szkody sprawie polskiej zagranicą. Ponowny wzrost antysemityzmu w Polsce mógłby oddalić od nas nawet najbardziej oddanych przyjaciół.

Wszystkie te względy sprawiają, że postanowiliśmy zwrócić się do szeregu przedstawicieli polskiego życia na uchodźstwie, prosząc ich o krótkie wypowiedzi w tej sprawie. Nie narzucając im żadnej sztywnej formy, pragnęlibyśmy uzyskać naświetlenie następujących zagadnień:

— Psychoanaliza polskiego antysemityzmu.

— Dlaczego antysemityzm wydaje się związany z reakcją, czy typu faszystowskiego, czy stalinowskiego?

— Jakie sfery w Polsce mogłyby najskuteczniej przeciwdziałać wzrostowi antysemityzmu i jakimi środkami?

— Czy istnieje antysemityzm w polskim życiu emigracyjnym i jak się przejawia?

— Jakimi środkami może przyczynić się emigracja do zwalczania antysemityzmu?

Odpowiedzi na te ankiety będą drukowane w „Kulturze”. Chętnie będziemy widzieli również wypowiedzi naszych Czytelników na ten temat.

Od endeków do stalinistów

Od czasu pogromu w Kielcach z 4 lipca 1946 roku, przez blisko dziesięć lat nikt w prasie polskiej nie poruszał kwestii antysemickiej. Gdyby nie opowiadania Żydów emigrujących z Polski do Izraela, gdyby nie niespokojne głosy przyjezdnych Polaków, można by było sądzić, że antysemityzm przestał być w Polsce problemem.

Od kwietnia 1956 ukazała się jednak w polskich dziennikach i tygodnikach cała seria niezmiernie alarmujących artykułów o przejawach antysemityzmu w Polsce. Cytuje się niewiele faktów, ale są one przerażające.

— Pomnik poległych powstańców warszawskiego ghetta został ohydnie zbeszczeszczony (pogadanka Gustawa Kadena w radio warszawskim z 13.6.1956).

— Groby żydowskie są celowo grabione i profanowane. Oto co pisze o tym Jerzy Broszkiewicz w „Przeglądzie Kulturalnym” z 7.6.1956:

„W Polsce są hieny. Żerują na cmentarzach. Nie na wszystkich jednak cmentarzach żerują z równą swobodą, bo chociaż żydowskich pozostało najmniej, to jednak najchętniej żerują na nich właśnie i wiedzą ku końcowi dzieło w takiej chwale rozpoczęte niegdyś przez ludzi z SS, własowców, szaulisów czy eneszetowców. Czasem nawet hieny rozpoczynają rzecz od nowa. Oto na przykład na żydowskim cmentarzu we Wrocławiu znajdują się groby, które uległy dewastacji dopiero po 45 roku. Są to groby Lassale a i historyka Graetza...”

— Są fakty groźniejsze jeszcze. Antysemityzm przenika do szkół, często popierany przez nauczycieli. Antoni Czałbowski opowiada, w „Trybunie Ludu” z 6.6.1956, o tej małej Helence, którą nauczycielka uparcie przezywa „Hindą”. Podczas przerwy, jej koleżanki i koledzy — siedmioletnie dzieci — otaczają ją kołem i przedrzeźniają chóralnie: „Hin-da-Zy-dó-wa, Hin-da-Zy-dó-wa”. A oto inny przykład „ghetta ławkowego”, które od-

żywa w Polsce w jedenaście lat po rozbiciu bram kacetów, przytoczony przez Broszkiewicza w cytowanym powyżej artykule:

„Jest jedna na całą klasę dziewięć i dziesięciolatek. Siedzi sama w swojej ławce — żadna z koleżanek i żaden z kolegów nie chcą z nią sąsiadować. Raz tylko doszło do jawnego okrucieństwa, krzyków, obzucania grudkami ziemi i kamykami. Uciekła swym prześladowcom. Dopiero w domu wybuchła wielkim płaczem. Nie chciała jednak zdradzić „za co”. Nie naskarzyła też nauczycielom „kto”. Być może — ze strachu. Scena nie powtórzyła się zresztą. Na co dzień pozostała już tylko obcość, złe słowo, szarpnięcie za włosy, kpina. Prześladowcy być może wiedzą, że należy unikać krzyku i bicia — a może po prostu ktoś im tak doradził, ktoś dojrzały, mądry i rozsądny, ktoś... „taktowny”. Wystarczą przecież drobne, małe ciemie. Na pewno wystarczą, jeśli tylko kłują dostatecznie często”.

O udziale nauczycieli w tym prześladowaniu dziecka żydowskiego i zatruciu duszy dziecka polskiego pisze Kaden w cytowanej powyżej pogadance:

„W jednej ze szkół warszawskich nauczycielka, przynosząca wstyd swojemu zawodowi, sadza małą dziewczynkę na oddzielnej ławce, wyjaśniając klasie że uczyniła tak ponieważ dziewczynka jest Żydówką...”

— W „Po Prostu” z 20.5.1956 ukazały się wstrząsające „Kartki z Pamiętnika” Hanki Szwarzman. Młoda dziewczyna, Żydówka, wraca po wojnie do Polski z Francji gdzie spędziła całe dzieciństwo. Nie ma „semickiego” wyglądu i dlatego może na każdym kroku, wśród znajomych i kolegów, napotyka się na antysemickie wypowiedzi. Życie jej jest zatrute „pozostałościami kanibalizmu i średniowiecza”.

Przez dziesięć lat „żelazna zasłona” była zasłoną kłamstwa. Komunistyczna propaganda walczyła z rasizmem — w krajach w które godził sowiecki imperializm. Oburzenie krajowych „liberałów” skupiało się na sprawie murzyńskiej w Ameryce, na segregacji rasowej w Południowej Afryce. O rasizmie rodzimym wolano nie pisać — nie śmiano pisać. Łgarstwo propagandzistów „socjalistycznego kraju” trafiało tu zresztą na podatny grunt. Nawet polscy liberałowie i demokraci, nawet Polacy, którym antysemityzm jest najbardziej obcy i wrogi, skłonni są do przemilczania spraw, które wydają im się zbyt wstydlive. Jak przyznać przed sobą samym, że antysemityzm polski przetrwał okupację hitlerowską, że widok największej masowej zbrodni w historii świata nie spowodował masowego odruchu solidarności Polaków w stosunku do ludności żydowskiej? Polski liberał i chrześcijanin chwytą się jak deski ratunku znanych epizodów ratowania żydowskich przyjaciół czy żydowskich dzieci przez Polaków, którzy czynili to z narażeniem życia. Ale przecież te *wyjątkowe* epizody (dowodem ich rzadkości jest liczba Żydów

którzy przeżyli wojnę) nie wyrównują biernej odpowiedzialności, która ciąży na narodzie polskim za wyniszczenie trzech milionów ludzi... Nie byłem w Polsce pod okupacją hitlerowską, ale z opowiadań naocznych świadków, Polaków i Żydów, znam epizody bardziej ohydne od biernego przyglądania się „jak Hitler likwiduje problem żydowski w Polsce”. Myślę o szantażach, myślę o „przechowywaniu” Żydów, którzy płacili za to miliony, myślę o szklankach wody, które Polacy sprzedawali za złote monety Żydom wywozonym z Holandii w „pociągach śmierci”, myślę o wyczynach „granatowej policji” w getcie, myślę o „akcjach” N.S.Z.... Jednym z ulubionych argumentów polskich antysemitów są opowiadania o tym jak Żydzi radośnie witali wejście wojska sowieckiego na ziemię wschodnie. „Wymachiwali czerwonymi płachtami, Panie, krzyczeli, Panie, ot draństwo, Panie”. Trudno chyba o bardziej naturalną reakcję. Przecież ta biedna, od lat prześladowana, ale utrzymująca się przy życiu ludność żydowska była *skazana na śmierć*, gdyby zamiast czerwonej armii wkroczyło do ich miasteczka wojsko niemieckie. Trudno się dziwić radości z jaką witali, nie ustrój, nie ludzi, a cud, który miał im uratować życie... Że wywiezieni razem z Polakami do sowieckich łagrów, Żydzi ginęli tam razem z Polakami, tak jak razem z Polakami ginęli w Oświęcimiu, to już inna sprawa... Trudno się w każdym razie dziwić, że jeśli antysemityzm polski przetrwał okupację hitlerowską, pod którą już nie chrześcijańska, ale zwykła ludzka reakcja winna go była zlikwidować doszczętnie, to okupacja sowiecka mogła go tylko podjudzić. Tym razem znajdowali Polacy *pretekst*: znaczny procent Żydów, lub osób żydowskiego pochodzenia, wśród dygnitarzy partyjnych, w U.B. Zastanówmy się jednak. Czy pewne skłonności ludności żydowskiej, w kraju, w ciągu ostatnich stu lat przynajmniej, tradycyjnie antysemickim, do partii, do ustroju, który teoretycznie likwiduje całą kwestię antysemicką, nie jest zrozumiała? Tłumaczono skłonność Żydów do komunizmu ich logicznym, filozoficznym temperamentem, połączonym z głodem doktryny uniwersalnej. Interpretacja ta nie jest może pozbawiona słuszności: podobne względy kierują innych Żydów ku katolicyzmowi. W każdym razie wydaje się absurdem oskarżanie o „kolaborację” tych właśnie obywateli polskich, których „kolaboracja” z komunizmem wytłumaczalna jest względami samozachowawczymi: mniej by Żydów pociągał komunizm, gdyby była ich nie odtrącała Polska przez tyle lat. A zresztą kto najgłośniej operuje tymi zarzutami? Ideowi koledzy tych ludzi, którzy z oenerowców czy falangistów stali się nie tyle „kolaborantami”, co agentami komunistycznego reżymu. Dość mamy przykładów obrzydliwego pochlebstwa wobec komunistów ze strony polskich „narodowców” i rodzimych antysemitów, abyśmy mogli uznać ten argument.

Z artykułów, ogłoszonych ostatnio w prasie polskiej na temat antysemityzmu, wynika sprawa bardziej sensacyjna. Wiele

z nich zawiera aluzje, które — trudno na pozór zrozumiałe — nabierają, kiedy się je zestawi, dość groźnej wymowy. Nie ma bowiem artykułu, w którym by nie wspomniano o skłonnościach antysemickich w ramach partii komunistycznej. Aluzje są dyskretne, autorzy robią je mimochodem, ale powtarzają się one tak często, że trudno nie przywiązać do nich wagi, trudno nie podejrzewać że wymowa ich przekracza dozwolone ramy.

Jerzy Broszkiewicz pisze w „Przeglądzie Kulturalnym” z dnia 7.VI.:

„Nie mogę zaręczyć że cień antysemityzmu nie przekroczył progu żadnego z komitetów partyjnych”.

I dalej:

„Fakt przenikania do szeregu partii każdej myśli, każdej tendencji sprzecznej z założeniami podstawowymi ruchu robotniczego, wrogiej zasadom i prawom komunistycznej moralności ... może stać się jedynym naprawdę groźnym niebezpieczeństwem. ... Zdarzają się wypadki, kiedy partyjni ulegają presji obcych i wrogich tendencji, kiedy... pod hasłami narodowej jedności dokonuje się... przemytu tendencji obskurantkich, nacjonalistycznych, średniowiecznych...”

Albo ten ustęp, z polemiki po artykule Hanki Szwarcman w „Po Prostu”:

„Mamy w Polsce do czynienia z potrójnym nacjonalizmem ukształtowanym historycznie — uczucia antyniemieckie, antyrosyjskie i antyżydowskie. Dwa pierwsze objawy tego nacjonalizmu uwzględnione są w propagandzie, w wychowaniu dzieci, młodzieży... *Natomiaś o Żydach... tu obowiązuje przemilczenie*”. (Podkr. nasze).

Ignacy Krasicki nie waha się w „Dzienniku Polskim” (24 V. 1956) wskazać na przyczyny tego „przemilczenia”, pisząc że „tragiczne zbrodnie” które wynikały z „kultu osobowości” (trudno dziś o bardziej czytelny eufemizm) rzucają ponury cień na kwestię antysemityzmu i że jednym z zasadniczych elementów „berio wszczyzny” (inna odmiana eufemizmu) był obrzydliwy akompaniament antysemicki tylu procesów...

Podobnie Arnold Słucki w „Przeglądzie Kulturalnym” z 12. kwietnia:

„Czy sprawa lekarzy nie mogła stać się swoistym preludium do tego rodzaju swoistych mistyfikacji o daleko szerszych społecznych konsekwencjach? Nie należy tych spraw przemilczać. Antysemityzm — powiedział Bebel — to socjalizm dla głupich. Należy zastanowić się czy pod skrzydłami berio wszczyzny nie wypróbowywano odmiany komunizmu dla durniów”.

A Stanisław Jerzy Lec formułuje tę samą myśl jeszcze bardziej bezpośrednio („Przegląd Kulturalny”, 10.V.):

„August Bebel powiedział: Antysemityzm to socjalizm głupców. Czy będziemy jeszcze musieli mówić: Antysemityzm to komunizm głupców?”

Edmund Osmańczyk („Świat”, 20.V.) daje wyraźnie do zrozumienia, że istnieje grupa antysemicka wśród komunistów:

„Nie jest postępowym ten kto szanuje Z.S.R.R. i naszą Partię, ale toleruje wokół siebie i w sobie jakieś uprzedzenia rasistowskie, konkretnie — w naszych warunkach — antysemickie”.

Przed próbą bliższej analizy tych aluzji, przejdźmy do innych informacji o antysemityzmie w łonie partii komunistycznej, które nie mogą się oczywiście ukazać w prasie polskiej. Według Seweryna Białera, byłego urzędnika centralnego komitetu polskiej partii komunistycznej, który sam jest pochodzenia żydowskiego i uciekł niedawno z Polski, pierwsze czystki antysemickie miały miejsce w partii na przełomie 1953 i 1954 roku. Następujące osobistości pochodzenia żydowskiego zostały wówczas zwolnione z zajmowanych stanowisk: Oskar Kluski, dyrektor sekcji zagranicznej K.C., Artur Starewicz, dyrektor sekcji propagandy K.C., Teodora Feder, jego zastępca, Stefan Staszewski, dyrektor departamentu prasowego K.C., Leon Kasman, redaktor „Trybuny Ludu” — i wiele innych. Silne tendencje antysemickie przypisuje się w szeregach partii i armii Rokossowskiego. Faktem jest że, mniej więcej w tym samym czasie, kilka tysięcy oficerów pochodzenia żydowskiego zostało przeniesionych w stan spoczynku, bez żadnego wytłumaczenia oficjalnego. Kazimierz Witaszewski, prawa ręka Rokossowskiego, który był jego podsekretarzem stanu w ministerstwie obrony narodowej i dyrektorem wychowania politycznego wojska, uchodzi za gwałtownego antysemitę. Został on niedawno mianowany generałem i stoi obecnie na czele U.B. Opowiadają na jego temat następujące zdarzenie. Na zebraniu w warszawskiej Akademii Dzierżyńskiego (akademia wojskowa wychowania politycznego), Witaszewski krytykował Hilarego Minca i jego politykę gospodarczą, robiąc kilka razy aluzję do jego pochodzenia żydowskiego. Podczas dyskusji, jeden z oficerów zaprotestował, mówiąc że można atakować politykę gospodarczą Minca, ale że nie widzi co ma do tego jego żydowskie pochodzenie. Witaszewski zażądał od śmiałka danych personalnych, myśląc że wchodzi tu w grę „żydowska solidarność”. Okazało się że oficer ten nie jest Żydem, a postawa jego zyskała poklask sali.

Rokossowski i Witaszewski uchodzą za przeciwników „nowego kursu” w Polsce, za „twardych” (jak ich nazywa prasa francuska), podobnie jak Ochab i Wiktor Kłosiewicz, zarządcą syndykatów, nowy członek biura politycznego, którzy również mają opinię antysemitów. O Ochabie opowiadają, że na wiecu partyjnym w Łodzi ktoś z publiczności przekazał mu kartkę z zapytaniem (zwyczaj ustalony po XX Kongresie): „Dla-

czego najlepsze stanowiska w partii, rządzie i administracji zajęte są przez Żydów?" Ochab rzekomo surowo zgromił anonimowego interpelanta za antysemityzm, mówiąc że jest on sprzeczny z ideologią komunistyczną, ale dodał charakterystycznie że „rząd dokona rewizji obsadzenia szeregu stanowisk”.

Ochab jest szczególnie niepopularny w kołach partyjnej inteligencji — zwłaszcza wśród pisarzy i artystów. Nie ukrywał on nigdy swego niepokoju i niezadowolenia z obrotu jaki przybrała „odwilż” w Polsce. Otóż wśród pisarzy i dziennikarzy, którzy pierwsi i najodważniej zaczęli walczyć o większą wolność, nie brak Żydów. Umysły prymitywne — czy wywodzą się z faszyzmu czy ze stalinizmu — zawsze podejrzewały Żydów o mroczne tendencje liberalne. Nie gdzie indziej jak w „Życiu Warszawy” z 31 maja czytamy to rewelacyjne zdanie, przedstawione jako opinia pewnego odłamu polskich antysemitów: „Żydów charakteryzują ciągoty do burżuazyjnego liberalizmu”. Jakiż to antysemita może się dziś w ten sposób wyrażać, jeśli nie antysemita stalinowski? Jak widać hasło „Żydokomuna” zastępuje się hasłem „Żydoliberalizm”.

Reasumując: liczne świadectwa, które dochodzą do nas z Polski, pozwalają zrekonstruować następujący obraz sytuacji. Grupa „stalinowska” w łonie polskiej partii komunistycznej, przeciwna reformom i jakiegokolwiek zmianie obecnego stanu rzeczy, jest w znacznej mierze antysemicka. Antysemityzm jest platformą, na której jakikolwiek rząd Polski może uzyskać poklask najbardziej zacofanej części społeczeństwa. Porzucając, z polecenia Kremla, dotychczasową politykę terroru i będąc w ten sposób zmuszonym szukać nieco szerszego oparcia w ludności, reżym poświęca bez wahania szereg ludzi, którzy mu byli oddani: Żyd jest zawsze i wszędzie idealnym kozłem ofiarnym. Ponieważ autentyczne tendencje liberalne są reprezentowane wewnątrz Partii przez sfery intelektualne, wśród których nie brak ludzi żydowskiego pochodzenia, stalinowcy przygotowują sobie może w ten sposób grunt do rozgrywki z „liberalną” opozycją.

Rozumowanie to jest tym bardziej prawdopodobne, że antysemityzm polskich stalinowców odzwierciedla antysemityzm ich moskiewskich mocodawców. Ochab uchodzi za człowieka posiadającego zaufanie Chruszczowa. Otóż przypisuje się ogólnie na Zachodzie Chruszczowowi tendencje antysemickie. Zachodnia opinia była poruszona faktem, że raport Chruszczowa nie zawierał potępienia zbrodni dokonanych w epoce stalinowskiej przeciw Żydom. Sam komunistyczny organ amerykański „Daily Worker”, zawierał w nr. z 6 czerwca 1956 następujące zdanie:

Wyrażamy również nasz niepokój w związku z faktem, że wśród długiej listy zbrodni wspomnianych w przemówieniu brakuje tych które pełniono przeciw kulturze żydowskiej i przeciw żydowskim twórcom kulturalnym”.

Wiadomo także że pewne koła zachodnie — zwłaszcza wśród

socjalistów, kilkakrotnie interweniowały w tej sprawie w rozmowach z sowieckimi przywódcami i że Chruszczow zbył te interwencje twierdzeniem że antysemityzm nie istnieje w Z.S.S.R. Szwajcarska „Neue Züricher Zeitung” z 16 czerwca przytacza taką rozmowę między czołowym socjalistą, brytyjskim Hugh Gaitskell i Chruszczowem podczas wizyty „B. i K.” w Londynie, oraz dyskusje między Chruszczowem i delegatami francuskiej S.F.I.O. w Moskwie. Zapytany o los Żydów w Z.S.S.R. Chruszczow miał stwierdzić, że żydowscy intelektualiści odegrali ważną rolę podczas rewolucji i że otrzymali dlatego ważne stanowiska w partii i w administracji. Było to potrzebne wówczas, z powodu braku rosyjskich sił intelektualnych. Ale warunki się zmieniły od tego czasu. Bolszewizm uformował swych własnych administratorów i inteligentów i nie potrzebuje już polegać na intelektualistach żydowskich. Chruszczow oświadczył wreszcie, że same żydowskie organizacje kulturalne nie przywiązują żadnej wagi do swej własnej kultury i że życzą sobie jak najszybszej „rusyfikacji” dwóch milionów Żydów zamieszkujących Z.S.S.R. Już te oświadczenia zawierają sporą dozę antysemityzmu, chociażby podświadomego. Teza głównej roli zagrabnej przez Żydów podczas rewolucji październikowej — jest ostatecznie tezą „Czarnej Sotni”. Ale Chruszczow wyraża się w sposób o wiele bardziej bezpośredni w „demokracjach ludowych”, niż w rozmowach z zachodnimi demokratami. Podczas posiedzenia Centralnego Komitetu Polskiej Partii Komunistycznej po śmierci Bieruta, Chruszczow rozmawiał łaskawie w kuluarach z delegatami klepiąc ich po ramieniu. Oto kilka jego wystąpień w sprawie żydowskiej: (przeglądając listę delegatów): „Macie tu za dużo Abramowiczów”. Albo, w charakterze przyjacielskiej rady „starszego braciszka”: „Jeśli macie do wyboru między Kowalskim i Rosenblumem, i jeśli Kowalski nie jest zupełnym kretynem i draniem, a Rosenblum geniuszem, wybierajcie zawsze Kowalskiego”...

Antysemityzm sowiecki jest zresztą znany w Polsce. W czerwcu 1956, zorganizowano zbiorową wycieczkę P.G.R.ów do Z.S.S.R. W ostatniej chwili, skreślono z listy delegatów wszystkich Żydów, nawet dygnitarzy.

Wykorzystywanie antysemityzmu przez komunistów nie jest w Polsce nowością. Wiadomo dziś że pogrom w Kielcach w roku 1946 został sprowokowany przez lokalnych urzędników — rosyjskich wówczas — U.B.

W świetle tych danych, polskie artykuły które cytowaliśmy, z zawartymi w nich aluzjami do skłonności antysemickich w polskiej partii komunistycznej, nabierają specjalnego wyrazu.

W ciągu ostatnich dziesięciu lat, tradycyjny, głęboki antysemityzm polski nie stracił w niczym na napięciu. Ale — jak mówi jeden z polskich dziennikarzy — *obowiązywało milczenie*. Dopiero na skutek „odwilży” — i to już dobrze zaawansowanej — od kwietnia 1956 — zaczęto znów w Polsce mówić o anty-

semityzmie. Ciekawy zbieg okoliczności — organy prasowe i dziennikarze, którzy pierwsi zabrali głos na ten temat, są ci sami, którzy pierwsi odważyli się walczyć na łamach polskiej prasy o szeroko pojętą liberalizację.

Muszą oni zdawać sobie sprawę, że ta liberalizacja jest zagrożona przez stalinistów, przez „kacyków”, zarówno przez wszystkich administratorów na uprzywilejowanych stanowiskach — jak przez odwieczną polską kołtunię. Czują oni że właśnie na tym odcinku — żydowskim — może powstać alians pomiędzy stalinistami i kołtunią. I dlatego korzystają z obecnej atmosfery, aby ostrzec nas przed tą podwójną groźbą. Na skutek tragicznej ironii losu, antysemityzm, który tyle złego wyrządził i Polsce i Polakom, staje się znów aktualnym niebezpieczeństwem, i może być wykorzystany przez dzisiejszych oprawców Polski, tak jak był wykorzystany przez wczorajszych.

K.A. JELENSKI



**POMOC DO POLSKI
LEKARSTWA MATERIAŁY ŻYWNOŚĆ**

Katalog 100 popularnych paczek
oraz obszerny Cennik Lekarstw (400 poz.)
na żądanie. Przyjmujemy zamówienia ze
wszystkich części świata.

HASKOBA LTD.

— 121, Earls Court Road, London. S.W.5.
Telefon: FREmantle 7888/9



**POMOC RODZINIE W KRAJU
I ZA LINIĄ CURZONA**

Przodująca polska firma wysyłkowa

LAMPERT & POLIMEX Co

45, Cromwell Rd., London, S.W.7, England

Fragmenty z dziennika

Sroda.

Po powrocie do Buenos Aires zmieniłem tryb życia. Wstaję około 11-ej, ale golenie odkładam na później — bo bardzo nudzące. Śniadanie, złożone z herbaty, pieczywa, masła i dwóch jaj, w parzyste dni tygodnia na miękko, w nieparzyste na twardo. Po śniadaniu zabieram się do pracy i piszę póki chęć zaprzestania roboty nie zwalczy we mnie niechęci do golenia. Gdy nastąpi to przesilenie, golę się z przyjemnością. Ogolenie skłania do wyjścia na miasto, idę więc do kawiarni Querandi, róg Moreno i Peru, na kawę z rogalikami i lekturą La Razon.

Wracam do domu aby jeszcze popracować, ale te godziny poświęcam pracy zarobkowej dla tutejszej prasy, lub też, dośiadszy mego Remingtona, załatwiam korespondencję. Pykam przy tym z mej fajki Dunhill, albo z mej BBB Ultonii. Pałę tabaco Hermes para pipa. Po 8-ej wychodzę do restauracji Sorrento na kolację, a potem program zmienia się zależnie od okoliczności. Późną noc przeznaczam na czytanie książek, które, niestety, nie zawsze są takie jakich bym pragnął.

Kupiłem na wyprzedazy sześć koszul letnich po bardzo niskiej cenie.

Czwartek.

Kupa gazet z Kraju, przesłanych mi przez Giedroycia. „Nowa Kultura”, „Życie Literackie”, „Przegląd Kulturalny”, „Po prostu”... Przeglądam. Ludzie nowi. Nieznane nazwiska: Lapter, Bartelski, Toeplitz, Bratny — co to za osoby? Recenzje z książek, o których nic nie wiem, napomknięcia o zdarzeniach przeze mnie niezastyszanych, fraszki o niezrozumiałej aluzji, starcia i spięcia w których się nie orientuję — jak gdybym nocą podkrał się pod mury wielkiego obozowiska i łowił dochodzące odgłosy. Co to za wrzawa? W Polsce ongiś byłem cudzoziemcem,

ponieważ moja literatura była egzotyczna i odpychano ją — dziś znowu błąkam się na peryferiach.

Przerzucam te pisma i chciałbym dowiedzieć się co *na prawdę* tam z nimi się dzieje. Tymczasowość tego co piszą nie ulega wątpliwości: nie wyłowilem ani jednego tekstu, ani jednego autora, o których można by powiedzieć, że tu rozpoczyna się istotna praca duchowa, stanowcza, świadoma, nieoportunistyczna, na długą obliczona metę. Ale nie idzie o to, co piszą. Chciałbym zajrzeć im do głów: co myślą? Zrozumieć, co z nimi się stało? Czy jest możliwe takie zduszenie słowa, że ono niczym się nie zdradzi?

Na tych niezbyt ciekawych szpaltach pełno obrachunków z tytułu dziesięciolecia Polski Ludowej, takie tam bilansy jak z każdej innej produkcji — obliczają swoje tomiki poetyckie i jaka była wydajność fabryki prozy. Gdybym ja, tak z boku, na niewidziane, na oślep prawie, zrobił im bilans dziesięciolecia? Wsłuchując się nie w ich słowa; w ich głos.

Piątek.

Stwierdźmy naprzód, że przeszli przez dwa olbrzymie doświadczenia: wojnę i rewolucję. I powiedzmy, że o tyle tylko mogą oni dzisiaj być kimś, coś przedstawiać, coś tworzyć, o ile te doświadczenia weszły im w krew. Albowiem przestali być ludźmi z roku 1939 — są modelami 1956. Jeżeli, utraciwszy tamtą rzeczywistość, nie przyswoili sobie dostatecznie nowej, jeżeli nie są, dość intensywnie, ani tym ani tamtym, to czymże są? Niczym.

Mnie właśnie się zdaje, że oni swojego życia nie przeżyli.

Ich nieprzeżycie wojny. — Ktoś w tych gazetach powołuje się na Adolfa Rudnickiego — on miał powiedzieć, że literatura powojennej Polski nie zdołała wyczerpać należycie tematyki wojennej, że z tej otchłani piekielnej nie wydobyto wszystkiego, eo by się dało, o człowieku. To prawda, że nie wiele wydobyto. Ale czy piekło nadaje się do eksploatacji?

Ci pisarze, między innymi i przede wszystkim Rudnicki, zabrali się do ciał torturowanych sądząc, że niebotyczność cierpienia dostarczy im jakiejś prawdy, moralności, przynajmniej nowej wiedzy o naszych granicach. Niewiele znaleźli, co by okazało się płodne i twórcze. Odkryli, jak Borowski, że jesteśmy bezdennie nikczemni. Ależ, jeśli wszyscy jesteśmy nikczemni, nikt nie jest nikczemny — pojęcie to hańbi tylko wtedy, gdy służy do odróżniania człowieka od człowieka. Odkryli, że kultura, ta piękno-duchowska esteta i intelektualistów, jest tylko pianką — to mi przedpotopowa rewelacja i dosyć dziecinna! Opisując ową nieludzką wołał w moralizatorskim tonie o ludzkość (Andrzejewski) — lecz od takich książkowych kazań nie się nie zmienia ani w tym, kto je wygłasza, ani w słuchaczu. Zenujący

kontrast pomiędzy górą krwawego cielska a nikłością tego do niej komentarza, który właściwie, pomimo iż obfity w wykrzykniki, nie potrafił wymyślić nic ponad *piu desideria* zawarte już w wypowiedziach Ojca św., a mianowicie, że ludzie nie powinni być źli, tylko dobrzy. Proust więcej znalazł w swoim ciasteczku, w swojej służącej i w swoich hrabiach, niż oni w dymiących przez lata całe krematoriach. I nie dziwnego, że w końcu ten dym gryzący stał się im kadzidłem dla nowej dyktatury, podkadzali nim swoje wyzwolenie w nowym, stalinowskim, reżymie (zapominając o dymach Kołomy). Nastąpiło oswojenie piekła i wprzęgnięcie go w konstruktywną pracę polityczną.

Wcale nie uważam, żeby ich impotencja artystyczna wobec wojny była wstydem; wręcz przeciwnie, to było do przewidzenia. Dlaczego się tak dzieje, że żołnierz idzie na front, doznaje okropności, sam nią się staje, a potem wraca do życia cywilnego jakby nigdy nic... taki właśnie, jakim był przed wyruszeniem? Zdarzają się dawki za silne. Tych organizm nie przyjmuje. Dlatego, gdybym był towarzyszem-prezesem ich Związku Literatów w tych dniach powojennych, zaleciłbym wyjątkową ostrożność w traktowaniu tematów demonicznych, nadmiernie olbrzymich — a przynajmniej wyjątkową chytrą. Jeśli Proust z hrabiów wydobyl więcej, to dlatego że wśród hrabiów mógł poruszać się i czuć swobodnie, a i ciasteczko go nie przerastało — ale te cztery miliony zamordowanych Żydów to Himalaje! Zakazałbym tej typowo polskiej naiwności, która mniema, że tylko na szczytach jest coś do odkrycia. Na szczytach nie ma nic, śnieg, lód i skała — natomiast wiele jest do zobaczenia we własnym ogródku. Gdy zbliżasz się z piórem w rękę do gór milionowej męki, ogarnia cię lęk, szacunek, zgroza, pióro drży w dłoni, a twoje wargi nie stać na nic oprócz jęku. Ale jękami nie robi się literatury. Ani pustką à la Borowski. Ani „sumieniem” à la książd Andrzejewski.

Oczywiście — to dotyczy nie tylko literatury. Także przeciętny polski inteligent nie był zdolny przeżyć wojny do dna. Ale w tych warunkach jedynym rzetelnym podejściem do sprawy byłoby nie wysilać się na przeżywanie czegoś, co przeżyć się nie da, a właśnie zapytać, dlaczego takie przeżycie jest nam niedostępne. Polak bowiem bynajmniej wojny nie doświadczył. Doświadczył jedynie tego, że wojny nie da się doświadczyć — mówię, doświadczyć w pełni, wyczerpać — i tego że wraz z pokojem powraca natychmiast inny wymiar, ten normalny. Tak postawione zagadnienie miałyby przynajmniej tę zaletę, że nie ubezwładniłoby ich na czas pokoju pod względem myślowym, moralnym, uczuciowym — znając pojemność swojej natury ci ludzie łatwiej odnaleźliby równowagę.

Jednakże stosunek ich do wojny został sfalszowany. Ujęto to w trybie konwencjonalnym: „wielkie” przeżycie, więc trzeba z niego wyciągnąć wielkie wzruszenie i wielką naukę. Kto ich nie wyciągnie, jest podły. Ponieważ nikt nie mógł wyciągnąć,

więc wszyscy poczuli się podli, a, gdy poczuli się podli, wpadli w lekkomyślność. A przecież można było im powiedzieć: wiedz, że wojna nie jest ani odrobinę straszniejsza od tego, co się dzieje w twoim ogródku, w dzień pogodny. Jeżeli wiesz, co w ogóle się dzieje, w świecie i w życiu, dlaczego tamto cię przeraża? A jeśli nie wiesz, dlaczego upierasz się, aby taką wiedzę właśnie mieć o wojnie?

Nie trzeba powyższych uwag rozumieć, jako cynizm — bo tu pragnie się jedynie stwierdzić, że istnieją zjawiska do których dojście na najkrótszej drodze jest niemożliwe; można przybliżyć się do nich tylko *via caeli* i *via natura* ludzka w jej najbardziej zasadniczych aspektach.

Ich nieprzeżycie rewolucji. — A zatem cóż przedostało się z wojny do ich świadomości — co zostało sformułowane? Jakaś luźna myśl o „okropności” i nieco kulawego, moralizatorskiego patosu.

W rzeczywistości ukończenie wojny zastało ich przewróconymi, oglupiałymi, wypróżnionymi. Byli jeszcze zdolni do rozmaitych akcji zbiorowych, brali udział w organizacjach, ale to dlatego, że chwyтали się czegokolwiek aby się utrzymać, aby się ruszać, miotał nimi instynkt walki i życia — ale byli ogluszeni. I na tę pustkę w nich spadł marksizm. Marksizm, wyobrażam sobie, spadł na nich zanim zdolali całkowicie przyjść do siebie to jest do siebie z czasów przedwojennych. Toteż myślę, że oni nie przeżyli rewolucji, ponieważ nie mieli czym jej przeżywać. Gdyby marksizm osiedlił się w Polsce samorzutnie, stopniowo, przezwyciężając opory... ale on został na kraj nałożony, jak się nakłada klatkę na odurzone ptaki, jak się nakłada ubranie na człowieka nagiego.

Z chwilą gdy znaleźli się w klatce, wszelka polska dyskusja z rewolucją stała się niemożliwa. Dotyczy to także tajnego dialogu duszy indywidualnej z marksizmem — gdyż Polak był zupełnie nieprzygotowany do stawienia czoła temu naporowi. Nasza kultura tylko z pozoru była indywidualistyczna. Kiedyż to dla Polaka indywidualizm był czymś innym niż popuszczaniem pasa, czyż kiedykolwiek zabłysnął nam jako cnota i trudny obowiązek wierności wobec siebie samego? Jak mogły skutecznie przeciwstawić się Marksowi dusze, wychowane na Mickiewiczu, Sienkiewiczu i Żeromskim? Kiedy ich spętano, już było za późno aby mógł się zorganizować świadomy indywidualizm polski — więc oni, pozbawieni broni intelektualnej, niepewni swej racji moralnej, walcząc w pojedynkę, raczej opędzali się beztładnie niż walczyli, odrzucałi to, nie przyjmowali do wiadomości. Wniosek, paradoksalny, ten, że w krajach burżuazyjnych Zachodu, we Francji lub we Włoszech, marksizm jest nieskończenie głębiej przeżywany. Podczas gdy w Polsce jest on tylko systemem społecznym, w którym się żyje — którego się nie przeżywa. Polska — jeden z krajów najmniej marksistowskich świata.

Sroda.

Wracając do tych gazet z Polski, które leżą tutaj na półce — a więc, moim zdaniem, oni tam, w Kraju, zaledwie są... są tylko do pewnego stopnia... jakąś słabowitą, wstępną egzystencją.

Aby nie być gołosłownym. Oto pewne charakterystyczne symptomy tego ich niedoistnienia w nowej rzeczywistości.

Jak przeżyli lud, proletariat? Mówię o inteligencji. Przecież ten proletariusz naraz wylazł na scenę i w czołowej roli; więc ten inteligent powinienby, choćby ze strachu, silniej odczuć tę obecność...

Oczywiście w ich gazetach proletariat jest akurat taki jak na afiszu, krzepki i promienny. Jeżeli przed wojną nasza „wyższa sfera”, tak przecież zagrożona ową bezdenną w Polsce i dziką niższością, nie zdobyła się w tym przedmiocie na nic oprócz papieru, zapisanego filantropią, społecznikostwem i żeromszczyzną, to teraz stosunek inteligencji do ludu stał się unizony i gładko wyklepany oficjalnym frazesem. Zrozumiałe. Logiczne. Ale... nieoficjalnie? W ich poezji, metaforze, w języku, w sposobie czy raczej w tonie ich myślenia szukam ech intensywnego przeżycia niższości, jako siły stwarzającej — wszakże, gdyby to w nich tkwiło, musiałyby jakoś się objawić. Ale nie. Jakby ich wyobraźnia zasnęła.

Ich nieodczuwanie ludu — jego chociażby (to jest im dozwolone) piękności i jego poezji. Wprost niesamowite, a nawet gorszące! Rewolucja sfałszowała i spłyciła ich stosunki z proletariatem, redukując je do „konstruktywnej współpracy”, gdy w rzeczywistości to tragiczne ale twórcze zmaganie się potęg. Cóż, w myśl rewolucji, czynić ma inteligent z robociarzem, z chłopkiem? Budować wspólnie fabrykę? Oświecać go? Stwarzać wspólny front partyjny? Ależ techniczna współpraca to nie żadna osobista styczność — w takim zaś osobistym zetknięciu wybuchnie zaraz nieporozumienie, niechęć, nieufność, wstręt, strach, wybuchnie starcie, gdyż te dwa piętra świadomości — wyższe i niższe — są sobie obce i wrogie, i wyższość może się zetknąć, zespolić z niższością tylko poprzez gwałt i walkę. Otóż, według mnie, nigdy kontakt inteligencji polskiej z warstwą niższą nie był tak nieosobisty — tak wyłącznie techniczny — czyli martwy, czyli duchowo nietwórczy. Nie mam na uwadze, powtarzam, ich urzędowego myślenia, tego co piszą pod dyktandem. Twierdzę, że nawet po cichu i po kryjomu nie nawiedzają ich takie myśli. Kogóż z nich, znużonych, olśni piękność takiego starcia sfer? Że jest wspaniałe, gdy wyższa świadomość dopada niższej jak ptak drapieżny? A może wspanialsze jeszcze, gdy niższość dopuszcza się gwałtu na wyższości? Przezwyciężywszy moją abominację do poezji rymowanej, przeczytałem ich wiersze i utonąłem w konstruktywnej nudzie — nie natrafiłem ani na jeden akcent, który by mnie wyprowadził na pole tych napięć.

Zanotujmy przeto: w Polsce Ludowej nikt naprawdę, *osobiście*, nie przeżywa ludu. Proletariat im się przejadł. Stracili wrażliwość.

Piątek.

Dziś przysiadł się do mnie w kawiarni obleśny facet i opowiadał, że chce pojąć dwunastoletnią dziewczynkę i że ona także by chciała... i przeklinał władzę, państwo, ustrój społeczny, prawo, księży, cywilizację, kulturę. Przeklinał cicho, rzewnie, melancholijnie, dłubiąc brudnym palcem w ucho i patrząc w sufit.

Kolacja w Crillonie z Rodriguez Feo. Byli też Virgilio i Humberto. Rodriguez Feo jest redaktorem niezłego miesięcznika literackiego „El Ciclon” w Habanie. Przyjechał z wizytą. Wszyscy są Kubańczykami. Dziwny gatunek! Są inteligentni i zorientowani, ale nie są zrobieni z gliny, tylko z wody. Rucho-ma, mieniąca się, przeciekająca płynność.

Wracając do domu, myślałem o Polsce i o tamtejszych moich kolegach po piórze. Czasem wydaje mi się, że powinienem myśleć o nich z większą skromnością. A jednak ta pewność, że ja bardziej od nich *jestem*... nie pozwala na żadne ustępstwa. O hierarchii między nami stanowi nie talent, rozum, wartości moralne, a przede wszystkim to: silniejsze, bardziej rzeczywiste istnienie.

Jestem sam. Dlatego bardziej jestem.

Niedziela.

Złości mnie, gdy czytam ich prasę, że i w dziedzinie sztuki okazali się tak niemrawi. Zdumiewające, że choć rewolucja wstrząsnęła podstawami ich bytu, w tych pismach literackich nic się nie zmieniło. Świat się zawalił, ale światek — ten artystyczny — pozostał nienaruszony. Mam tu ten kiepski Parnas z przedwojnia taki jak był — tylko kolor inny. Dociekliwe rozważania „O istocie poezji”, lub też o malarstwie, konkursy, nagrody, recenzje... i ten jest „czołowym prozaikiem”, tamten „światnym poetą”.

Irytujące gdy widzisz, że po trzęsieniu ziemi w domu twoim ostało się akurat wszystko najłichsze i najłabiej utwierdzone. Czegóż można było spodziewać się po rewolucji (gdyby ona stała się przeżyciem)? Przynajmniej, że nastąpi jakieś krótkie spięcie z rzeczywistością, że przez chwilę chociażby będą musieli zajrzeć w ślepią tej meduzie.

Jest faktem — faktem, czyli nieubłaganą potęgą przed którą trzeba się ugiąć — że wierszy się nie czyta. Że nikt prawie nie jest w stanie odróżnić dobrego obrazu od złego. Że wyścigi tych koni to jest, przepraszam, rozmaitych zziąjanych pianistów, czy innych wirtuozów, ubiegających się o pierwszeństwo, mają

akurat tyleż wspólnego ze sztuką co wyścigi końskie. Że muzea są czymś arcymartwym i przyprawiającym o ból głowy. Ja umyślnie nie chcę dziś sięgać do korzenia tych absurdów, wymieniam je tylko. Czyż nie można było oczekiwać, że fikcje, śmieszności i głupoty sztuki zostaną przez rewolucję przyparte do muru i że estetykę będą oni budować na faktach, a nie na iluzjach, ani na konsensach, ani na tradycjach?

Jak pogodzić się, na przykład, z tym że Wyspiański jest ogłoszony narodowym naszym dramaturgiem i poetą, jeśli w narodzie nie ma stu osób które by jako tako znały jego dzieło? Jak twierdzić, że Słowacki lub Mickiewicz zachwycają, gdy nie zachwycają? Dlaczego mówicie, że żyje wśród was Kasprowicz, gdy znacie go tylko z katalogów bibliotek? Zdawałoby się, że tam gdzie sens społeczny sztuki wybija się na pierwszy plan, takie pytania powinny być postawione. Ale one w dalszym ciągu są nieprzyzwoite. Gdyby w Kraju ogłoszono mój artykuł „Przeciw poetom” z *Kultury*, stałby się on artykułem co się zowie rewolucyjnym — ale przecież taką rewolucję powinna była dawno przeprowadzić wasza rewolucja. Trzeba było podejść do sztuki brutalnie, zniszczyć jej mity, zrewidować ten niemożliwie przestarzały język jej akolitów i glosatorów, ustalić ją w tym czym jest — wówczas można by rzeczywiście ruszyć nieco naprzód. Pytacie zakłopotani, jak się zabrać do tego? Ależ bardzo proste! Przestańcie kłamliwie twierdzić, że „sztuka zachwyca”, powiedzcie zgodnie z prawdą, że wprawdzie sztuka nieco od czasu zachwyca, lecz że, przede wszystkim ludzie zmuszają się wzajemnie do tego aby ich zachwycała. Zmuszają się? Dlaczego? Jak? Po co? Gdzie indziej pisałem o tym — ale zauważcie, że już samo takie postawienie sprawy wrywa was z kręgu sztucznej adoracji, fikcyjnej wartości i anachronicznej liturgii.

Czyż rewolucja nie stworzyła klimatu dla takiego realizmu? Czyż nie jest on zgodny z duchem marksizmu — mam na myśli nie pomyłoną marksistowską teorię sztuki, a właśnie ducha — wszakże takie ujęcie, jak najbardziej dialektyczne, ukazuje wam doznanie artystyczne jako coś powstającego „między” ludźmi? I dla Polaka taki realizm byłby wielką zdobyczą, stworzyłby nasze własne podejście do sztuki, wyodrębniłby nas od Zachodu, doprowadziłby nas do estetyki zgodniejszej nie tylko z życiem, ale i z naszą naturą.

Zamiast tego — cóż? Nie dokonano niczego. Zażądano aby sztuka była „dla mas”, co równa się żądaniu aby była płaska. Zażądano aby była dla mas, ale nie zreformowano stosunku mas do sztuki. Pozostała nadal „zachwycająca”. Zbiurokratyzowano artystę, zachowując nietknięte jego kapłaństwo oraz cały ten kościół i wszystkie w nim nabożeństwa. Ba! Dodano jeszcze jeden absurd niepośledniego formatu. W społeczeństwach zachodnich burży ze średnim wykształceniem mniema, że on rzeczywiście może wchłonąć fugę Bacha lub obraz Rafaela. Lecz Demokracja Ludowa uważa, iż także kmiotek lub robociarz,

mając „dusze wrażliwe na piękno”, mogą wczuć się w sonacie Szopena — jakoż prowadzi się ich na koncert i na tej kulturalnej sesji „przeżywają”... jak wszystko tam się przeżywa, ani na jotę bardziej. Co za szmira!

I znów: wiem, rozumiem, że nic nie było do zrobienia gdy królował Żdanow. Ale do dziś nie widzę żadnej poszlaki, która by wskazywała, że choćby tylko możliwość takiej rewizji tam kiełkuje.

Poniedziałek.

Nowy stos pism przysyła Giedroyc — te są już z ostatnich miesięcy, marzec, kwiecień.

Po mowie tow. Chruszczowa i rewelacjach XX Zjazdu. Nowy etap i zmiana kursu. Są uszczęśliwieni i dumni.

Ale znów te artykuły, wiersze, listy do redakcji, komentarze wyglądają jakby były pisane przez jedną i tę samą osobę. Odchylenia są nieznaczne. Jeden temat niepodzielnie króluje: XX Zjazd i nowy kurs.

Przed wszystkim rzuca się w oczy, że oni zawsze są niewolnikami jednego tematu. Temat tam nie rodzi się spontanicznie, nie bywa znaleziony na własną rękę, stworzony, odkryty — jest zawsze zadany.

Mimo to jest wzruszające widzieć, jak cieszą się porcją życia, którą im przydzielono.

Ale jeśli chodzi o ludzi w Polsce, nielicznych, którzy chcą żyć na serio — i chcieliby może dokonać czegoś powszechnie ważnego to jest nie lokalnego, lecz na miarę świata... ci będą musieli zbyć uśmiezkim jubel i balik dozwolonej swobody.

Wtorek.

Przeczytałem co napisałem powyżej o proletariacie i sztuce. Jakież to będzie nieprzekonywujące dla tych, którzy mnie nie rozumieją, którym wymyka się mój sens. Takich jest legion. Oby mieli ucho dość wyrobione aby ich ostrzegło, że to nie są zwiewne kaprysy — raczej ukazanie drogi trudnej, bo nie podoboczej ale po ziemi.

Wracam do mego punktu wyjścia: oni swojego życia nie przeżyli. Tak, to dlatego ja jestem wobec nich taki wyniosły, zarozumiały, lekceważący — nie mogę po prostu uznać, że to ludzie na moim poziomie. Otóż, zważywszy, że nie spadła na mnie ani dziesiąta część tego co im się dostało i że, gdy oni krwawili, ja wałęsałem się po kawiarniach w Buenos Aires, uczucie takie — przyznaję — nie bardzo jest w porządku. Bardziej chyba byłaby wskazana pokora i podziw. A jednak to zimne lekceważenie jest we mnie tak silne, że nie mogę go ukryć w tym dzienniku, gdzie chciałbym nie zanadto kłamać.

Jak śmiem ich lekceważyć? I to lekceważyć tak okrutnie,

że nawet ból i klęska tych ludzi, przecież mi bliskich, stają się mniej ważne? Nie umiem tego sobie wytłumaczyć inaczej jak tylko, że doznają ich istnienia mniej silnie... nie, nie z powodu odległości czy długotrwałego rozstania. Przestali być dla mnie kimś. Przestali być czym byli, a nie skonkretyzowali się dostatecznie w żadnym nowym istnieniu. Są niewyraźni. Zamazani, Niepełni. Embrionalni.

Komunizm? Antykomunizm? Nie, to zostawmy na razie na boku. Nie idzie o to abyście byli komunistami, lub anti... idzie o to, żebyście po prostu byli. Być — to nieprawdaż, minimalny postulat który przedkładam polskiej inteligencji, polskiej świadomości. Będziecie musieli nieźle się wysilić w latach nadchodzących, aby przejść od pół-egzystencji do egzystencji, i nie wiadomo czy się to uda. Póki co, przyjaciele, życie wasze równie jak śmierć nie będą miały pełnej wagi. A to prawo do życia i śmierci będzie musiał zdobyć każdy z nich z osobna.

Jeszcze kilka luźnych uwag z tej lektury gazet.

Ich wyobraźnia. — Jest czystsza, niż była przed wojną. Oni dziwnie się oczyścili. Wyobraźnia ich przestała być sybarytyzmem, została skierowana w stronę wysiłku i walki. Jest bardziej istotnie związana z energią. I nurt uzdrawiający wyobraźni prymitywnej, której dziś są bliżsi, oplukał ich z wielu spaczeń, dziwactw, z histerii.

Przed wojną sporo było ludzi w Polsce żyjących życiem zła-godzonym — ziemiaństwo, burżuazja. Wyżywiali się przeto w wyobraźni, ale niedość zdyscyplinowanej, więc brudnej... marzyciele. Ci teraz w Kraju — nie. To nie marksizm sprawił, ale bieda.

To wyobraźnia bardziej schludna, ale też uboga. Ubóstwo jej również nie jest wynikiem ustroju społecznego, tych tam zakazów i dyrektyw, jest w związku z powszechną pauperyzacją. Gdy odpadną zakazy, naród pozostanie z wyobraźnią wypróżnioną, wsadzi rękę do pustej kieszeni.

Ich moralność. — Mają pełną gębę moralności. Bez przerwy. Któż wobec tego może uwierzyć w ich moralność?

Moim zdaniem, ich moralność pozostaje w odwrotnym stosunku do ich gadaniny. Moralność życia publicznego wciąż tam jest na tapecie? No, więc w tej dziedzinie są, jak myślę, cynikami nielada. Natomiast w stosunkach osobistych, rodzinnych etc., tam gdzie może istnieć jaka taka dyskrecja, to są, zapewne, zaci ludzie.

Ich piękność. — Jakiej piękności pragną dla siebie? Jakiego pióropuszu? Jakiej ozdoby? Jakiej poezji, jakiego wdzięku szukają aby nimi okraszyć swoje bytowanie, zanadto szare? Trudne pytanie. Ich oficjalna piękność, to piękność walki o nowy porządek — ale ta piękność została tam zracjonalizowana i zanadto utożsamiona z cnotą, a to pozbawia żywotności. Obfitują w piękne cnoty, jak Kościół Katolicki. Ale gdzież są ich piękne grzechy?

Jeżeli ich wyobraźnia nie skurczyła się do zera, to można przypuszczać, że tam, poza oficjalną poezją, tworzy się po cichu inna prywatna, i że jest ona poezją anarchii.

Ich skromność. — Ci literaci są niezwykle skromni. Ich skromność jest *savoir vivre*. Polega na ukrywaniu pychy. To jedynie ostrożność — aby nie rozjuszyć kogoś na siebie.

W literaturze taka skromność nie może przydać się na nic. Pychy, wyniosłości, ambicji nie można usunąć z pisania bo to jego motor. Trzeba je ujawnić. Wtedy można je ucywilizować.

Witold GOMBROWICZ

Na śmierć Lechonia

*O świecie nagle wyjęto z ram
spopieloną zielen*

*Niebo spłynęło w otwarte jamy ścian
runęło z domem
przywalonym gryzącym dymem*

*Pozostali umarli
w sąsiedztwie wysokich ptaków
kreślących skrzydłami zatoki śmierci*

*Z oczu umarłych sypie się żółty piach
jak z klepsydr —*

*O świecie zalsawionym pustka wypływa z okien
głuche milczenie i strach
w którym lata na proch nas starły*

*W sąsiednim domu stukają na alarm
— s.o.s. rozbitków rzuconych w pustkę*

*Ale rozpacz jest szybka
już nas dopadła —
podmywa*

*Zalobnym ptactwem w niebo biją klątwy i krzyki
i widma płamiące ludzką pamięć
jak chusta
świętej Weroniki*

*Nad snami Starców — ręka bezowocnej śmierci
gdy noc barami w jałowy dom się wparła*

KSIĄŻKA dla WSZYSTKICH

WYDAWNICTWO GRYF PUBLICATIONS W LONDYNIE

169 Battersea Church Rd. London SW.11.



Przedstawicielstwa: W W. Brytanii: B. Świdorski, Księgarnia Kombatancka (18 Queens Gate Terrace, London SW 7); we Francji: „Libella” (12, Rue (St. Louis en l'Île, Paris 4); w Stanach Zjednoczonych: Polish American Book Co (1136 Milwaukee Avenue, Chicago 22); w Australii i N. Zelandii: Vistula (Pty) Ltd., (Daking House, Rawson Place, Sydney.

W dniu 15 sierpnia ukążą się w sprzedaży dwie następne książki SERII PIERWSZEJ KSIĄŻKI DLA WSZYSTKICH

TOM 3, J. URSYN, *Torricola*, powieść sensacyjna (wydana poprzednio po francusku). E

TOM 4, C.D. DEWHURST, *Kontakt bezpośredni*, w przekładzie J.P. Herwartha, z przedmową gen. W. Andersa.

Każda z książek liczy 200-250 stron druku i posiada mocną i ładną oprawę płócienną w artystycznej obwolutie wg. projektu znanego grafika Władysława Szomańskiego. Cena w okresie pierwszych trzech miesięcy od chwili wyjścia z druku każdej książki: w Wielkiej Brytanii: 8 sh. 6 d.; we Francji: fr. fr. 450; w Stanach Zjednoczonych: dol. 1.50, względnie równowartość w innych walutach.

Po trzech miesiącach cena książki zostaje podwyższona i wynosić będzie: 12 sh., fr. fr. 600, dol. 2.00, wzgl. równowartość w inn. wal.

Następne dwa tomy ukążą się w dniu 15 listopada. — Będą to: H. Naglerowej, ZAWALIDROGA (powieść obyczajowa) i Sergiusza Piaseckiego ZAPISKI OFICERA ARMII CZERWONEJ (szkice satyryczne ozdobione karykaturami). — Seria rozpoczęła się w dniu 15 maja 1956. Jej dwa pierwsze tomy są do nabycia po pełnej cenie, to jest sh. 12, fr. fr. 600, dol. 2.00.

*W świszczącym oddechu wpadniętej piersi
wygnanica na przedmieściach obcych stolic
jałowa noc pokrywa resztki snów umarłych
— wyrwanych z tkniętych paraliżem dłoni*

*W nierównym tętnie fabrycznych olbrzymów
szeleści łowiecka sieć pająka;
nim nas przysłoni śmiertelnym całunem —
porazi pamięć — ubezwładni
i gdy noc już dobrze cierpieniem nasiąknie
— pozwoli bezowocnie zginąć*

*Widziałem tę śmierć z wysoka
chwytającą was za gardła*

*W urnach wyschniętych czaszek
przesypywały się żywe prochy
bo żyliście jeszcze
a już nie żyli
mówiący językiem martwych
myślący coraz zawilej*

*Mówiono — Tęsknota
trąbiono do Czynu
ale dźwięki były fałszywe
słowa zgrzytały jak piasek
w zapienionych ustach
ludzi jeszcze żyjących
a już nie żywych*

*Widziałem tę śmierć z wysoka
dymila z rumowisk idej*

*Nie chciałem taką śmiercią umierać
więc runąłem jak u Norwida
fortepian trumna*

*Niech serce pęka wysokim tonem
zerwanej struny.*

Józef ŻYWINA

Punkt równowagi

— Zarobiłem — powiedział Pochwalski. — Wróciłem z potrójnym kapitałem i bogatszy o to coś, co daje głębokie życie, przygoda. I może o coś więcej... Nie wiem. — Upił trochę whisky i zamyślił się manipulując przy nieodłącznej fajce. Noc była cicha i upalna, przesycona kurzem osiadającym po ustaniu całodziennego wiatru. W otaczającej wszystko suszy nawet dźwięki stawały się suche jak mięcie celofanu i trzymana w ręce szklanka była na pewno kruchsza niż normalnie. Siedzieliśmy w dusznej *cantina* spotkawszy się po długim niewidzeniu.

— Nie lubię pracy — ciągnął po chwili dalej — żaden człowiek jej nie lubi, ale lubię to co tkwi w niej — możliwość odnalezienia siebie. Własnej rzeczywistości — dla siebie, nie dla innych — czegoś o czym nikt inny nie może się dowiedzieć. Nie — to nie mój wynalazek, to cytat z Conrada. Nie zbyt dobrze go znam, ale tego nauczyłem się na pamięć odczytując w ciągu sześciu tygodni jako sentencję zawieszoną na ścianie. Na pozór piękna myśl, ale z tym odnajdywaniem siebie i własnej rzeczywistości miałbym pewne wątpliwości. Wiele zależy od rodzaju pracy. A zresztą czy w narkotykach odnajduje się siebie? Kolczaste zagadnienie. Wszystko, co mówi się o pracy to umoralniające bajeczki dla leniwych dzieci. Może Conrad uległ podświadomie tej tendencji? Dla mnie ta myśl była od początku za złota. Mniejsza z tym.

Cytat jest z „Jądra ciemności” i gdy myślę teraz o mojej przygodzie, wydaje mi się że zachodzi tu jakieś pokrewieństwo — nie z maksymą o pracy — raczej z tytułem opowiadania. Nie mam na myśli laguny wśród dżungli, całej malowniczej dekoracji tropikalnej, malowniczej z daleka i tak ponurej z bliska, że boisz się dotknąć najniewinniejszego badyla — myślę raczej o sobie, o wnętrzu każdego z nas. Nie wiem czy przeżyłeś kiedykolwiek taki okres, w którym udaje się człowiekowi zobjektywizować siebie do ostateczności, odrzucić wewnętrzny snobizm i szkliste załganie i spojrzeć na siebie z boku jak na jakiś martwy przed-

miot. Jeszcze dziś jestem skłonny mówić o tym tak jakby zdarzyło się to komuś innemu, bez żadnych hamulców, bez oporu. Jeszcze ciągle jakieś dwa kawalki nie zrosły się i może nigdy się nie zrosną, a może któryś z nich zamrze, uschnie i odpadnie? Nie wiem.

Noce były najgorsze. Kładłem się nago w hamaku wewnątrz szczelnie zamkniętej kabiny i choć od dawna przyzwyczailem się do spania w „pajęczynie”, zdawało mi się że jestem bezradną muchą, że za chwilę zsunie się po jednym ze sznurów jakiś olbrzymi pajak i wypije ze mnie wszystką krew. Gdy czasem Burt gasił radio i zapadała zupełna cisza, przez okienka pokryte gęstą siatką nylonową dolatywał brzęk miliardów komarów okrywających cały kadłub wielkiego wodnoplątowca dźwiękowym całunem. Dopiero o świcie robiło się trochę chłodniej, czasem ruszał wiatr, potem wschodziło słońce matowe i białe jak pasta tyłka aspiryny, przebijając się z trudem poprzez zawiesiste mgły. Zbliżały się deszcze i wyczekiwaliliśmy ich z wzrastającym napięciem. Znasz to. I w nas narastało ciśnienie, to coś co możesz wtedy zauważyć w każdej roślinie, w każdym stworzeniu i co nagle załamuje się w szumie pierwszej ulewy, rozlewa się ogarniającym wszystko spokojem, zwierzęcą radością życia i trwania.

Ale deszcze nie nadchodziły. Tylko większe drzewa były zielone i odbijały ciemnymi plamami w popielatej, prawie białej tkaninie lian, badyli i wysuszonych powojów, tego całego *remplissage*'u dżungli, który w tym okresie podobny jest do sieci uplecionej z granitu. Laguna tkwiła w tym spokojna, oleista-pijana źrenica przypatrująca się wszystkiemu z zupełną obojętnością. O tej porze poziom wody opadł, ale było widać że w okresie deszczów rozrasta się ta kałuża do rozmiarów wydłużonego i dość dużego jeziora. Rozległe połacie twardego i spękanego mułu na brzegach pozwalały domyślać się, że uzyskamy brakujące nam do startu tysiąc stóp. Oczywiście do startu półkolem — nie wprost. Na start wprost nigdy nie było tam dosyć miejsca. Po prawdzie to nie było tam dosyć miejsca tak czy owak.

Pochwalski zamilkł, przesunął dłonią po czole i po oczach.

— Już prawie rok minął od tego czasu, a wspomnienie jest jeszcze tak silne, że zacząłem opowiadać ci o tym bez ładu i składu, wpadając od razu w sam środek. Pewnie dlatego że najważniejsze zaczęło się wtedy. Grat był naprawiony, obydwa silniki wyregulowane, pracowaliśmy już tylko nad szczegółami wyczekując deszczów. To wtedy opadła mnie wieczorna mania przeglądania portfela, odczytywania starych dokumentów i papierów, oglądania wyblakłych fotografii. Od tego zaczęło się. Nie wiem dlaczego zabrałem wtedy ze sobą to całe archiwum...

Gdy rok temu wyjechałeś wysłany przez twoją firmę do San Salwadoru, ja ukończyłem pierwszy i najcięższy etap. Po sześciu latach pracy jako mechanik traktorowy, potem kierownik warsztatów przy lokalnej linii lotniczej, zdołałem uskładać ponad

siedem tysięcy dolarów. Sam wiesz najlepiej ile to kosztuje i ile planów powstaje wówczas w głowie. Coś nagle prostuje się wewnątrz i zaczynasz się czuć jak oswobodzony więzień. Koniec z zależnością, z niewolnictwem pracy dla drugich. Nie znam się na filozofii pracy, ale wiem że jeżeli nie jest ona zabarwiona jakimś egoizmem, wówczas jest zawsze tylko katorgą, znoszoną lepiej lub gorzej. Perspektywa zaczęcia czegoś na własny rachunek i na własne ryzyko ma w sobie coś upajającego, coś z prawdziwej twórczości. Ten sam rodzaj pracy, którego dawniej nie znosiło się, zaczyna pociągać, ogarniać wszystkie myśli, mnożyć siły. Z życiowego kibica stajesz się graczem, odzyskujesz kolory i smak istnienia.

Miałem zamiar założyć warsztat samochodowy i obok tego „Speed Shop” dla własnej przyjemności. Pamiętasz jeszcze z przedwojennych czasów, że moją specjalnością — poza odwiecznymi studiami na politechnice — było zamienianie różnych gratów na wysięgowe maszyny i sam zawsze miałem jakiś samowar, który na szosie wyprzedzał najnowsze wozy. Ale przed tym postanowiłem odpocząć, ruszyć się trochę i coś zobaczyć. Dla mnie emigracja była od początku okazją, nie dopustem, i wtedy nabrała znowu sensu. Wyasygnowałem sobie osiemset dolarów i postanowiłem zwiedzić Stany Zjednoczone. Wyleciałem z Guatemali do Nowego Orleanu aby stamtąd puścić się w długą włóczęgę autobusami przez Kalifornię do San Francisco, potem na wschód.

W Nowym Orleanie było już gorąco, wiosna w pełni. Większe miasto po sześciu latach właściwie dzicyz, wydało mi się tworem nie z tego świata. Prawie całe sześć lat przejeździłem w *jeep*'ie od plantacji do plantacji, od stacji traktorów i maszyn przy budowie odcinka jakiejś drogi do innej stacji traktorów, raz tu, raz tam. Właściwie polubiłem to i w ostatnim roku, gdy zostałem już kierownikiem warsztatów w mieście, brakowało mi tego ruchu. Ale tu zapomniałem o wszystkim; ulice, tłum i przede wszystkim światła grały na każdym nerwie, wypełniały uczuciem odprężenia. Zdawało mi się że zdobyłem to miasto po długim biegu i że ktoś wręczał mi je teraz jak złocisty puchar. Zamieszkałem w tanim hotelu prawie na samym początku Carondelet Street i od razu wieczorem wyszedłem na miasto. Wlokłem się moją ulicą w kierunku śródmieścia zachodząc po drodze do barów. Czasem lubię pić sam, lubię tę samotność alkoholową skoncentrowaną i pełną, nie rozproszoną. Tylko wtedy można zagłębić się naprawdę w tajemniczy proces stępienia i zaostrzania się pewnych odczuć i ech, przejść na zupełną samowystarczalność duchową. Jestem tylko dla siebie, udzielam sobie audiencji bez pośpiechu i wysłuchuję z całą życzliwością. Nie zwracam uwagi na nic i nawet kobiety przestają mnie interesować.

Na głównej i o tej porze pustawej Canal Street byłem już oczywiście tylko ja, wolny, odcepiony od wszystkiego i toczący

się jak samotny wagon w półmroku bocznego toru. Zaszedłem nad brzeg Mississipi, wychyliłem się przez jakąś poręcz i patrząc na wodę, splotałem sobie od czasu do czasu. Było mi bezgranicznie dobrze. Wróciłem do hotelu na piechotę zjadłszy coś po drodze z apetytem troglodyty. Nazajutrz włożyłem się dalej zaczawszy dzień od whisky. Potem jeździłem tramwajem tam i z powrotem — od lat nie jeździłem już tramwajem — siadając razem z Murzynami i marząc w duchu o jakiejś awanturze. Do zupełnego szczęścia brakowało mi lekkiej rozróbki, skandalu, poszamotania się. Ale nikt nie zwracał na mnie uwagi. Z jakiegoś baru tylko dla Murzynów wyrzucili mnie — Murzyni, doradzając postudiowanie historii Stanów Zjednoczonych. Wobec tego pojechałem nad jezoro, wykąpałem się, zjadłem obiad i całe popołudnie spędziłem z jakimś włoskim majstrem budującym motorówki. Zrobiłem mu dokładny projekt łodówki w tylnym siedzeniu z wszystkimi rysunkami, popijając ze staruszką „Chianti”. Jadąc wieczorem do miasta kupiłem gazetę. Gdy znajdę się gdzieś po raz pierwszy w życiu, bawię się zawsze wyobrażaniem sobie że jestem bez pieniędzy i pytam: „Co zrobiłbyś teraz?” Zacząłem od ogłoszeń o pracy. Tego było pełno, stronami. „No, tu nie byłoby kłopotu” — pomyślałem z pewnym rozczarowaniem. Nagle zrobiło mi się nieprzyjemnie. Pracy było pod dostatkiem, ale tylko dla młodych. Zacząłem czytać z uwagą, gorączkowo. Trzydzieści pięć lat było tu granicą notowaną bardzo rzadko i z moją czterdziestką poczułem się starcem. Zmiałem gazetę, wrzuciłem pod ławkę i dojechawszy do końcowego przystanku nad Mississipi, wlałem do najbliższego baru. Po chwili bezmyślnego wpatrywania się w okno, zobaczyłem przy brzegu wielki statek kołowy, gęsto oświetlony. Zajeżdżały samochody, z każdego tramwaju wysiadali ludzie — wszyscy szli w stronę kołowca. Przypomniałem go sobie z jakiegoś filmu i nagle przyszła mi ochota na potańczenie, na pokręcenie się z jakąś dziewczyną. Chciałem zapomnieć o tych ogłoszeniach. Kupiłem bilet i usiadłem najpierw na dole, bo ciekawiła mnie stara maszyna parowokołowa.

Już po wypłynięciu na rzekę wyszedłem na górę do ołbrzymiej sali dancinowej. Było tu pełno. Sami młodzi, niezliczone setki młodych. Młode twarze chłopców z sypiącym się gdzieś w wąsach lub z pierwszymi włoskami na brodzie, młode dziewczęta jeszcze trochę kanciaste, nieobtoczone i przerażająco świeże. Wiesz — przestraszyłem się; nagle poczułem że w żaden sposób nie zdobędę się na poproszenie do tańca ani jednej z nich. Bałem się z góry spojrzenia, które przeczuwałem, które też miałyby coś z tych ogłoszeń o pracy, przeciagających zimno i rzeczowo granicę wieku. Stałem z boku, patrzyłem, słuchałem muzyki i szelestu tańczących stóp i żegnałem się z wieloma rzeczami bezpowrotnie. Potem wyszedłem na pusty pokład na samej górze i wyciągnawszy z kieszeni płaską flaszkę, wypilem połowę z rozpaczy. Są to chwile, w których kpi się z siebie, nadrabia miną,

ale wewnątrz coś łka chyba naprawdę. Może płacz przysłowiowego pokolenia bez młodości?

Pewnie dlatego, już późno w nocy, znalazłem się na Bourbon Street, w tej uliczce usiłującej naśladować rue Pigalle z takim samym powodzeniem, z jakim Niemka chciałaby naśladować Francuzkę. Jest to właściwie przygnębiające, bo wszystko jest tu niedokończone, zatrzymane w pół drogi i hipokryzja płciowa doprowadzona jest po prostu do zwyrodnienia. Wszedłem do któregoś z niezliczonych „Burlesque” i przyglądałem się jakiejś aż za dobrze zbudowanej blondynie jak zrzucała wolno, wśród tańca, okrywając ją szmatki. Jakaś inna piękność chciała się do mnie przysiąść, ale powiedziałem jej że z kobietami uprawiam wszystkie sporty oprócz picia. Była „zgorszona”. I wtedy siedzący obok blondyn uśmiechnął się do mnie dosłyszawszy moją odpowiedź i przysunął się proponując whisky. *Scotch or Bourbon?* — *Bourbon* — odpłaciłem uśmiechem. Podobał mi się. Oszacowałem go na sześć stóp z calami w mokasynach bez obcasów, wiek mniej więcej mój...

Nigdy w takich wypadkach nie odzywam się pierwszy i czekam od czego się taka alkoholowa znajomość zaczyna. Wszystko zależy od tonu. Jeżeli dosłucham się choćby cienia syropu, czegoś lepkiego, kończę sprawę po pierwszej kolejce. „Pan nie jest Amerykaninem — prawda?” — „Nie”. — „Czy Rosjaninem?” Wściekłem się. „Wprost przeciwnie — Polakiem!” — Spojrzał na mnie, pochylił się w moją stronę i prawie mnie objął: „To pan jest rodakiem Conrada” — powiedział z zachwytem. Sięgnąłem do kieszeni żeby jak najprędzej zapłacić i wyjść, pocieszając się w duchu z goryczą, że przynajmniej na mężczyznach robię jeszcze wrażenie i podobam się. „Jakaś wywłoka intelektualna w poszukiwaniu towarzysza do łóżka” — pomyślałem sobie. „Tak, tak” — mówiłem kiwając na barmana. „A jaki jest pański zawód?” — zapytał wpatrując się we mnie z uporem. „Mechanik” — odpowiedziałem pokazując mu palce z czarnymi żyłkami wrosłego smaru. *Gee* — trochę jak *Marlowe* z „Jądra ciemności”. Pamięta go pan przy naprawie rzeczowego statku? — „Nie pamiętam, ale ja nie od statków. Od motorów spalinowych” — burknąłem płacąc i wstając.

On także zsunął się z taburetu. Nie chciałem pozbyć się go w sposób opryskliwy, bo zawsze odczuwałem wobec tych okazów dziwną nieśmiałość i skrępowanie, jak wobec kalek. *See you later* — bąknąłem i posunąłem się ku wyjściu. Chwyć mnie mocno za łokieć. W normalnych warunkach, bez żadnych podejrzeń, byłbym takiego osobnika palnął w nos, tym bardziej że pomimo morza whisky w brzuchu, miałem ciągle w oczach gazetę i dziewczęta na statku z granicą wieku w spojrzeniach. Czuję, że jednym uderzeniem pozbyłbym się tego ciężaru. Ale tu jakoś mi nie wychodziło. „Kwadrans rozmowy tam, przy stoliku. To jest nieprawdopodobne” — mówił ciągnąc mnie w ciemniejszy kąt ciasnej salki. Usiedliśmy i już po kilku zda-

niach zorientowałem się, że jestem złym psychologiem. Nie będę ci streszczał dokładnie całej rozmowy, zapewniam cię jednak iż miałem uczucie snu. Mój znajomy był do pewnego stopnia — ofiarą telewizji.

W czasie wojny siedział w jakimś porcie w Anglii jako pilot i latał cały czas w eskadrze wodnopłatowców, wielkich PBY zwanych „Catalinami”. W czasie choroby, bodaj że żółtaczki, zaczął czytać w szpitalu Conrada, który od razu podzielał na niego, porwał go i w końcu, powoli, stał się jego specjalnością, wypełniał mu cały wolny czas. Zjawisko typowo anglosaskie, a *hobby* na pewno lepsze od wielu innych. Czy był inteligentny, kulturalny w naszym sensie? W naszym na pewno nie, w każdym innym tak. Przyznał mi się z całą amerykańską szczerością, że poza Conradem nie wiele czytał, ale że jeśli chodzi o jego dzieła, biografie, studia i szkice rozrzucone po czasopiśmie, to tu nie było dla niego tajemnic. Był specem. Na kilka miesięcy przed naszym spotkaniem miał szczęście dostać się do telewizji jako bohater „64.000 Question” w swojej specjalności. Przebrnął zwycięsko przez wszystkie początkowe próby, przeszedł przez 16.000, potem odpowiedział bezbłędnie na drugie pytanie, wygrał 32.000, po czym — stchórzył. Wycofał się w połowie drogi choć był pewny że z łatwością mógł dojść do końca. Nie wytrzymał nerwowo. „Załamane się, opuściłem moją „Patnę” pod wpływem niezwyklejszego strachu i rozwinął się we mnie kompleks Lorda Jima” — opowiadał mi z całą powagą, z jaką Amerykanie zwykle mówią o tych rzeczach. Zacząłem się tak śmiać, że aż dziewczę na estradzie utknęło na chwilę jedną nogą w zdejmowanej spódniczce przerywając swój *jelly roll*, a kilkanaście par oczu, otępiących pod wpływem mentalnego aktu płciowego, spoglądało na mnie z oburzeniem.

Pod działaniem narastającego kompleksu mój Burt nie tknął ani jednego dolara z otrzymanych pieniędzy, złożył w banku około 20.000 — to znaczy wszystko co mu zostało po potrąceniu podatków, i postanowił szukać okazji, możliwie najryzykowniejszego *business*’u, w którym udałoby mu się potroić tę sumę, dociągnąć w przybliżeniu do wysokości 64.000 i odzyskawszy dzięki temu szacunek do siebie samego, okupić tchórzostwo i uwolnić się od „kompleksu”. — „Nie próbował pan grać?” — zapytałem. Skrzywił się z pogardą. To nie byłoby szlachetne, on chciał zmierzyć się z czymś w stylu Conrada, uczciwie, i naprawdę czegoś dokonać, przebić się przez jakiś tajfun. Jeszcze dziś, gdy ci o tym opowiadam, muszę powstrzymać się od śmiechu. A jednak było w tym także coś imponującego, coś co doskonale rozumiałem pomimo absurdalnych pozorów. Z tej spokojnej twarzy przeglądał młodzieńczy zryw i kładł się na niej refleks jasności z jaką poruszał się w swoim wnętrzu na pewno nieskomplikowanym, ale urzekającym właśnie swoją prostotą i zdrowiem. To nie był prymityw choć według naszych uczonych szablonów był tylko pierwotniakiem z epoki lodówkowej.

Ale to jeszcze nic. Okazało się, że on taki *business* znalazł. Na kilka tygodni przed naszym spotkaniem dowiedział się od kogoś czy też przeczytał w jakimś starym piśmie ilustrowanym, że lecąca niemal przed rokiem „Catalina”, zakupiona w Stanach przez rząd Chile do patrolowania wód terytorialnych przed pirackimi połowami ryb, wodowała przymusowo na jakiejś lagunie w Guatemali, niedaleko granicy meksykańskiej. Głowica jednego z cylindrów w prawym silniku wywaliła, poszła po skrzydło, silnik zapalił się, ale go ugasili. W każdym razie po szczęśliwym wodowaniu załoga opuściła maszynę. Wypadek został uznany za beznadziejny, bo rzeczoznawcy towarzystwa ubezpieczeń orzekli, iż nie było tam dosyć miejsca do startu nawet gdyby wrak udało się naprawić. Grat został na lagunie. To było coś dla mojego Burt. W miarę jego opowiadania przypominałem sobie o całym zdarzeniu, które u nas minęło wtedy bez echo. Byliśmy bodajże w czasie jednej z dorocznych rewolucyj.

Burt wziął urlop w fabryce, w której pracował jako kreslarz, poleciał do Guatemali, tam wynajął awionetkę i doleciał do miejsca wypadku lądując obok na plaży Pacyfiku. Przedarł się przez pół milowy pas zarośnięty dżunglą moczarów nad lagunę, zbadał wszystko dokładnie, porobił mnóstwo zdjęć fotograficznych i doszedł do wniosku, że to jest interes jakiego szukał. Wbrew opiniom rzeczoznawców on był pewny, że uda mu się wystartować. Wrócił do Stanów, wystąpił z fabryki, kupił *salvage rights* — sprzedano mu je z ochotą — kupił silnik w dobrym stanie aby zastąpić nim spalony i nie będąc mechanikiem, szukał współnika — o ile możliwości także z jakimś kapitałem, bo po większych zakupach brakowało mu już pieniędzy na drobne wydatki. Dał ogłoszenia do gazet, byli amatorzy, ale po oglądnięciu fotografii rezygnowali z ponętnej oferty. Nie byłem tym zdziwiony, bo gdy wyłożył na stoliku zdjęcia, zapytałem po chwili: „Czy to jest „Catalina”, czy „Nautilus”?” „Maszyna przebyła na lagunie całą porę deszczową, woda wypełniła kadłub i grat poszedł na dno, na szczęście w płytkim miejscu. W każdym razie na zdjęciach tylko skrzydła i stateczniki wystawały spod wody. Milczałem. On też nic nie mówił. Był w jego milczeniu urzekający mnie takt, jakby zrozumienie że w tego rodzaju decyzjach słowa są bezużyteczne i chodzi tu o coś, czego nie można nimi wyrazić.

Nie wiem. Prawdopodobnie „kompleks” trafił na „kompleks”, nastąpiło tajemnicze przyciąganie. Gdyby nie gazeta i potem młode dziewczęta na statku, pewnie nigdy nie zdecydowałbym się na to szaleństwo... To ciekawe, jak mało myśli się w takich wypadkach. Ja zwykle łapię się za nos i przestaję na chwilę oddychać. „Jak wyobraża pan sobie podniesienie tego z dna?” — zapytałem. „Teraz, pod koniec pory suchej, poziom wody w lagunie opada tak nisko że jakaś część kadłuba na pewno wystaje ponad powierzchnię. Wypompujemy. Ona poszła na dno jak puszka z sardynek wypełniona deszczówką” — mówił

cicho. Bałem się, ale może ja też potrzebowałem jakiegoś muru aby przebić się przez niego głową. „O.K. — od jutra zaczynamy” — odpowiedziałem.

Ogarneło mnie podniecenie. Mimowoli naprężyłem mięśnie w tydkach i wypinałem pierś upozowując się do jednego z tych pomników, których tyle stawia się samemu sobie we własnym wnętrzu. A cóż dopiero w takim wypadku. Ilość placów i skwerów jest w nas wówczas nieograniczona... Ale pomimo wszystko miałem stracha. Owoc długoletniej pracy i związane z tym marzenia zostały rzucone na stolik. Może jednak cały wyższy ton, szybsze obroty, na których wtedy pracujesz są właśnie wynikiem mieszaniny strachu i odwagi, zmagania się dwóch uczuć i ciągłym przemaganiem obaw? I może dlatego jest to tak wspaniałe, bo pozwala zachłysnąć się życiem aż do utraty tchu.

Przesiedzieliśmy do czwartej nad ranem omawiając szczegóły. Burt miał już wszystko opracowane. Nie zawieraliśmy żadnej pisemnej umowy, bo gdy wybór ogranicza się tylko do dwóch możliwości — wszystko albo nic — wystarcza uścisk ręki. W jego dłoni czułem od początku przyjaciela. Mógłbym ci godzinami opowiadać o wzruszeniach przeżywanych wtedy. Przygoda w każdym oddechu, w każdym ruchu, jakiś wicher szeroki i świeży ogarniający nagle wszystko, strugi kolorów ciekających i zalewających najgłupsze czynności barwami niespodziewanymi i oślepiającymi. Burt był spokojny i koncentrował się na każdym szczególe tak jakby od gatunku sznurka w hamaku lub systemu nożyka do otwierania konserw zależało powodzenie całego przedsięwzięcia. Mnie roznosiło.

Wyprawa nie była łatwa. Cały materiał przewieźliśmy samolotem do Guatemali i tu wynajęliśmy dwumotorowego Douglas'a aby przetrzucić to nad lagunę. Zapewniam cię, że gdy obciążona maszyna siadała na wąskim pasku plaży, czułem serce w przetyku i motylki w żołądku. Wieźliśmy ze sobą wszystko z naftową lodówką włącznie. Krzywiłem się trochę na ten wydatek, ale Burt oświadczył mi z wrodzonym spokojem, że nie jest fakirem i zbytecznego umartwiania się nie uznaje za oznakę wyższości kulturalnej. Był to lekki przytyk do moich częstych uwag na pokrewne tematy. Nie wiem dlaczego, ale wobec nich staramy się często uchodzić za kulturalnych Spartan. — „Przypominasz mi dziewczyny angielskie w czasie wojny. Gdy dawałem którejś parę nylonów lub kawałek jedwabiu na kombinację, mówiły mi rozbierając się: wy wygrzywacie tylko materiałem. Czy i ty sądzisz, że odpowiedni ekwipunek odbiera zasługę wyczynowi?” — pytał, gdy trochę złośliwie wydziwiałem nad jego wahaniem przy kupowaniu byle czego. Bo oczywiście w pierwszej chwili wydawało mi się, że dla niego lodówka lub puszka płynu przeciwko komarom jest wszystkim. Nasza psychologiczna wnik-

liwość w stosunku do nich przypomina mi bardzo często inteligencję kota skradającego się do ptaszków ćwierkających w głośniku radiowym.

Nie lądowaliśmy w pustkowiu. Wieść biegnie najszybciej na bezludziu i gdy tylko nasz Douglas zatrzymał się, obskoczyło nas kilkunastu Indian, którzy już wiedzieli, że *Gringos* mają zamiar naprawiać *el avión*. Przyszli tu przyciągani dolarem, tylko im wiadomymi ścieżkami, i ofiarowali nam swą pomoc. Była naprawdę potrzebna. Musieliśmy przerąbywać się przez pół milowy pas moczarów i przeciągać nasze bagaże i zapasy na czymś pośrednim, między saniami i tratwą. Nie wiem, kto wymyślił poezję tropiku. Może z daleka jest on poetyczny. Gdy jednak trzeba pocić się w tym kołtunie roślinnym, w którym nie ma chyba ani jednej nie kłującej gałązki, ani jednej oswojonej trawki i gdzie wszystko jest wrogiem, wówczas staje się on mniej poetyczny. Tropik jest przede wszystkim brudny i zawsze spocony, obojętny i przesycony melancholią, zimnokrwisty. Nie pamiętam już kto nazwał to „kontynentami trzeciego dnia stworzenia” i chyba trudno o lepszą nazwę. Ileż razy myślałem tam o naszej umiarkowanej przyrodzie, czystej, pełnej przyjaźni i dyskrekcji... Myślałem, ale nie jestem pewny czy tęskniłem. Bo tu pozostaje w krwi jakiś jad. I może właśnie ten jad jest poezją tropiku? Można się do tego przywiązać jak do trującego narkotyku — na całe życie.

Tymczasem kłamię na komary i mrówki, kleszcze i muszki i myślałem o „Catalinie”. Widok był rozpaczliwy. Nie ma nic bardziej martwego od uszkodzonej, niezdatnej do użytku maszyny. A trzeba ci było widzieć TE zwłoki. Oglądałem w życiu dużo szmelcu, ale nigdy dotąd nie miałem uczucia tak absolutnej śmierci, tak zupełnej martwoty. I to trzeba było ożywić, rzucić z powrotem w powietrze tysiące funtów metalowej padliny. Ogarnął mnie ogień, poezja cudu i smartwychwstania. Cudotwórcą miałem być ja, tylko ja, miałem wskrzeszać własnymi rękami.

Ustawiliśmy namiot, rozłożyliśmy obóz. Z przerażeniem spoglądałem na ciemne łąty wśród wodnych traw porastających brzegi bajora. Gęsta zupa larw i poczwarek komarów. Łuski z już wycoczwarzonych pokrywały wodę zbitym kozuchem jakby przy brzegu wysypano tysiące ton sieczki i na wszystkich roślinach w pobliżu dojrzewały uskrzydłone, ale jeszcze słabe potwory. Na zahartowanie wystarcza im jeden — dwa dni. Dorosłe poczułyśmy od razu. Wymachując rękami i podskakując pokazałem te całą wylegarnie Burtowi. „Tak — ale na szczęście gryzą tylko samice” — powiedział z anielskim spokojem ścigając gumą nogawki w kostce, rozluźniając pasek i rozpylając „Shelltox” w spodniach.

Zabraliśmy się do pracy. Pompowaliśmy przez tydzień, bez wytchnienia, dzień i noc. Nie mogliśmy kupić mocnej pompy i nasza mała, ze słabym silniczkiem, męczyła się jak dziecko.

Podtrzymałem ją, pieściłem, niemal z nią rozmawiałem. Nie pozwoiliem nikomu jej dotknąć. Rasę poznaje się przede wszystkim po jej stosunku do maszyny i dopiero wtedy widzisz do jakiego stopnia wszelki produkt techniki jest naszym wytworem. Tylko my potrafimy traktować maszynę po ludzku. Oni niszczą w ciągu dwudziestu czterech godzin, po czym naprawiają przez dwadzieścia lat — jak to gdzieś świetnie zauważył Siegfried. W naprawkach ich pomysłowość przekracza naszą. Wolałem jednak nie dawać im pola do popisu.

Po tygodniu nasza „Catalina” wynurzyła się z brunatnej wody tkwiąc w niej tylko kawałkiem potężnego brzucha, jak potrzeba. Była piękna. Przynęliśmy ją do brzegu i zakotwiczyli, wspierając lewe skrzydło w zarośla. „To dopiero początek początku” — powiedział wieczorem Burt podając mi stos diagramów połączeń elektrycznych i podręczników do obsługi. I zaraz potem, nalewając rum, zaczynał ze mną wywiad na temat organicznej antyrosyjskości Conrada, jego młodości i całego mnóstwa innych interesujących zagadnień. Wyobrażał sobie, że jako Polak muszę wiedzieć więcej od niego na niektóre tematy. A ja nie wiele wiedziałem. Dopiero teraz, pod wpływem Burta, zabrałem się do uczciwej lektury. „On ze mnie zrobił człowieka” — kończył zwykle opowiadając mi treść jakiejś noweli lub powieści, przytaczając opinie krytyków, syjąc datami i szczegółami. Słuchałem tego podziwiając nie tyle jego znajomość przedmiotu — zresztą wcale nie mechaniczną — ile zdolność przestawiania się. On potrafił nie myśleć ciągle o „Catalinie”, ja nie byłem do tego zdolny. Obawiam się, że w tym wszystkim on wykazywał więcej kultury. Po szczęśliwym starcie i sprzedaży odpowiednio wypacykowanej maszyny, planował kupno domku z ogrodem na Key West, motorówki i utrzymywania się z lekcji rybołówstwa wśród wakacyjnych turystów. Zazdrościłem mu tego wewnętrznego uporządkowania.

Najpierw czyściliśmy. W kabinach nagromadził się już muł, pijawki, zdechłe ryby — całe akwarium z małym aligatorkiem włącznie. To wtedy, na pierwszym kawałku oczyszczonej ściany, Burt zawiesił ten cytat o pracy z „Jądra ciemności”. W ciągu dnia prawie nie rozmawialiśmy. W pełnym milczeniu, z zaciętymi ustami posuwaliśmy się do celu. Nieraz patrząc na nas widziałem jakby dwa imadła zaciskające się powoli, coraz silniej. Byliśmy już sami, bo Indianie znikli po kilku dniach, doszedłszy prawdopodobnie do wniosku iż zarobili dosyć. Czekałem na ich powrót po przepięciu zarobku, ale jakoś nie wrócili. Grzebaliśmy się tylko we dwóch.

Praca. Zawsze zastanawiałem się, co można by powiedzieć o niej, jakie przeżycia łączą się z nią. Wydaje mi się, że żadne. Jeżeli nie identyfikujesz się z tym co robisz, to jest to zwyczajną nudą, zabijaniem czasu z ciągłym spoglądaniem na zegarek. Bezustanna męczarnia, w której wykorzystujesz każdą sposobność aby coś urwać z dniówki. Pracowałem w hutach, fabrykach

i warsztatach jako robotnik, pracowałem w biurach jako urzędnik i mogę cię tylko zapewnić, że moja jedyną filozofią w czasie godzin pracy było jak najdokładniejsze i najdłuższe załatwianie potrzeb naturalnych. Praca jest wtedy wrogiem, którego starasz się pokonać wszystkimi możliwymi podstępami. Stąd premie, stachanowizm, mitologia pracy. Zawsze przypominałem sobie wtedy biblię, według której wszelka praca jest karą i doskonałą *boutade* Wilde'a, że praca jest jedyną ucieczką ludzi nie mających nic do roboty. Tu była praca, która mnie pochłaniała, z którą identyfikowałem się zupełnie. Rozkosz, odnajdywanie siebie i własnej rzeczywistości? Nie wiem. Może raczej coś w rodzaju nirwany, nic, zupełne zamroczenie, sen, z którego budziłem się wieczorem na dźwięk lodu w szklance rumu. Zaczynaj robić coś skomplikowanego i natychmiast stajesz się w tym tylko czynnością, nie potrafisz myśleć „obok”. Próbowałem ale od razu popełnia się jakiś błąd. Musisz być tym, co w danej chwili robisz — i chyba zawsze, choćby częściowo, tracić siebie. Nie odnajdować się. Nie ma w tym właściwie nic, co można by ująć słowami, jest coś niesłychanie prostego jak skupienie promieni słonecznych pod soczewką. Absolutna koncentracja jest niewyraźalna i na dalszą metę pożądana. Jedynie wynik nadaje się do opisu i dopiero w wyniku odzyskujesz siebie, dopiero on może wzbogacić naprawdę. Mówić o samej pracy to tak, jak mówić o ceglach w katedrze. Co można powiedzieć o ceglach?

Naprawiałem lewy silnik, wmontowywałem prawy, potem plątałem się w labiryncie elektrycznych połączeń, które trzeba było instalować na nowo. Przystawałem istnieć za dnia, budziłem się do życia wieczorem w hamaku otępiały i ślepy. Czulem, że spalam się i że spalam się za szybko. To były pierwsze objawy. Siadałem w hamaku, zwieszałem nogi i wpatrywałem się w krople potu toczące się między owłosieniem i spadające na podłogę. Burt kręcił przy radiu i szukał, jak co wieczór, Earth'y Kitt. Nieraz szukał jej przez godzinę wędrując po całych Stanach Zjednoczonych, od stacji do stacji, i dopóki nie złapał choć jednej piosenki śpiewanej przez nią, nie mógł słuchać niczego innego. Ten codzienny rytuał doprowadzał mnie do podziemnej irytacji. Przypuszczam, że po prostu mu zazdrościłem. On coś miał, mógł się ucześcić choćby Earth'y Kitt lub Conrada, we mnie była pustka, zupełne oczadzenie pracą. Sięgałem wtedy do walizeczki i zaczynałem przeglądać moje archiwum. Co wieczór odbywałem długi niepotrzebny marsz wstecz by powracać z tych wypraw ze smakiem popiołu w ustach. Z przerażeniem na widok głupoty własnej, innych, całej epoki. Nie potrafiłem wspominać, nie potrafiłem tęsknić, rekonstruować ruin i rozczulać się na widok starych papierów i fotografii. Czulem nawet z tego powodu wyrzuty sumienia, bo chyba w żadnym innym narodzie nie mierzy się patriotyzmu i przywiązania do ojczyzny taką ilością głupstw i kieszonkowych świętości. Wydawało mi się, że coraz bardziej zatracam sens życia, że obojętność na widok tych sta-

rych dokumentów pozbawia wszystko śladów celowości. Nigdy dotąd nie zastanawiałem się nad sensem życia, bo po prostu żyłem i sama funkcja życia i walki o nie pochłaniała mnie zupełnie. Nie myślałem nigdy o śmierci pomimo że kilka razy w życiu otarłem się o nią blisko, bo byłem w tym podobny do Wokulskiego, który nie tyle się jej bał, co brzydził. Śmierć, każda, była dla mnie przede wszystkim wstrętą. A tu któregoś wieczoru wydało mi się, że zaczyna podchodzić za blisko.

Coś jakby skradało się i zaciskało wokół piersi. Obcierałem twarz lepką od potu koszulką, zbierałem drżącymi rękami papiery i fotografie i trzymając portfel w prawej ręce, wyciągałem się w hamaku. Wpatrywałem się w lśniący pod światło czubek lewej sutki jakby była peryskopem serca i mogła mi coś powiedzieć o ruchach w głębi. Odkładałem portfel, łapałem się za puls i czułem, że był nikły choć równy. Zaczęło się od tego. Z początku trwało krótko i udawało mi się to zagadać. Wstawałem, nalewałem sobie szklankę rumu, prosiłem Burta aby puszczał radio jak najgłośniejsze. Ale pozostawało wspomnienie. Trudno to określić. Było to jakby otarciem się o pustkę, o przerażające nic. Wyobrazić sobie zupełnie nic jest tak samo trudno jak wyobrazić sobie wieczność, coś, co nie tylko nie ma końca ale i początku... Na pewno nie umiałem sobie tego wyobrazić, lecz zdawało mi się, że to nic wyczuwam. I to było najgorsze.

Po miesiaćcu oszalałej pracy wszystko było z grubsza gotowe i wykańczaliśmy szczegóły. Nie mogłem porządnie wypróbować silników, bo wówczas przywieziona benzyna nie wystarczyłaby nam na półgodzinny lot do najbliższego portu. Gnębiło mnie to i czym bardziej zbliżał się decydujący dzień, tym więcej zaczynałem się — bać. Czułem, jak z każdym dniem coś się we mnie łamie, jak puszczają jakieś nity i wdziera się strach. Wieczory były najgorsze. Chodziłem z kąta w kąt, wycierałem spoczone ręce o sznurki hamaka i nagle przychodziło mi na myśl, że już od kilku dni przeglądam moje papiery tak, jakbym zamierzał zrobić testament, jakbym już niedługo miał umrzeć. Czułem wzburzenie, niepokój, narastający gdzieś w głębi coraz wyżej i rozsadzający piersi przerażeniem nie do opanowania.

Pojawiły się już wtedy świetliki zapowiadające bliskie nadejście deszczów i wpadały o zmroku do otwartej kabiny. W nocy, po zgaszeniu światła, patrzyłem jak konały wolno na podłodze, porażone przeciwkomarowym „Shelltoxem”. Już nie-ruchome, rzuciły tylko od czasu do czasu rozpaczliwe wołania rozszarżając podbrzusza ostrym, zielonkawym światłem, męcząc się i czkając coraz to słabszymi i rzadszymi błyskami. Zamykałem oczy, nie chciałem na to patrzeć, ale i tak pod spuszczo-nymi powiekami widziałem dalej te świetelki, wpatrywałem się w nie wplatając palce w sznurki hamaka i szarpiąc węzłki w przypływie histerycznego żalu i litości nad tymi owadami. Byłem pewny, że któregoś wieczoru stanie się ze mną to samo co z nimi. Bez światła...

Od samego rana ogarniał mnie strach na myśl o nocy, o chwili usypiania.

Po zamknięciu drzwi do kabiny i zaświeceniu lampy przesu-kiwałem podłogę zbierając umierające owady do pudełka, w którym rzucały zielonkawe ognie jak garstka ożywionych szmaragdów. Nigdy nie udało mi się wybierać wszystkich i gdy rozglądałem się w ciemnościach, gdy już byłem pewny, że tej nocy usnę spokojnie, nagle z jakiegoś kąta dobiegało fosforyzujące S.O.S. Było ze mną coraz gorzej. Wstydzilem się powiedzieć o tym Burtowi, bo spoglądając na niego byłem pewny, że mnie nie zrozumie. On był spokojny, dzień po dniu wyzwalał się od swojego „kompleksu”, szedł ku wygranej coraz pewniej. Jego punkt równowagi nie uległ żadnemu przesunięciu. Toteż musiało wpływać na mój stan. Gdy raz napomknąłem mu, że przy starciu możemy się bardzo łatwo zabić, uśmiechnął się i powiedział: „To się nie liczy. Dla mnie najważniejsze będzie to, że dokonaliśmy dzieła — *that we have done it*” — jak oni mówią. A zresztą cóż mógł on zrozumieć skoro ja sam nie wiele z tego rozumiałem? Mówi się nieraz iż ktoś umarł nie tracąc przytomności. Mnie wydawało się, że nie tylko umrę, ale że dostanę pomieszania zmysłów nie tracąc przytomności.

Pracowaliśmy nie tak gorączkowo jak przedtem, ale wśród ciągle wzrastającego napięcia. Deszcze spóźniały się. Od rana do zmroku, wśród zagęszczającej się ciszy — tuż przed nadejściem deszczów dżungla cichnie z dnia na dzień — słychać było tylko krzyki *gruyas* — monotonne, płaczliwe, irytujące jak łzy głupiej kobiety. Czasem zdławiony świszą, tępy plusk pelikana spadającego do wody w pogoni za rybą lub szelest skrzydeł jakichś ptaków, nerwowe loty papug nagle dobrze wychowanych i nie kłócących się bezustannie. Staralem się nie myśleć i być tylko rękami, wchodzić cały w końce palców. W dzień trzymałem się, ale gdy tylko słońce traciło blask i stawało się pomarańczowe, potem miedziane i wpadało szybko poza czubki drzew, gdy w krótkim półmroku zaczynały migać w locie świetliki podobne do *tracer*ów wystrzeliwanych z gęszczy nadbrzeżnego, traciłem rozpęd, kulilem się ze strachu bity po głowie pytaniami, które po raz pierwszy przybierały we mnie postać określonych, wyraźnych zdań.

Po co to wszystko? Kim jestem? Jaki jest sens życia? Najbardziej banalne pytania, od których zaczyna się mając szesnaście lat i na które wówczas nie szuka się odpowiedzi, bo wiadomo że nic tak nie wydorosła jak mnóstwo podobnych pytań skierowanych w próżnię. Potem przychodzi młodość, życie, mocowanie się z losem. Ja nie myślałem w tym okresie o celu życia, bo samo życie było dla mnie celem. I dalej nim jest. Ale... Właśnie do tego „ale” dochodziłem tam, tylko że w dosyć dziwny sposób.

Któregoś wieczoru przyszło znowu to coś, zmroziło stopy i palce u rąk zamieniło w sople lodu. Leżałem nieruchomy i ba-

łem się poruszyć, bo zdawało mi się że najłżejszy ruch mógłby mnie dobić. Czułem się bezbronny. Nieokreślony żal i rozkołysany ponad tym strach, wznoszący się coraz wyżej i łamiący się na szczycie, zsuwający w dół i potem znowu sunący w górę — zapierał mi oddech. Chciałem o tym nie myśleć i wtedy uciekałem w automatyczne „Ojcie nasz”, odmawiane jedno za drugim, pośpieszne, ścigające się z tym czymś, co nadchodziło. Śmierć — do tego z przedmową. Bałem się o niej pomyśleć wyraźnie, gdzieś w tyle czaszki rysowała mi się mgliście jakby pisana mgłą na niebie. Równocześnie wstyd, podwójny: raz, że nie potrafiłem się nie modlić i dwa, że dopiero w takiej chwili przypomniałem sobie o pacierzu i szukałem w nim ratunku. A zatem usprawiedliwianie się, niemal dyskusja z Bogiem, o którym — nagle byłem o tym przekonany — nigdy nie zapominałem naprawdę, w którego zawsze wierzyłem, któremu poświęcałem przecież całą moją pracę, i wysiłki, i trud, i nędzę bytu. Czułem jak brnę w retorykę i — brnąłem w nią. „Czy miałoby to wszystko jakiś sens gdyby nie On?” — pytałem niby sam siebie, ale tak aby On to usłyszał. Pozbywałem się całej dumy i jak płaczące dziecko do matki, tak ja szukałem teraz u Boga pociechy — łypiąc okiem z kokieterią dziecka.

Opowiadam ci o tym z całą swobodą, bo jeszcze ciągle spoglądam na siebie z tego okresu jak na kogoś innego, mam przed sobą kawałek, który nie przyrósł. Jesteśmy dziwnym pokoleniem. Jako młodzi trochę wierzyliśmy i trochę nie wierzyliśmy, byliśmy trochę cyniczni i trochę patetyczni, myślowo jałowi. Jedyłą naszą myślą była i jest Polska — niestety. Po czym umieraliśmy na wysięgi czy trzeba, czy nie, bez sprzeciwu, piękni i inteligentni jak ómy lecące w płomień. Pewnie dlatego, po tym wszystkim, część z nas przyjęła z taką łatwością bzdury „nowej wiary”, a część przysiadła się do „starej wiary”, wybierając w niej najmniej krępujące miejsca. Staliśmy się chrześcijanami, nawet katolikami. Ale jakimi? Chyba przede wszystkim politycznymi, do radia. Na jakich podstawach opieramy naszą etykę lub niemoralność nie będąc właściwie niczym? Przyparty wtedy do muru, klepiąc nagle pacierze z wprawą tercjarki, zadawałem sobie to pytanie bezustannie, czując że podszywam się bezprawnie i szukając choćby w nim samym jakiegoś usprawiedliwienia. Przynam ci się, że nawet antypatyczny mi Léon Bloy, który potrafił zdobyć się na taką akrobację jak wysypianie się z prostytutką, po czym — nawrócenie jej — wydawał mi się wtedy prawie świętym. I mędrce. Bo ja potrafiłbym tylko zdobyć się na pierwsze nie próbując nawet drugiego. Uciekałem, mechaniczną modlitwą odcinałem się i tamowałem drogę strumieniowi myśli, broniłem się przed wskoczeniem weń po szyję wprawiając sobie, że to nie on lecz właśnie tama jest ważna i liczy się naprawdę. Targowałem się, nie chcąc w gruncie rzeczy nic zapłacić. Tego rodzaju targi, na serio, są możliwe chyba tylko z — Bogiem. „Przebaczy, przebaczy — to Jego fach” miał

powiedzieć umierający Heine. Nie mówiłem tego wprost, ale...

Gdy osłabienie przechodziło, myślałem o tym na zimno. Konsekwencją upału, zaduchu w zamkniętej kabinie, miesiąca gorączkowej pracy w tym klimacie, napięcia nerwowego rosnącego teraz z każdym dniem i skupiającego się na jednym pytaniu: „Czy to się uda?” Starłem się jak najprędzej zapomnieć i myślałem, że od razu po starcie, gdy wydobędziemy grata z laguny, pójdę do kliniki na szczegółowe badanie. Widziałem już niemal pasek kardiogramu z regularnym zygżakiem i uspokajałem się. Nerwy albo pasożyty. Lekarz poradzi abym przestał palić i pić i grał w golfa. Tropikalna recepta. I tak miało się aż do następnego wieczoru. Nie skończyło się jednak na klepaniu pacierzy. Poszedłem jeszcze dalej.

W kilka dni później upał od wczesnego rana był nie do zniesienia i wokoło panowała pochmurna cisza. Słońce znikło w mgłę opadającej coraz to niżej i gorącej jak para buchająca z imbryka. Piliśmy kawę nic nie jedząc i czasem spoglądaliśmy na siebie w milczeniu. Obydwa mieliśmy w głowie tylko jeden wyraz: deszcz. W pewnej chwili usłyszeliśmy ciche podzwanianie na skrzydłach. Wybiegliśmy z kabiny. Na górze była dalej cisza i upał, z nieba nie spadła ani jedna kropla i tylko prawy płąt obsiadła chmura muszek, wśród których uwijały się roje małych ptaków stukając w dural dzióbkami. Mgła opadała powoli, słońce rozpałało się coraz mocniej i znowu zaczął przeświecać beznadziejny błękit czystego nieba. Kleiliśmy szepem dostrajając się do otoczenia. To mnie wykończyło — czułem najwyraźniej. Gdyby spadło wtedy choć kilka kropel deszczu naprawdę, byłbym ocalony. Właśnie takie głupstwo, zawód...

Lewy, stary silnik, nie dawał mi spokoju. Co rano wlałem na skrzydło i nieraz przez godzinę leżałem wpatrując się w niego i sprawdzając w myśli punkt po punkcie czy o czymś nie zapominałem. Marzyłem o kilkudziesięciu galonach benzyny na dokładniejsze wypróbowanie, ale nie było ich skąd wziąć. Czułem się naprawdę omotany, bezsilny; patrzyłem już teraz spokojnie jak szwy we mnie puszczają i rozłazą się.

W ten dzień też wylazłem na górę i podłożywszy *petate* żeby nie usmażyć się żywcem, leżałem na skrzydle. Nagle usłyszeliśmy warkot silnika, nikły i zbliżający się wolno w naszą stronę. Po chwili zaczął krążyć nad nami złoty „Piper” z pływakami. Widać było że szuka wejścia na lagunę. Zsunąłem się na dół i staliśmy z Burtem na pokładzie podnieceni odwiedzinami i perspektywą zobaczenia ludzkiej twarzy po miesiącu samotności. „Piper” zatoczył koło i schodził wolno do wodowania. Burt obserwował z uwagą i gdy pływaki dotknęły lekko powierzchni wody najpierw tyłem, piętami, zanurzając się stopniowo, cmoknął z uznaniem. Tymczasem awionetka zawróciła i na wolnych obrotach dosuwała się do brzegu obok nas. Potem zgasła silnik i z kabiny zeskoczył na pływak jakim młody, wysoki brunet w kwiecistej koszuli, w roboczych „blue jeans”

i boso. Wyciągnął krótkie wiosło i jak gondolier manewrował z wprawą pękatym „Piperem” zakotwicząc go przy brzegu. Już z dołu krzyknął wesoło: *Hi boys — how are you doing* i wdrapał się na nasz pokład. Obydwaj spoglądaliśmy na niego trochę zdziwieni. Widocznie zauważył to, bo zaśmiał się i powiedział: „Oh yes — ja zawsze latam boso, bo mam lepsze czucie w pedałach”. Zaczęliśmy się wszyscy śmiać i przedstawialiśmy się sobie rozbawieni. „Ojciec Andrew Ranalli, misjonarz franciszkanin, o pół godziny lotu stąd nad jeziorem Quix-tán. Nie ma na mapie. Ale będzie...” — powiedział śmiejąc się i ściskając nasze ręce. Trochę zgłupiałem na widok franciszkanina latającego w awionetce, w koszuli „hula, hula” i boso dla lepszego czucia w pedałach. A jednocześnie coś jakby pchnęło mnie od razu ku niemu. „Benzyna” — pomyślałem. „Poproszę go o pół beczki benzyny, może nam ją dowieźć”. Opowiadał, że będąc ostatnio w mieście słyszał o nas i postanowił odwiedzić sąsiadów.

Z myślą o mojej benzynie wyciągałem go na rozmowę podchodząc powoli do rzeczy, zbliżając się z całą naszą europejsko-latyńską nieszczerością zamiast ruszyć wprost. Opowiadał mi że zna Polaków z czasów niewoli w jakimś „Stalagu”. „Wy jesteście narodem naprawdę katolickim” — powiedział. Nie chciałem mu wyjawiać, co ja myślę o naszym przysłowiowym katolicyzmie i zamiast tego wpadłem w normalne banały, które zawsze prawimy sobie i obcym na ten temat. Co gorsze, że sam rozrzewniłem się przy tym, bo nic nas tak nie rozczuła jak narodowe celebrowanie o zachodzie, przedmurzu itd. Można tym wszystko zastąpić i nawet sprawiać wrażenie myśliciela. Chodziło mi o benzynę, choć musiał być we mnie podświadomy pęd ku czemu innemu. Wspomniałem mu bowiem że i ja jestem katolikiem, rozklejałem się i wreszcie z całym przejęciem opowiedziałem mu że już od lat, na przykład, nie byłem u spowiedzi, bo przecież to tak trudno spowiadać się w obcym języku, którego nie zna się zbyt dobrze. Poniósł mnie nasz katolicki snobizm, tradycyjny sentyment do słowa „ojciec” nawet w angielskim brzmieniu. Krótko mówiąc zgrywałem się, wciągałem sam siebie w zasadzkę. Bo gdy tylko wspomniałem o tym, wesoły Father Andrew spojrział na mnie z powagą i z troską w oczach. „Wprawdzie wolno nam to stosować tylko w wypadku głuchoniemych, ale jeżeli pan chce, może się pan wypowiedzieć pisemnie. Na pewno będzie panu łatwiej” — powiedział kładąc mi rękę na ramieniu i lekko przyciągając ku sobie jakby chciał zachęcić mnie i dodać otuchy. Bąknąłem coś niewyraźnie, jestem pewny, że zacerwieńnię się po uszy i dopiero teraz zacząłem dukać nieśmiało o benzynie, pokazując na lewy silnik.

Zgodził się natychmiast, sypał znowu żartami, oświadczył że nazajutrz przywiezie nam trzydzieści jeden galonów licząc w to galon białego „Baccardi”. Ja nie śmiałem się. Czulem się jak szczur w pułapce; bezradny, zalękniony i głupi. Dałem się

złapać. Oczywiście mogłem puścić to wszystko kantem, zbalansować mniej lub więcej zręcznym zagadaniem siebie samego, tym bardziej że tak zwanych postępowych i oświeconych argumentów nigdy w takich wypadkach nie brak. W tej dziedzinie byle dureń staje się nagle filozofem i wolnomyślicielem. W normalnych okolicznościach poszedłbym prawdopodobnie utartym szlakiem ślizgając się na zawsze sztywnym „mnie to nie odpowiada” lub trochę szelmowskim i wygodnym „są to rzeczy do których nie wolno się przymuszać” tak jakby człowiek nie musiał się zawsze przymuszać do powiedzenia o sobie prawdy. Stałem tam, patrzyłem jak Ojczulek startował biorąc kurs na najbliższe jezioro koło stolicy i wtedy dopiero zrozumiałem z kwaskowatym uśmiechem wewnętrznym iż nie mając odwagi nie być katolikami publicznie, często nie mamy odwagi być nimi prywatnie. Nie pomogą tu żadne wykręty. Na końcu rozumowania pozostaje tylko albo — albo, albo jesteś, albo nie jesteś. Reszta to intelektualne bawienie się w chowanego. Nie uśmiechaj się i niech ci się nie wydaje że przesadzam, ale mam wrażenie — nawet w tej chwili — że w dużej skali odbywa się z nami coś podobnego, co ze mną odbywało się na lagunie. Pod naporem „nowej wiary” gramy komedię i kokietujemy podobnie jak ja przyciskany wówczas śmiercią z uwerturą. Z tą różnicą, że wielka śmierć sunąca ku nam nie jest wyimaginowana...

Przez całe popołudnie nie wiedziałem, co o tym myśleć, strąciło mnie to z cokołu. Tłumaczyłem sobie — czego nie wynajduję się w ratownictwie własnej dumy — że ostatecznie benzyna jest warta tego, że zawarliśmy z mnichem coś w rodzaju umowy i niedotrzymanie zobowiązania z mojej strony, czy może raczej nie wzięcie pod uwagę kontrproponycji, byłoby nieolejalnością w stosunku do niego. W każdym razie o zachodzie słońca byłem zdecydowany.

Nie wiem, czy Burt coś słyszał, czy domyślał się, czy też był to zwykły zbieg okoliczności, ale miałem wrażenie że zachowywał się trochę jak ministrant... Nie kłął, uśmiechał się do mnie jakby z odcieniem nieśmiałości i gdy wieczorem nalałem sobie szklanek rumu, zapytał nagle: „Nie chcesz trochę Coca-Coli?” Wypiłem mój rum duszkiem, nalałem drugą szklanekę i zacząłem grzebać w papierach. On usiadł przy radiu i wysukał — muzykę organową. Wściekłem się. Spojrzał na mnie i powiedział całkiem serio: „Jest tak gorąco, że chciałem się ochłodzić. Organy są dla mnie zawsze jak wentylator”. Zakląłem głośno. Byłem trochę pijany, miałem ochotę płakać, czulem w piersiach skuczającego szczeniaka. Złapałem jakiś klucz francuski leżący pod ręką, cisnąłem nim o podłogę i warknąłem przez zaciśniętą zęby: „Znajdź Earth'ę Kitt — Mambo de Paris”. Spojrzał na mnie spod oka. Zacząłem pisać przy dźwiękach czekoladowego jazz'u. Fason, podły w gatunku, ale zapewniam cię że byłem szczery. Czulem, że właśnie takiej muzyki potrzebuję jako korkociągu, że przy niej — przez kontrast — łatwiej

puszczę farbę. Było to podświadome i było poddaniem się z rzuceniem niemal bluźnierstwa, jak oddanie ostatniego strzału.

Pisałem prawie do rana, zapisałem moją niezgrabną angielszczyzną dwadzieścia kartek poniesiony nagle... czy ja wiem? Może bardziej rumem niż chęcią wyśpiewania wszystkiego, choć nie jestem pewny czy już teraz, opowiadając ci o tym, nie staram się jednak ukrywać poza czymś aby nie wydać ci się sentymentalnym barankiem. Pisałem i wydawało mi się że dziś, w tym naszym świecie, może nie tak ważne jest to, co czynimy — nawet tak zwane grzechy uległy standaryzacji — jak to, czego *nie* czynimy. Może raczej z nieczynienia należałoby się spowiadać? Nie pamiętam już, ale bodaj że Bernanos gdzieś to podobnie wyraził. I wtedy zrozumiałem to w pełni. Pisałem patrząc spokojnie na zdychające świetliki. Byłem kimś innym, ale nie byłem sobie obcy.

Nazajutrz spałem dłużej i po przebudzeniu czułem się dosyć dziwnie. Coś się stało i wiedziałem że się nie odstanie. Spoglądałem z boku na walizeczkę, w której zamknąłem zapisane kartki i wydawało mi się, że zamknąłem w niej coś żywego. Nawet odruchowo sprawdziłem czy nic z niej nie uciekło. Nie — nie przeczytałem tego, krępował mnie ten ktoś złożony w pliku dwudziestu arkusików papieru. Niecierpliwiłem się i chciałem mieć to wszystko jak najprędzej poza sobą.

Koło jedenastej Father Andrew osiadł na lagunie i od razu po zejściu na pływak zaczął do nas wywijać oplataną butlą „Baccardi” i krzyczeć, że oprócz tego wyłudził od kogoś skrzyneczkę prawdziwych „Partagasów” hawańskich po dolarze sztuka. Pomagaliśmy mu cumować i wyciągać beczkę z benzyną. Opowiadał nam że na Yukatanie zaczęło już lać regularnie i że pewnie za kilka dni deszcze przyjdą także do nas. Mimowoli traktowałem go teraz z szacunkiem, trochę tak jak traktuje się agentów podróży wielkich firm.

Na pokładzie, po chwili rozmowy, wykrztusiłem: *I wanted to have a little chat with you* i wzięwszy go pod rękę, zaprowadziłem do kabiny. Tam on spojrzał na mnie pytająco i gdy kiwnąłem głową, uśmiechnął się i usiadł na jednej ze skrzyniek. Wręczyłem mu moje wypracowanie. Była znowu zupełna cisza i tylko przez okienka wpadały monotonne łkania *gruyas*. Wyciągnął z tylnej kieszeni stulę i zarzucił ją sobie na szyję. Wiesz — stula na tle kwiecistej koszuli z krótkimi rękawami, obcisłe *blue jeans* i bosc stopy... Nie znam się na liturgii, ale obawiam się że nie był z nią tak całkiem w porządku. Potem odbyło się wszystko normalnie. On czytał a ja przyglądałem się jego profilowi i myślałem, że w tej koszuli, z atletycznymi barami, podobny był do Williama Holdena. Następnie zupełnie mimowoli przypomniałem sobie mój tekst i byłem zaskoczony, bo pamiętałem niemal słowo w słowo.

Trwało to prawie godzinę. Zebrał kartki, podarł je w drobne strzępki i wyrzucił przez okienko na wodę. Ja też wstałem.

Byłem zupełnie rozpruty, chwiejny, z całkowicie przesuniętym punktem równowagi. „To dobrze robi — można się przyzwyczaić” — powiedział. Pokiwałem głową. „Wie pan — ciągnął — mój ojciec twierdził, że wszystko jest w znacznej mierze kwestią przyzwyczajenia. Gdy zaraz po wojnie chciałem się zenić, powiedział mi: żeń się — przyzwyczaisz się”. Uśmiechnął się. „To co pan powiedział na końcu jest słuszne. Cóż z tego? — pyta pan. Nie wiemy. Są ludzie, którzy próbują przestać palić choć nigdy całkiem nie przestają. Ale chodzi o to, że próbują. Niech pan próbuje. To także się liczy. Wszyscy musimy próbować. Z tych prób wychodzą czasem — święci”. Wróciliśmy na górę.

Po *drinku* na pokładzie odleciał na swoje jezioro życząc nam szczęśliwego startu. No tak — w każdym razie czułem się znacznie lepiej i — starałem się już o tym wydarzeniu nie myśleć. Wypróbowałem silnik, uspokoiłem się, byłem znowu gotowy na wszystko i zaczepny. Tylko na odmianę wewnętrzną pogodą niepokoiła mnie, wstydziłem się jej sam przed sobą. Lekarstwo wydawało mi się za proste i za wygodne, słyszałem ciągly szept dumy — dumy człowieka, który kiedyś nagle odkrył, że samemu trudniej i godniej, że nic jest większe od czegoś. Może. Ale gdy domyślałem to do końca, gdy wracałem do mojego doświadczenia, wydawało mi się że żadna z dwóch dróg nie jest trudniejsza od drugiej. Obydwie są jednakowo ciężkie pod warunkiem wybrania tylko jednej i kroczenia nią konsekwentnie. To co my uprawiamy jest ciągłym przeskakiwaniem z jednej na drugą, wygodnictwem.

Po paru dniach przyszyły deszcze. Szum nieprzerwany, strumienie wody wylewające się z chmur na ziemię, zapierające oddech. I chłód, nareszcie trochę prawdziwego chłodu. Ale gdy tylko ulewa cichła, zwykle przed południem, i spoza chmur przeświecało słońce, las buchał gorącą parą. Kolory zmieniały się niemal z godziny na godzinę. Laguna wypełniała się szybko, po każdej nocy brzeg uciekał coraz dalej. Burt w czasie każdej przerwy w deszczach wypływał naszą łódką, robił pomiary, przygotowywał się. Ja zbierałem wszystkie graty, które musieliśmy zostawić żeby nie obciążać niepotrzebnie maszyny.

Udało się. Ten ranek pozostanie mi na zawsze w pamięci. Siedziałem obok Burta. Niebo pokrywały brudne chmury, ale pułap był dosyć wysoki. Po całonocnym deszczu ruszył wiatr. Gdy silniki zaskoczyły i zaczęliśmy wolno płynąć aby ustawić kryptę do startu, gdy w chwilę później ruszyliśmy na 2550 obrotach, zneruchomiałem. Udało się. Nie umiałbym wyrazić co działo się we mnie w czasie tych długich sekund. Zamieniłem się w obydwą silniki. Najpierw przeciwny brzeg sunął ku nam coraz szybciej, czułem łagodny zakręt, potem zarządy dalekich drzew i lekko pofalowana, kremowa powierzchnia wody w lagunie rozmazała się w oczach i niemal znikły. Gdy wyrwaliśmy w ostatniej chwili, na milimetr, i nisko pod nami zaczęła migać

gąbka dżungli, gdy rozpostarła się tafla morza, Burt uśmiechnął się do mnie i wystawił w górę dwa wielkie palce. Radość. I wtedy, zupełnie nagle, przyszedł mi na myśl teoremat Le Chatelier'a. Według niego, gdy jakaś dodatkowa siła wywrze działanie na system znajdujący się w stanie równowagi, wówczas punkt równowagi w tym systemie przesunie się w takim kierunku, w którym oddziaływanie tej siły ulegnie osłabieniu. Zaczęłam o tym myśleć, bo już nad morzem, wśród monotonnego i zdrowego warkotu silników uświadomiłem sobie że jednak tam, na lagunie, cały mój system został poddany działaniu jakiejś siły, wbrew mojej woli, i że mój punkt równowagi przesunął się na pewno. Ale nie w kierunku, w którym jej działanie uległoby osłabieniu. I to do dziś nie daje mi spokoju.

Andrzej BOBKOWSKI



Archiwum polityczne

Jak niegdyś...

Jak dotąd nie mamy urzędowej wersji tego, co zaszło w Poznaniu. Zamiast ścisłego opisu, dostajemy szczegóły i szczególiki, w których znajdujemy nie mało sprzeczności.

Pierwszy przemówił Cyrankiewicz, piętnując zajścia poznańskie jako prowokację, jako dzieło obcych agentów i zbrodniczego podziemia. Już dnia następnego „Trybuna Ludu” oświadczyła, że to niezadowolenie robotników, niezadowolenie zupełnie słuszne doprowadziło do strajku i manifestacji. I wszystkie dalsze wyjaśnienia kołczą się między „niezadowoleniem” i „prowokacją”. Za pierwszym stoi beztwarzowy wróg — biurokracja, za drugą — obca agentura, czy zbrodnicze podziemie (tego żadna despotyczna administracja nigdy nie umiała rozróżnić) — dwie potęgi nieomal mityczne, wobec których nieszczęśliwa zwierzchność jest zupełnie bezradna — więc uciekła pod ochronę czołgów. Wszystko według starego wzoru. Nigdy żadna tyrania szczerzej analizy niemiłych dla siebie wypadków nie dała.

Jedno jest pewne — że rozruchy poznańskie uderzyły jak pałką w łeb tych, co sprawują dyktaturę nad polskim proletariatem. Sam Ochab stwierdził, że partia nie przeczuwała nawet, że w Poznaniu zbiera się burza. Wynurzenia te zadają kłom wszystkim zapewnieniom, że KC ZPR reprezentuje klasę robotniczą w Polsce. Nie tylko nie reprezentuje, ale nie umie nawet jej obserwować. Zajmuje względem niej stanowisko takie samo, jak pod wszystkimi szerokościami geograficznymi, we wszystkich czasach zajmowali władcy, opierający swe panowanie na bagnietach.

Dodajmy w nawiasie, że w tym samym nieomal stopniu dostała pałką w łeb i myśl polityczna emigracyjna. Wszystkich nas pochłonęły sprawy „odwilży” i jej objawy w prasie, czasopiśmie, na naradach i konferencjach. W tym wszystkim zatraciliśmy wyczucie tego, co się dzieje naprawdę. I ta prawda, że robotnik pozostał nadal najważniejszą siłą rewolucyjną w Polsce (a i w innych krajach podniewołnych) — znikła nam z oczu. Trzeba

było dopiero przelanej krwi, by spędzić owe tumany rozgadania i ujrzyć, że przede wszystkim robotnik stanowi to, co tak często zowie się emigracją wewnętrzną.

To, co wiemy, daje nam dość dokładny obraz walk, jakich widownią był Poznań. Robotnicy, doprowadzeni do ostateczności przez wyzysk, uprawiany przez etatystyczną administrację, wspomagana przez niedo-partię i niedo-związki zawodowe — porwali się do protestu. Tłum wyszedł na ulicę. Maszerując wchłaniał pracujących innych zakładów — rósł. I jak zawsze w takich wypadkach — nabierał poczucia mocy. Jak zawsze nienawiść buchnęła, zwracając się przeciw najbardziej jaskrawym symbolom tyranii! Właśnie tak było w czasie rewolucji francuskiej. Tak samo rzucał się tłum na więzienia gdy wiosna ludów powiała przez Europę. To samo widzieliśmy w dniach czerwcowych 1953 roku w Berlinie.

Więzienie, siedziba milicji, partii, stacja zagłuszeń radiowych — gmach Bezpieki. Tam parły tłumy. Po drodze chwytano broń. Kto zna przebieg ruchów rewolucyjnych, wie doskonale, że właśnie w ten sposób rozpętuje się żywioł rozruchu wszędzie, gdzie rozpacz wypchnęła ludzi na ulicę. Tej rozpaczki zapobiegają najskuteczniej legalne reprezentacje interesów robotniczych. Ale w Polsce ich nie ma.

Rzecz jasna, że każde rozruchy wykorzystują na swój sposób elementy kryminalne — dla rabunku. Hieny są wszędzie. Prasa komunistyczna rozpisuje się o tym szeroko. Ale na razie o dowodach jakoś cicho. Czytamy doniesienia o napadach na pewne osoby, na ich mieszkania. Ale wszystko przemawia za tym, że napady owe zwracały się przeciwko znanym i najbardziej znienawidzonym funkcjonariuszom Bezpieki i to przede wszystkim tym, którzy operowali w fabrykach. Tłum rozprawiał się ze swymi wrogami.

I jeszcze jeden fakt charakterystyczny. Władze partii w tych dniach po prostu znikły z powierzchni ziemi. Jej funkcjonariusze zachowali się całkowicie biernie. Nikt nie podniósł głosu w obronie „ładu i porządku”. Natomiast zwykli posiadacze legitymacji partyjnych, komórki „oddolne” brały udział nie tylko w demonstracji ale i jej przygotowaniu.

Czy liczby urzędowo podane są prawdziwe? Znowu nie wiemy. Są to jednak liczby bardzo poważne. Nawet za caratu nie wiele demonstracji pociągnęło tyle ofiar.

W Polsce znajomość broni jest powszechna. Militarizm sowiecki nie mało się do tego przyczynił. Tam, gdzie gromadzą się tysiące na pewno nie zabraknie umiejących obchodzić się z kaemem. I znów jest rzecz niezmiernie charakterystyczna: bronią zdobytą kierują nie weterani wojen i partyzantki — ale ludzie młodzi — wychowankowie ZMP.

Manifestacja poszła w rozsypkę. A jednak — robotnik odniósł zwycięstwo. Władza była zmuszona iść na ustępstwa — podwyżki płacy, zwrot nieprawnie pobranych podatków; obie-

cano też poprawę zaopatrzenia. Władze przyznały, że uprawiały wyzysk, że podatki obliczano w sposób krzywdzący — uprawiano więc i wyzysk za pośrednictwem urzędników skarbowych; i trzeci wyzysk za pośrednictwem organów zaopatrzenia. Takie przyznanie wyrwać jest nie łatwo. Wprawdzie w każdym w tych wypadków zwalono ostatecznie winę na biurokrację. Ale przecie wiadomo kto ją stworzył i kto nią kieruje.

Robotnik zwyciężył i pod względem politycznym. Manifestacja i rozruchy przypadły właśnie na czas Targów Poznańskich. Oglądały jej przebieg setki przyjezdnych z Zachodu. Dziesiątki reporterów porobiło zdjęcia. Prasa całego świata rozbrzmiewała wiadomościami z Poznania.

Cały przebieg strajku, demonstracji i wynikłych z niej walk świadczy najdobitniej o żywiołowości ruchu. I właśnie dlatego zwycięstwo robotnicze było tak kosztowne. Dlatego połało się tyle krwi. Nad manifestacją tą, nad całym ruchem ciążyła tradycja walk dawnych. Poznań dał poważne doświadczenie i to doświadczenie będzie wykorzystane.

Rządząca grupa w K.C. wie zbyt dobrze o tym wszystkim — by nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa. Ochab wprawdzie szczyci się, że inne ośrodki życia przemysłowego nie poszły w ślady Poznania — ale, tak sądzimy, powinien wiedzieć, że wrzenie trwa — trwa wszędzie; że to wrzenie narasta i szuka odpowiednich form walki. I znajdzie formy, powiadamy, wobec których same cołgi będą bezsilne.

A więc zostaje zniesławienie ruchu poznańskiego. Jak to uczynić, by nie rozjątrzyć jeszcze bardziej robotnika, by nie ośmieszyć się po prostu wobec całego kraju.

Czytelnika gazet warszawskich, słuchaczy radia warszawskiego uderza też jakaś zupełna nieporadność.

Głaskanie — tak, robotnik był pokrzywdzony. No — ale przecie nie strajk! i dalej: Prowokacja! Zbrodnicze podziemie! Obce agentury! Czyżby ci ludzie tak dalece nie znali historii? Ot zwyczajnie — niech który weźmie do ręki organ generał-gubernatora w Warszawie, „Warszawskij dniewnik” z lat 1904-1905. Toż właśnie mąciociele, agitatorzy, kramolniki — widnieją tam na każdej szpalcie. Niech wezmą reakcyjną prasę tych czasów: jakiś „Goniec”, albo „Gazetę Polską”. Toż zachłystywały się one po prostu, wzywając pomsty niebios (a i policji) na głowy socjalistów i agitatorów. A oczywiście dopatrywały się w rozruchach i strajkach inspiracji masonów, Żydów — no i dla odmiany — agentów pruskich. „Goniec” poszedł tak daleko, że już puścił wiadomość o okupacji Zagłębia przez Prusaków. (A Bułganin wniósł protest o pogwałcenie granicy powietrznej przez samoloty USA.) Toż „Słowo Polskie” we Lwowie zapowiadało, że spokojna ludność zwracać się będzie do carskiej policji o obronę przeciw demonstrantom z placu Grzybowskiego.

Czy nie brzmi to aż kompromitująco podobnie do radia „Kraj”, że robotnicy domagają się jak najsurowszych represji

na organizatorów rozruchów w Poznaniu? Nie wiemy, czy takie rezolucje zdołano gdzie wymusić. Ale wiemy, że najbardziej służalcze pióra od razu poniechały tego rodzaju wiado-
mości. Widocznie zbyt ponure echo wywołały w społeczeństwie.

Akcja znieśławiania Poznania idzie innymi, bardziej dyskretnymi drogami. Radio warszawskie już doszło do tego, że zdołało niemal całkowicie wyprzeć momenty niezadowolenia. Jego wysłannik przeprowadza rozmowę z jednym z delegatów robotniczych, który jeździł do Warszawy. Pojechał i od razu uzyskał wszystko. Dobrotliwe ministerstwo nawet przyznało więcej, niż robotnicy żądali. Powrócił więc do Poznania i na ogólnym zgromadzeniu opowiedział. Robotnicy byli najzupełniej zadowoleni. Wszystko już było jak najlepiej. I nagle — ktoś powiedział, że po innych oddziałach fabryki opowiadają co innego... Biedny delegat wyszedł na chwilę ze swego oddziału — a kiedy wrócił już cały tłum był na ulicy. Widocznie komuś zależało...

Z tego nieporadnego gładzenia, przerywanego przez „no”, „prawda” itp. wtręty wynikać ma, że prowokacja była od samego początku.

Tłum poszedł — wywodzi ów osobliwy korespondent. A któż strzelał? Nie, nie robotnicy — to dzieciaki. Chłopcy szesnastoletni. No, chuligani jednym słowem. I na dowód tego chuligaństwa opowiada, że złapano takiego jednego, który w nocy strzelał z dachu „do ludności i milicjantów”. A gdy go pochwycono — to się rozplakał. Ale nie wszyscy płakali. Byli tacy, co przy prowadzeniu na policję (słuchajcie! słuchajcie!) — *udawali bohaterów narodowych*. Dosłownie — udawali bohaterów narodowych. I korespondent nie zdaje sobie sprawy, że tak właśnie pisano o Okrzei, Baronie, Kopisiu.

I pisano również w latach dziewięćsetnych o dzieciach i o wy-
kolejeńcach. Sięgnijmy nie po gazetę. Weźmy list Romana Dmowskiego do Jeża-Miłkowskiego. Oto co pisał ten bezwzględny wróg ruchu rewolucyjnego:

„(Socjaliści), wierząc w rewolucję, utworzyli sobie drużynę bojową, złożoną z chłopaków od lat 15 do 20, z robotników bez pracy, z nożowców i ze złodziei nawet zwyczajnych. Dla tej drużyny sztabem są Żydzi, historycy i najzwyczajniejsi wariaci (już stu ich przewieziono z Cytadeli do szpitala dla umysłowo chorych — to jest fakt notoryczny)... Dziś w prędką rewolucję wierzyć przestają, ale drużyny nie rozwiązują, bo by się nie dała... Tę drużynę trzeba żywić, więc rabują dla niej kasy i ludzi prywatnych. Drużyna zaczyna być celem sama w sobie; organizacja tedy rewolucyjna przekształca się stopniowo w szajkę bandytów, gorszych od zwykłych, bo oprócz rabunku szerzących bezcelowe zniszczenie”.

Wystarczy. Znajdziemy tu wszystko i zbrodnicze podziemie i chuligaństwo i kryminalistów. Dmowski pisał tak o bojówce, w której walczyli Arciszewski, Mirecki, Sosnkowski — no i Pił-

sudski. Na usprawiedliwienie jego można powiedzieć, że nie znał ani ruchu, ani środowiska robotniczego. Opierał się na plotkach. Ale Cyrankiewicz i Ochab ten ruch znają. Znają. A jednak wysyłają do podległych sobie organów komunikaty, których treść sami nieraz piętnowali jako oszczerstwo.

Ot — po prostu wpadli w matnię — w pułapkę, jaką nastawia zawsze każda tyrania. Muszą mówić tak, jak ich carscy i burżuazyjni poprzednicy mówili. I muszą działać tak samo. Działać — czyli rozstrzeliwać robotników. Bo robotnicy stanowią największe skupiska uciskanych. Bo oni żyjąc zespołowo, zespołowo pracując — zespołem całym występują. Gromadnie. Wszędzie. Oni stanowią awangardę rewolucji.

Poznań — to nie pierwsza masakra robotników. Były inne — w Łodzi i w Zagłębiu. Tamte ruchy stłumiono po cichu. O tamtych ledwo mętne pogłoski na świat się przedostały. O Poznaniu zagadał cały świat. Poznań ponadto przyniósł zwycięstwo. I dla tego stanowi przykład zachęcający. Ten kto na razie ustępuje nie wiele — będzie musiał ustąpić więcej. A co do ofiar? W krajach przez absolutyzm rządzonych zawsze znajdzie się zastęp takich: „którzy poległym ciałem” gotowi są „dać inny szczebel do sławy grodu”.

A wśród tego zastępu znajdują się ludzie, którzy dobrze zastanowią się nad strategią walki robotniczej. I wyniki podadzą innym. W pewnym momencie ludzie ci znajdują środki po temu, by solidarną akcją sparaliżować maszynę administracyjną dyktatury. Nie jest to rzeczą niemożliwą — bo wbrew powierzchownym sądom każdy totalizm jest organizmem nietrwałym. Jest on zawsze zagrożony przez solidarność mas ludowych. Gdzie ta solidarność krzepnie — tam odwilż staje się potopem.

Nauka, jaką nam Poznań daje — jest ogromna. Niestety, nie mamy najmniejszych danych po temu, by oceniły ją należyte czynniki rządzące. Nie mogą one zrozumieć, że punkt wyjścia dla oceny sytuacji stanowi jedynie prawda. Bez niej nie można postawić prawidłowej diagnozy. Nie mogą też zrozumieć, że „własna droga do socjalizmu”, „demokracja”, „podniesienie stopy życiowej”, „współpraca międzynarodowa” itd. nie mogą pozostać pustymi słowami, fałszem, służącym do zamaskowania starej treści. A przecież jedynie uczciwa realizacja tych postulatów, realizacja w skali powszechnej, społecznej a nie partyjnej może uchronić od — wybuchu, który w obecnej sytuacji może być katastrofą. Fałszem, złudą — katastrofy się nie zażegna.

A. UZIEMBŁO

Kronika angielska

LINIE PODZIAŁU

W normalnym państwie demokratycznym jeżeli p. X. jest właścicielem wielkiego koncernu — najprawdopodobniej kształtować będzie swe polityczne poglądy po linii partii konserwatywnej, która broni własności i inicjatywy prywatnej. Nie trzeba na to być uczonym marksistą by dostrzec ów organiczny związek między interesem czy korzyścią materialną a aktualnym poglądem politycznym. Pan X. kocha Anglię, ale kocha również swoją fabrykę, zyski i pieniądze.

Jak te sprawy układają się na emigracji?

Partie emigracyjne są oderwane od rzeczywistości i wskutek tego nie decydują o liniach istotnych podziałów. Niemniej Polacy zagranicą nie żyją jako te lilie i ptaszkiwie niebiescy — lecz przeciwnie, wykazują wielką przedsiębiorczość i zaradność. W poglądach politycznych kół i ugrupowań emigracyjnych łatwo można odcyfrować ich „macierzystą” bazę ekonomiczną. Partie emigracyjne nie mają z tym nic wspólnego, ponieważ nie odzwierciedlają aktualnych konfliktów interesów. Ponieważ pogląd partyjny w tych warunkach odpada, pozostaje tylko polityka niepodległościowa, którą interpretuje się w myśl zasady: „Kocham Polskę ale kocham i mój emigracyjny business”.

Jak to wszystko wygląda w praktyce?

Na emigracji istnieje cała seria instytucji, pseudo-instytucji i przedsiębiorstw handlowych, których bazą i fundamentem jest „żelazna kurtyna”. Dzień w którym „żelazna kurtyna” opadłaby z trzaskiem na ziemię byłby dla tych panów dniem katastrofy.

Jest w pewnym sensie zrozumiałe, że tych ludzi najłżejsze uchylenie kurtyny wprawia w histeryczną panikę. „Liberalizacja”, „odwilż”, książki i prasa krajowa, kontakty z ludźmi z Kraju — ci gentlemani rozpatrują wyłącznie pod kontem widzenia permanencji „żelaznej kurtyny” — która jest dla nich tym, czym Nil dla Egiptu.

Polityka niepodległościowa interpretowana pod kątem widzenia wieczystego trwania „żelaznej kurtyny” — przybiera zdumiewające formy. Z jednej strony stosuje się „święty terror” w londyńskim, kieszonkowym formacie; z drugiej strony, wyśrubowuje się w nieskończoność emigracyjne postulaty. Niepodległość Polski już nie wystarcza. Cele polityki emigracyjnej objąć muszą zagładę Związku Sowieckiego, rozparcelowanie Rosji i wyniszczenie komunizmu w najdalszych zakątkach ziemi. Stawiając sprawę w ten sposób businessmeni i ich „niezłomni” współpracownicy mogą spać spokojnie ufając, że „żelaznej kurtyny” starczy nie tylko dla nich ale i dla ich wnuków. Bo dopóki istnieje Związek Sowiecki i choćby jeden komunista w Pernambuco — nie damy wyjąć ani jednej cegły z życiodajnej „żelaznej kurtyny”.

Proponuję cierpliwemu Czytelnikowi by uważnie przeczytał następujący wyjątek z artykułu Pandory pt. „Druga Rewolucja” („Wiadomości” — Nr 541).

„Otwierają się i inne nadzieje. Na przykład możliwość drukowania na Zachodzie książek pisanych przez pisarzy emigracyjnych i wyjednanie dla nich dostępu do Kraju. Na pozór wydaje się to lepsze niż zawarcie umowy z wydawnictwem krajowym. Nie uzależnia pisarza od wydawcy i daje porękę, że tekst książki nie będzie przez niego zmieniony. Ale ta niezależność jest złudna. Cały obrót drukowanego słowa w dzisiejszej Polsce jest przecie w ręku władz komunistycznych, których organami są wszystkie wydawnictwa i księgarnie. Dopuszczenie książki polskiej z zagranicy mogłoby się więc odbywać tylko w drodze wyboru pisarzy i ich książek przez te władze. Pisarze, którzy by byli w ten sposób wyróżnieni znaleźliby się w takim samym położeniu jak ci, co zawierają umowy wydawnicze. Nad ich osobistym zachowaniem się i ich dalszą pracą pisarską ciążyłoby, że są i chcą być nadal dobrze widziani przez odbiorcę swoich książek — komunistyczny monopol księgarski w Kraju”.

Wiem skądinąd, że w Kraju przygotowuje się serie przekładów z literatury obcych a w szczególności z współczesnej literatury angielskiej.

Absurdalność rozumowania Pandory wypuklił się w całej pełni, gdy w powyższej przytoczonym tekście termin „pisarz emigracyjny” zastąpimy terminem „pisarz angielski”. Przecież jest oczywiste, że choćby w Kraju podjęto jak najliberalniej rozumianą politykę przekładową nie zostaną nią objęci wszyscy pisarze angielscy — tylko garść. Czy więc z góry należy przyjąć, że... „nad ich osobistym zachowaniem się i ich dalszą pracą pisarską ciążyłoby, że są i chcą być nadal dobrze widziani przez odbiorcę swoich książek — komunistyczny monopol księgarski w Kraju”.

Gdybyśmy powyższe rozumowanie doprowadzili do końca musielibyśmy uznać, że nie tylko pisarze emigracyjni ale i pisarze obcy nie powinni godzić się na przedruk ich książek w Polsce. W ten sposób pojęty antykomunizm cementuje wprawdzie „żelazną kurtynę” — uniemożliwia jednak aktywną walkę o demokrację. Celem zarówno pisarzy emigracyjnych jak i pisarzy wolnego świata nie jest antykomunistyczna „splendend isolation” lecz docieranie z wolnym słowem tam — gdzie buduje ono opór przeciw totalizmowi.

Autor kryjący się pod pseudonimem Pandora pragnął jeszcze coś innego powiedzieć ale brakło mu odwagi. Chciał powiedzieć, że autor emigracyjny jak za jedną, drugą książkę zakontraktowaną przez PIW w Warszawie dostanie kilkaset funtów — trzecią i czwartą książkę będzie pisał „pod wydawcę”. Innymi słowy będzie się liczył z tym, który płaci. Gdyby Pandora sformułowała to w ten sposób artykuł w „Wiadomościach” miałby ręce i nogi.

Niewątpliwie to niebezpieczeństwo jest realne. Jest realne w pierwszym rzędzie w stosunku do pisarza emigracyjnego ponieważ pobieranie honorariów od reżymowego wydawcy ogranicza w konsekwencji inne możliwości zarobkowe. Jest mało prawdopodobne by pisarz emigracyjny płacony w dewizach przez wydawcę krajowego mógł równocześnie współpracować z „Free Euro-

pe", drukować na łamach „Kultury” itd. W praktyce pisarz honorowany w dewizach przez Warszawę bardzo szybko przekonałby się, że stracił większość (lub wszystkie) źródła literackich zarobków i de facto całkowicie uzależnił się od wydawcy krajowego. W takiej sytuacji trudno już mówić o swobodzie pisarskiej. Ale wysuwać z tego wniosek, że w ogóle nie należy drukować w Kraju jest nonsensem.

W moim zrozumieniu żadnemu polskiemu pisarzowi tworzącemu za granicą nie wolno nigdy zrezygnować z czytelnika krajowego i obowiązkiem naszym jest nie pominąć żadnej sposobności umożliwiającej dotarcie do tego czytelnika. Jeżeli ktoś twierdzi inaczej, zaprzecza literaturze emigracyjnej jakiegokolwiek misji i demobilizuje ją w szczytowej fazie zmagania.

Niebezpieczeństwo uzależnienia się od wydawcy krajowego nie istnieje dla pisarza, który zaakceptuje punkt widzenia „Kultury” i odmówi przyjmowania honorarium w dewizach. Uzależnienie — to są pieniądze. Tam gdzie nie ma pieniędzy nie ma i zależności.

Nasi krytycy wysuną bezwzględnie zarzut, że nasz postulat jest nieżyłowy, że nie można nikogo skontrolować czy bierze dewizy reżymowe czy nie.

Bezpośrednia kontrola nie jest oczywiście możliwa. Ale pisarz emigracyjny biorący funty w Londynie od reprezentanta wydawcy krajowego powinien sobie zdawać sprawę, że tajemnica tej transakcji jest bardzo krucha. Przy najłżejszym zmianie kursu reżym może uznać za stosowne i taktycznie dogodne podać do publicznej wiadomości szczegóły kontraktów i wysokość wypłaconych honorariów.

Pieniądze nie lubią tajemnicy — vide Berg.

3

Powyżej omawiana sprawa ma jeszcze inny aspekt. Liberalizacja stosunków w Polsce przerwała okres izolacji i oto emigracja została włączona do obszaru operacyjnego.

Z Kraju przyjeżdżają na Zachód rozmaici panowie i w rozmaitych sprawach. W Londynie bawił ostatnio p. Zaremba (mąż Szemberg-Zarembiny) dyrektor tzw. PIW (Państwowy Instytut Wydawniczy).

Szepczą w dobrze poinformowanych kołach, że p. Zaremba planuje otwarcie dużej księgarni w Londynie. Mówi się również, że cena krajowych książek zostanie wydawniczo obniżona a są nawet i tacy, którzy twierdzą, że książki polskie sprzedawane będą w krajach Zachodu poniżej kosztów własnych. Jednym słowem książkowy „dumping”.

Gdyby te projekty w takiej czy w innej formie zostały zrealizowane — emigracyjny rynek wydawniczy znajdzie się vis-à-vis zupełnie nowej sytuacji.

Przed „odwilżą” książki i periodyki krajowe były po prostu nudne. W owej epoce izolacji, przez polską książkę na obczyźnie rozumiano się książkę emigracyjną. Jedynym poważniejszym konkurentem książki emigracyjnej była książka obcojęzyczna. Apele i hasła w rodzaju: „Polskie słowo na obczyźnie” (dewiza londyńskiego „Orbis”) posiadały duży nabój narodowego, samozachowawczego instynktu, który mobilizował się w nas pod naporem obczyzny. Ale... jeżeli pan Zaremba założy księgarnię w Londynie — to będzie również polskie słowo na obczyźnie.

Powiedzmy, że księgarnia PIW w Londynie będzie miała 6.000 tytułów na składzie. Jest zupełnym absurdem ludzić się, że powołamy wówczas „trybunał inkwizycyjny”, który będzie orzekał, że — powiedzmy — Parandowski, Zawieyski czy Dąbrowska „Nihil Obstat” a Newerly zakazany. Znam na tyle moich rodaków by twierdzić, iż napiętnowanie książki czy autora przyniosłoby w konsekwencji wręcz odwrotny skutek od zamierzonego. Książki wzięte „na indeks” zostałyby wykupione w 24 godziny.

Księgarnia reżymowa spełniałaby podwójną rolę. Byłaby poważnym zagrożeniem dla wydawców książki emigracyjnej, oraz dysponowałaby możliwościami subtelnej propagandy komunistycznej. Nie ma wielu dobrych powieści o wyraźnej tendencji komunistycznej, ale garść można wyłowić. Ta garść rozsypana wśród książek „neutralnych”, katolickich i klasyków — może zdobyć na emigracji szeroki zasięg czytelniczy. Do kategorii „subtelnej” propagandy należą wydawnictwa specjalne jako bogato ilustrowane monografie-albumy miast, parków narodowych, zabytków architektury itd. Niektóre z tych wydawnictw reprezentują bardzo wysoki poziom sztuki graficznej, fotografii i druku. Któż z nas nie spojrzy chętnie na piękne fotografie Krakowa, Warszawy, Tatr, Czarnego Dunajca czy przełęcz Dukielskiej? W tego typu wydawnictwach, które zaferowane po przystępnych cenach miałyby na emigracji olbrzymi zbyt — kilku wierszowy tekst łączący fotografie może mieć duży propagandowy walor.

Nie wątpię, że księgarnia p. Zaremby miałaby bogato zaopatrzone działy „narodowych dewocjonalii” — sztuki ludowej i pseudo-ludowej, pasiaków, garnków z polewami, figurek z drzewa i innych cudowności. Któż się oprze drewnianemu Chrystusikowi frasośliwemu spod Poronina? Londyńczyk, urodzony podhalanin, na pewno by mu się nie oparł.

Jakie wnioski należy wyprowadzić z tych sentymentalnych rozważań?

Jeżeli reżym podejmie tego typu ofensywę kulturalną — nie sądzę by można ją było skutecznie odeprzeć apelami, Radami Książki, artykułami dziennikarskimi czy odczytami. Należy bowiem pamiętać, że owa walka toczyć się będzie nie tylko na płaszczyźnie polityczno-propagandowej lecz w pierwszej linii na płaszczyźnie ekonomicznej.

Jeżeli PIW płacić będzie autorom po £400 za książkę a wydawca emigracyjny £50 — jeżeli PIW sprzedawać będzie książki krajowe taniej niż księgarz-emigrant książki emigracyjne — wówczas wynik tej akcji można uznać za przesądzony. Cuda istnieją w emigracyjnej polityce ale nie w handlu.

Jeżeli PIW uzyska od władz angielskich konieczne licencje i zezwolenia i podejmie na poważniejszą skalę inicjatywę o której mówimy — książkę emigracyjną uratować będą mogły tylko instytucje wydawnicze nie związane handlowo z PIW'em a więc nie trudniące się sprzedażą książek i wydawnictw krajowych.

Jedno jest pewne. W takiej sytuacji literatura emigracyjna prawdziwie niezależna miałaby poważniejszą rolę do spełnienia niż kiedykolwiek przedtem. Nie ulega bowiem wątpliwości, że inicjatywa reżymu zmierza do sprowadzenia literatury krajowej i emigracyjnej do jednego wspólnego mianownika.

W książce wydanej w Kraju można dziś dużo powiedzieć. Ufajmy, że za pół roku będzie można powiedzieć jeszcze więcej. Ale niemiłej w książce wydanej w Polsce nie można powiedzieć wszystkiego i dlatego książka emigracyjna jest niezbędna.

Witamy z radością każdy przejaw liberalizacji — ale nie liberalizacja jest naszym celem lecz pełna, rzetelna demokracja. Kardynalnym narzędziem w walce o wolność demokratyczną jest książka emigracyjna.

Autor emigracyjny tylko wówczas może pisać swobodnie jeżeli wie, że istnieje niezależne, z PIW'em nie związane emigracyjne instytucje wydawnicze, które wydadzą (i zapłacą honorarium) za jego książkę. Tylko w takich warunkach napisana książka może być z politycznego punktu widzenia wartościowa i o wydanie krajowe tylko tak napisanej książki warto jest zabiegać.

Jeżeli tego typu niezależnych instytucji wydawniczych nie będzie — jeżeli PIW zdoła jedne firmy księgarskie doprowadzić do likwidacji a inne z sobą związać — autor emigracyjny będzie mógł pisać albo „dla szuflady” albo „pod wydawcę”.

Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie. Niemniej skłonny jestem przypuszczać, że nasi amerykańscy przyjaciele są całkowicie niezorientowani w kulturalnej ofensywie reżymowej — w jej celach, możliwościach i zasięgu. Gdyby o tych sprawach byli dobrze poinformowani — być może uznaliby — że projektowany, a ostatnio odwołany, Kongres Kultury nie był najbardziej palącym zagadnieniem i wydatkiem.

4

Jestem ostatnio przedmiotem dzikich napaści i choć przyzwyczajony jestem od lat do tego osobliwego londyńskiego klimatu — pewne elementy bieżącej nagonki zasługują może na kilka zdań komentarza.

Jak dotąd nie wzięłem szczęśliwie grosza ani od Anglików, ani od Amerykanów, ani od reżymowców i nie ja lecz p. Zygmunt Nowakowski rozmawiał z p. Zarembą. (Rozmawiał z nim we wtorek a felieton o którym mowa poniżej — ukazał się (jak zwykle) w czwartek). Osobiście nie mam książki do sprzedania w Kraju ani dość giętkiego pióra by się nadało dla Free Europe. Skłonny jestem przypuszczać, że PIW nie wydałby wyboru mojej publicystyki z „Kultury”.

To nie ja w detroickim „Dzienniku Polskim” (z 1.3.1952) pisałem: „I ten rzekomo polski oddział radiostacji ‘Free Europe’ aspiruje do nazwy „Free Poland” a otwarty ma być jakby na szyderstwo w dniu 3. maja”. Jakby na szyderstwo autor tych słów mówi co tydzień przez mikrofony „Free Europe” — przypuszczać należy — nie za darmo. W swym felietonie w londyńskim „Dzienniku Polskim” ów Kato emigracyjny zauważył wzniosłe: „Pieniądze nie śmierdzą”. Istotnie pewnym panom nie śmierdzą.

Szczerze pragnę by te pieniądze wyszły mu na zdrowie. Ale wara mu pouczyć i strofować tych, którzy tego rodzaju łamańców za sobą nie mają i którym pewne pieniądze naprawdę śmierdzą.

Niestety mam do zanotowania znacznie poważniejszą sprawę niż egzorty czwartkowe Zygmunta Nowakowskiego. W Londynie zaroilo się od emigracyjnych donosicieli. Walka z łapsami nie jest łatwa. Załóżmy dla przykładu, że ciemny typ szermujący gęsto frazesami demokratycznymi — z dłuższą praktyką na stanowisku łapsa — pisze donosy do Scotland Yardu, Home Office czy innych, bardziej prywatnych, instytucji brytyjskich. Na razie, choćby się

znało nazwisko takiego pana, nic mu nie można zrobić. Wymienić go po nazwisku (nie byłoby to dla mnie trudne) — grozi procesem. Koronnym świadkiem w ewentualnym procesie musiałaby być taka czy inna instytucja brytyjska. Materiały tego typu (choć z reguły udostępniane zainteresowanym) są traktowane poufnie i niechętnie „wypożyczane” jako dowody rzeczowe.

Ale łapsy i donosiciele chronieni są do czasu. Przyjdzie moment kiedy nasze informacje — dziś ściśle prywatne — będzie można ujawnić. A więc łapsy i kandydaci na łapsów dobrze obliczcie wasze szanse.

LONDYŃCZYK

OSTATNIE WIADOMOŚCI

Jedynе pismo polskie w strefie amerykańskiej Niemiec
UKAZUJE SIĘ TRZY RAZY TYGODNIOWO.
W KAŻDĄ NIEDZIELĘ DODATEK.

Korespondenci: we Francji, Holandii, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Włoszech, Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Argentynie, Brazylii, Australii i Afryce.

Redakcja, administracja, drukarnia:
MANNHEIM-SCHENAU, Gendarmerie Kaserne

PREUVES

revue mensuelle
publie sous la direction de François Bondy
dans son numéro de septembre

Arthur MILLER : La famille dans le drame moderne. — Philippe ERLANGER : Noblesse de France. — Béatrix BECK : Les enfants subventionnés. — Max BERGER : La totalité de Rembrandt. — Georges SIMENON : Le petit homme d'Arkhangelsk (fin) et trois grands essais : Bertrand de JOUVENEL, Hannah ARENDT, Aldo GAROSCI — sur les aspects économiques, politiques et sociaux de la compétition entre démocratie et totalitarisme.

PREUVES : 23, rue de la Pépinière, Paris (8^e).
Le numéro de 104 pages ill. : 180 francs. — C.C.P. 178-00 Paris.

JESZCZE DZISIAJ

ZAMÓW KSIĄŻKĘ

O KTÓREJ WSZYSCY MÓWIA

ZOFIA ROMANOWICZ BAŚKA I BARBARA

Cena egzemplarza frs 500, sh. 10/., dol. 1,50.

Zamówienia prosimy kierować do:

„LIBELLA” – Składnica Książek Polskich

12, rue Saint-Louis-en-l’Ile, Paris 4. (France)

Warunki sprzedaży:

We Francji książkę wysyłamy po wpłacie sumy frs 500 — na nasze konto pocztowe CC Paris 5651-50, lub za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze.

Do Belgii, Włoch, Holandii, Niemiec, Szwecji, Szwajcarii, Luksemburga oraz Austrii, książkę wysyłamy za zaliczeniem pocztowym — płatne przy odbiorze, lub po otrzymaniu należności.

Do innych państw jak USA, Kanada, Brazylia itd., książkę wysyłamy DOPIERO po otrzymaniu należności, którą bez trudu można nam przesłać za pośrednictwem poczty — „international money order” — na nasze konto pocztowe CCP Paris 9709-46 lub czekiem bankowym wystawionym na „Libella”.

Książkę można również zamawiać we wszystkich polskich księgarniach oraz u przedstawicieli polskich pism, jak również w księgarniach „Hachette”, jeżeli takowe są w danym kraju — podając adres „Libelli” jako wydawcy.

Najnowsza historia Polski

Tematy napoczęte (1)

I

Niejednokrotnie zastanawiałem się nad lukami, jakie istnieją w opracowaniu spraw i tematów zasadniczych i kluczowych w naszej współczesnej historii. Wypadki wojenne wyrzuciły poza granice Polski sporą grupę historyków, publicystów, polityków, dyplomatów, pisarzy. A jednak cały ten zespół nie zdobył się na opracowanie (poza takimi próbami, wybitnie jednostronnymi w ujęciu, jak książka Stanisława Mackiewicza o Becku) w sposób rzeczowy i ogarniający szersze horyzonty rozmaitych problemów ważnych i doniosłych dla przebiegu naszej historii. Ta luka jest tym bardziej niepokojąca ponieważ ilość świadków rozmaitych wydarzeń topnieje z każdym rokiem; materiały jakie są może zagranicą (w formie wspomnień, zapisków, pamiętników)

(*) Artykuł ten zawarty w dwóch częściach — pierwsza poświęcona jest zagadnieniom polskim, druga międzynarodowym — stanowi rozwinięcie myśli artykułu, który napisałem jeszcze jesienią roku 1946, dając mu tytuł „Wojny nie będzie”. Artykułu tego nie mogłem zamieścić w prasie emigracyjnej: uznano go za zbyt pesymistyczny. Dopiero wiosną roku 1948 wychodzące w Szwajcarii pismo „Horyzonty” artykuł mój przyjęło do druku, nie pojawił się on jednak, albowiem „Horyzonty” przestały wychodzić. Poglądy wyluszczone w niniejszym artykule przedstawiłem w wykładzie wygłoszonym w Genewie w końcu marca br. w klubie „Polonia”.

Dla sprawdzenia pewnych wniosków i przewidywań pozwałam sobie powołać się na następujące wypowiedzi: artykuł „Oblicze Europy”, wydrukowany na łamach „Wiadomości Polskich” w Londynie niedługo przed ich zamknięciem przez władze brytyjskie; broszurę pt. „Przyszłość Polski”, ogłoszoną w roku 1944; artykuł pt. „Mózg i Krew” ogłoszony na łamach jerozolimskiego tygodnika „W drodze”; szkic „Wiek Klęski”, opublikowany w wydawnictwie Mieczysława Grydzewskiego ogłaszanym w latach 1945-1946 w Londynie (Biblioteka *Wczoraj i Dziś*); artykuły o Niemczech powojennych publikowane w „Wiadomościach” w roku 1946 oraz w czasopiśmie „Na Przełomie”.

Materiały drukowane w tym dziale zamieszczone są na odpowiedzialność autorów i nie są wyrazem poglądów Redakcji.

mogą przepaść albo zniszczyć, rosnąca odległość czasu sprawia, że ci co mogliby powiedzieć wiele rzeczy ciekawych i prawdziwych o wypadkach doniosłych dla naszych dziejów, coraz słabiej je pamiętają. Ponieważ w omawianiu naszej historii nadmiernie posilkujemy się względami emocjonalnymi, ponieważ motyw „dla pokrzepienia serc” jest często używany i nadużywany w naszym podejściu do wypadków historycznych, ponieważ jesteśmy narodem obarczonym sporą ilością „tabu” i lubimy hodować złudzenia — być może jest to obrona samej naszej natury przeciwko zbyt groźnej i bezlitosnej rzeczywistości — zachodzi obawa, że te kluczowe momenty naszej niedawnej stosunkowo historii zostaną zafałszowane, wstydliwie pokryte niedomówieniami.

W uwagach jakie pozwoiliem sobie zebrać chciałbym wskazać na kilka sytuacji, które — moim zdaniem — proszą się o rzetelne i szczerze naświetlenie. Moja lista nie jest kompletna. Ale może ten apel poruszy ludzi, którzy mają o tyle więcej ode mnie do powiedzenia w tych sprawach. Tych, którzy pamiętają lepiej i dokładniej owe sytuacje, stali bliżej źródła wydarzeń ze względu na swoje stanowisko, funkcje czy warunki. Jest rzeczą osobliwą, że te pasjonujące problemy naszej historii nie zaciekały naszych historyków i publicystów; że ludzie, którzy przypatrywali się tylu interesującym procesom, jak np. Stanisław Stroński — nie pokusili się o napisanie wspomnień czy pamiętników. Literatura pamiętnikarska nie jest u nas — w przeciwieństwie do Anglii — nadmiernie bogata. Obawiać się należy, że te zaniedbania naocznych świadków, ta niechęć do rzeczowego, spokojnego i chłodnego zajęcia się krytycznymi momentami naszych nowoczesnych dziejów, odbiją się ujemnie na naszym poznaniu i interpretacji ostatnich czasów.

2

Mamy liczne opracowania odnoszące się do „sprawy polskiej” w przededniu pierwszej wojny światowej, ale — o ile się nie myli — nie mamy dalej obiektywnego przedstawienia jak to rozmaite inicjatywy polskie zbiegły się szczęśliwie pod koniec pierwszego konfliktu. Zapominamy dzisiaj, że rozgrywaliśmy wielką partię, która zaczęła się w roku 1914 w sposób bardzo rozważny; że karty nasze leżały na kilku stołach i że pod koniec wojny zsunęły się one niejako na stół zachodni. Zrozumiała duma narodowa sprawiła, że w dobie naszej niepodległości wywindowaliśmy zbyt wysoko polski „czyn zbrojny”, zapoznając wkład takich polityków, działaczy i patriotów jak Dmowski, Paderewski, Sienkiewicz, Erazm Piłz i długi szereg innych — ludzi obytych z Zachodem, indywidualności nieprzeciętnych. Pierwszą wojnę światową zaczęliśmy orientacjami a skończyliśmy państwem; już w roku 1943 wyraziłem obawę, że drugą wojnę zaczęliśmy państwem a możemy skończyć orientacjami. Ale fakt, że w drugiej wojnie operowaliśmy nadmiernie pojęciem

państwa i kadr urzędniczych, że zbyt wiele inicjatyw naszych szło „drogami urzędowymi”, kazał nam zapomnieć o tym, że to w dużej mierze inicjatywa prywatna, kaliber danyh działaczy i polityków, ich sytuacja wyrobiona sobie własnym trudem a nie z racji takiego czy innego urzędu i godności, że te elementy wspomogły walnie „sprawę polską” kiedy dojrzała ona do rozstrzygnięcia na zwycięskim Zachodzie. Dzisiaj wracamy jakby do sytuacji, w której jednostki stojące na własnych nogach dzięki własnym wysiłkom, kiedy inicjatywa prywatna a nie inspirowana urzędowo daje wyniki i udowadnia swą wartość.

Brakuje nam dalej, jak sądzę, pełnego oświetlenia akcji polskiej w latach 1914-1918, przy nakreśleniu sylwetek ludzi odmiennych w swoim charakterze, temperamencie i poglądach jak i metodach działania. Czas dla napisania takiej pracy już chyba dojrzał, albowiem największą może przeszkodą dla uzyskania pełnego a obiektywnego spojrzenia był nasz wewnętrzny spór o Piłsudskiego. Dzisiaj, kiedy spór ten tak dobrze jak wygasł i kiedy patrzymy spokojnie na jasne i ciemne strony jego akcji, kiedy widzimy wielkość jego ambicji i niedobory jego realizacji, można chyba przystąpić do napisania rzeczowego wykładu o „sprawie polskiej” w latach pierwszej wojny.

3

Nasza duma narodowa sprawiła, że chętnie pomijaliśmy doniosłość traktatu wersalskiego dla dziejów powstania naszego państwa. Dzisiaj rozumiemy o tyle lepiej powiedzenie — używane częściej przez naszych wrogów aniżeli przez nas samych — że Polska niepodległa była tworem Wersalu. Prawdziwość tej tezy ujawniła się w lecie roku 1939 kiedy dwa państwa, które w gruncie rzeczy nigdy nie pogodziły się z Wersalem, a zatem Rzesza niemiecka i Rosja sowiecka, podały sobie ręce, ażeby wykreślić Polskę z mapy Europy. Rzadko kiedy polityka rosyjska była tak szczerą jak w chwili kiedy Mołotow jesienią roku 1939, wychwalając dokonania armii niemieckiej i armii czerwonej na ziemiach polskich, wypowiedział słowa o Polsce, tym „paskudnym bękarciu Wersalu”. Cała nienawiść do tego traktatu ujawniła się w tym zdaniu z pasją, którą wytłumaczyłby nie tyle Marx co Freud. Ale też Freud jest, zasadniczo biorąc, o wiele lepszym przewodnikiem po dziejach drugiej wojny światowej aniżeli Marx. Marxem i jego teoriami o konieczności wojny między krajami kapitalistycznymi, względami konkurencji handlowej, momentami natury ekonomicznej, można było jeszcze do pewnego stopnia tłumaczyć pierwszą wojnę światową. Ale całe niejako przedpole drugiej wojny: religie polityczne czy nowe mahometanizmy hitleryzmu i komunizmu, konwulsje tych nowych islamów, orgie propagandy, urabianie sterroryzowanej opinii krajów totalnych, no, i oczywiście same postacie dyktatorów trzech totalizmów, ich plany, pasje, nienawiści, metody —

to wszystko prosiło się i prosi dalej o analizę Freuda a nie Marxa.

4

Wybuch pasji Mołotowa w stosunku do Wersalu zdemaskował zapiekłą nienawiść Rosji sowieckiej do traktatu wersalskiego. Nie zapominajmy, że Rosja, która na wstępie pierwszej wojny okazała się niebywale lojalnym sojusznikiem i przez swoją akcję w Prusach wschodnich i bitwę pod Tannenbergiem przyczyniła się do uratowania Francji (należałoby obliczyć jaki procent „cudu nad Marną” zawdzięczać należy bitwie pod Tannenbergiem) wypadła z aliansu. Zachowała się ona jak Francja w roku 1940; nic dziwnego, że Zachód obawiał się od roku 1941 „czerwonego Vichy”, kapitulacji Stalina przed zwycięsko pracującym Hitlerem. Ta obawa dopingowała nieuwarunkowaną niczym pomoc Zachodu dla Rosji sowieckiej.

Traktat wersalski stworzył wspólnotę doli między dwoma pobitymi krajami: Niemcami i Rosją. Nienawiść do Wersalu łączyła Niemcy z Rosją; kraje te nie pogodziły się z faktem istnienia Polski, podobnie jak dzisiaj kraje arabskie nie pogodziły się jeszcze z faktem istnienia Izraela. Dlatego Izrael ma słuszne powody do obawiania się o swoją przyszłość. Dopóki kraje arabskie nie zgodzą się myślowo i uczuciowo na fakt, że Izrael istnieje i istnieć będzie — nowe państwo żydowskie jest państwem sezonowym, jak nim, niestety, była Polska.

5

Nie rozumieliśmy w pełni w dobie naszej niepodległości wagi Wersalu. Było nawet rzeczą modną w naszej polityce, przejawiającej mocarstwowe maniery, ironizowanie Wersalu, zadawanie ukłuc w stosunku do takich jego pochodnych jak Liga Narodów. Nie rozumieliśmy także, że proces jaki odbywał się w Europie w latach międzywojnia, był tragicznym procesem porzucania traktatu wersalskiego, odchodzenia od niego, wzrostu przekonania, że nie jest on *un document viable*. Albowiem rozkład Wersalu zaczął się od wewnątrz: od aktu niewiary samego Zachodu, samych jego twórców w możliwość utrzymania tego traktatu. Zachód sam własnymi rękoma zamordował ten układ, zanim wzmocnione Niemcy podeptały Wersal zupełnie.

Nie wyjaśniono dotychczas, o ile wiem, jakimi właściwymi szlakami biegła myśl sojuszników jeżeli chodzi o stworzenie nowej Europy wschodniej po roku 1918. Zbyt mało uwagi poświęcano chyba tezie, że jednak w zmontowaniu krajów niepodległych Europy wschodniej odegrała rolę obawa przed rozlaniem się rewolucji bolszewickiej. Zachód miał powody do lękania się o to, że Rosja bolszewicka zechce pokumać się z pobitymi Niemcami; ale rozmaite komunistyczne symptomy, jakie

oglądaliśmy w Niemczech w latach od 1918 do 1920 — od buntu marynarzy w Hamburgu aż po pucz Spartakusa — nie nosiły poważnego charakteru. Wydaje się, że Zachód przeląkł się nadmiernie tych objawów i że poparcie, udzielane Niemcom weimarskim w dużej mierze czerpie tutaj swoje korzenie.

Wydaje się, że cały rejon Europy wschodniej musiał być pomyślany przez aliantów jako „*cordon sanitaire*” w stosunku do bolszewizmu.

6

Rozterka wewnętrzna zabiła Wersal. Te wahania samych jego twórców ujawniły się już w tworzeniu Locarna, które ustanowiło w Europie bezpieczeństwo z podwójnym dnem, czy dwuistego gatunku: lepszego dla Zachodu, gorszego dla Wschodu. Układ morski anglo-niemiecki podważał jeszcze bardziej Wersal. A wreszcie stosunki anglo-francuskie, z których istoty nie zdawaliśmy sobie sprawy w dobie naszej niepodległości, zatruwały stale i od początku owoce zwycięstwa Zachodu.

Francja, która po dziś dzień myśli logicznie i jasno — chociaż nie ma już dzisiaj siły do przeprowadzenia wielkich inicjatyw — zrozumiała po pierwszej wojnie, że tylko sieć aliansów wokół Niemiec potrafi utrzymać je w ryzach. Sojusze Francji dewaluowały się raptownie, albowiem nie otrzymały reasekuracji angielskiej. W tych warunkach Francja oglądała się coraz bardziej na Rosję. Nie rozumieliśmy w dobie inicjatyw takiego Barthou i jego pomysłów paktu wschodniego, że Francja, czując zagrożenie niemieckie, a zwątpiwszy w siłę sojuszników takich jak Praga czy Warszawa, szuka re-asekuracji w Moskwie. Odrzuciliśmy pakt wschodni — ale oto w roku 1941 doszło do układu, który właśnie takie pomysły realizował.

7

Mówi się u nas wiele o inicjatywie Piłsudskiego w roku 1933 w formie oferty wojny prewencyjnej przeciwko powstającemu Hitlerowi. Istnieją poszlaki, że istotnie Piłsudski z tego rodzaju ofertą wystąpił. Niestety, po dziś dzień żaden z naszych polityków czy dyplomatów nie potrafił podać naszej wersji wypadków. Mamy dotychczas tylko uwagi obserwatorów politycznych Anglii, Francji; mamy napomknięcia w książkach wielu autorów. Mamy nawet przyznanie się do takiej inicjatywy prezydenta Benesza. Nie jest to bynajmniej wymysł, ale fakt (**).

Czy istotnie była inicjatywa polska w roku 1933 — po-

(**) Historyk angielski Sir Charles Petrie podał tę tezę w jednej ze swoich książek. Gdy zwróciłem mu uwagę w liście doń przesłanym, że inicjatywa ta wyszła od Piłsudskiego, odpowiedział mi, że całą wersję otrzymał od samego Benesza.

wtrązona w roku 1936, a zatem w momencie kiedy Niemcy weszli do Nadrenii tworząc wyraźny *casus belli*? Jest to pytanie bardzo doniosłe: albowiem jeżeli istotnie Piłsudski, a potem Beck, wystąpili z tego rodzaju ofertami, to dowodziłoby to, że rozumieli w pełni sytuację. Jeżeli Piłsudski w roku 1933 domagał się akcji przeciwko Hitlerowi, to wystawia to świadectwo jego jasnej wizji — albowiem w roku 1933 nie trzeba było nawet akcji zbrojnej, ale tylko mobilizacji po obu stronach granicy Niemiec, Francji i Polski, ażeby Hitler runął. Jeżeli w roku 1936 Beck domagał się akcji — czy przynajmniej mobilizacji po obu stronach granicy Trzeciej Rzeszy — to dowodziłoby to, że widział on wyraźnie czym grozi zajęcie Nadrenii. Ten bowiem akt Hitlera oddzielał Zachód od jego sojuszników na Wschodzie i zatem był wstępem do roku 1939 i uderzenia na Polskę.

Nie mamy dotychczas żadnego autentycznego, udokumentowanego wyводу polskiego na temat tych dwóch rzekomych inicjatyw. Jest to wielka szkoda.

8

W warunkach jakie powstały w roku 1934 — a zatem kiedy Zachód okazał niechęć do poskromienia Hitlera — zawarcie przez Polskę układu z Niemcami wydaje nam się dzisiaj rzeczą logiczną. Polska próbowała porozumienia z potężniejszym sąsiadem widząc, że Zachód przejawia coraz to większy brak zainteresowania losami Europy wschodniej.

Wydaje się jednak, że opinia polska nie orientowała się w pełni w implikacjach i logice wewnętrznej układu z Hitlerem. Przypuszczać bowiem wolno, że już w roku 1934 Hitler miał gotowe swoje alternatywne plany — czy marzenia — w odniesieniu do Rosji i do terenu, który go od Rosji oddzielał. Mógł się on do Rosji dobrać albo przez poddanie sobie przestrzeni leżącej między Rosją a Niemcami i przez zamienienie jej w pomost — albo przez zlikwidowanie tego terenu z pomocą samej Rosji i dojścia do zwarcia z Rosją.

Nie orientowaliśmy się, że Hitler ma takie plany. Że chciałby zmienić Polskę w satelitę, z którym by wyruszył na Moskwę. Że ewentualnie za taką cenę ścierpiałby Polskę w roli takiej w jakiej ścierpiał Węgry czy Rumunię.

Wydaje się, że optymizm zaślepił nas na tyle, iż nie dostrzegaliśmy dalszego niejako ciągu, jaki tał się w układzie z Hitlerem. Nie był to bowiem układ sam w sobie, skończony — ale wstęp do pewnej akcji. Polska nie była gotowa powiedzieć „B” po „A” układu z Berlinem.

Po wybuchu wojny nie dostrzegaliśmy — zaślepieni własną klęską i tragedią — że celem akcji Hitlera był nie rozbiór Polski, że jest to zbyt mały cel i ambicja, że istotnym celem, tematem i motywem wojny jest uderzenie Niemiec na Rosję. Dlatego nasze czynniki w Londynie źle oceniały zamiary niemieckie i fał-

szywie informowały Anglię. Ale Churchill już wiosną roku 1941 wiedział, że Hitler uderzy na Rosję.

9

Momentem, który wymaga lepszego oświecenia z naszej strony to problem Monachium, naszego stanowiska wobec Czechosłowacji i pytanie, czy byłoby dla nas rzeczą lepszą, gdyby wojna wybuchła już w roku 1938 a nie w roku 1939?

Wydaje się, że znowu ulegliśmy optymizmowi po „Anschlussie” Austrii, że byliśmy przekonani, że uderzenie niemieckie pójdzie na południe; że nasza ocena sytuacji w okresie Monachium była fałszywa i że nasze stanowisko wobec Pragi było mylne — pomijając etyczność naszego postępowania. W tej dziedzinie nie ma już dzisiaj chyba wątpliwości, że nasze zachowanie się wobec Czechosłowacji, od kryzysu sudeckiego aż po zabór Zaolzia, było wątpliwe pod względem moralnym. Sama zaś akcja wobec Zaolzia była godna potępienia i niezgodna z tradycjami naszego narodu.

Stosunki polsko-czeskie czekają rzetelnego i uczciwego oświecenia. Wydaje się, że mogliśmy przez okazanie Pradze poparcia odegrać lepszą rolę w kryzysie sudeckim, a może zmienić nawet bieg wypadków, jeżeli chodzi o kapitulację monachijską. Nasze nieszczęsne uprzedzenia wobec Czechów, połączone z nadmiernym optymizmem naszej polityki zagranicznej i wiarą we własne siły zbrojne — te trzy elementy sprawiły, że nie zrozumieliśmy, iż Monachium było wyrokiem śmierci na Polskę... chyba, że byłaby się ona zgodziła na rolę lennika Niemiec.

Czy byłoby lepiej aby wojna wybuchła w roku 1938? W Anglii jest cała szkoła historyków, która sądzi, że należało przyjąć wojnę w roku 1938 a nawet ją sforsować — do polityków, wyznających tę zasadę należy Churchill. Szkoła ta uważa, że Niemcy owej doby były o wiele słabsze niż w roku 1939, że nie wzmocniły się wtedy jeszcze zakładami Skody, nie porosły w samoloty, czołgi, broń wszelkiego typu, podczas gdy Zachód niewielkie poczynił postępy i przygotowania w ciągu roku, jaki dziełił Monachium od wojny. Poza tym sądzi się, że wojna w roku 1938 wprowadziłaby do akcji — po chwili może wahania — Polskę, że front walki byłby większy i że Rosja sowiecka, związana sojuszem z Pragą, musiałaby się ruszyć. Innymi słowy doszłoby zaraz do wojny powszechnej, nie byłoby porozumienia sowiecko-niemieckiego, wojna trwałaby krócej.

Momenty te powinniśmy rozważyć z naszego punktu widzenia. Czy byłoby rzeczą korzystną dla Polski, ażeby wojna wybuchła już w roku 1938? Wydaje się, że odpowiedź brzmi: „tak”.

Uniknęlibyśmy może w ten sposób tego fatalnego rozdziewu, hiatusu, jaki powstał w drugiej wojnie światowej — rozdzielając akcje wojenne na trzy jakby czy nawet cztery części, oderwane

od siebie: wojnę polsko-niemiecką, akcję przeciwko Zachodowi, wojnę przeciwko Jugosławii i Bałkanom, wojnę niemiecko-sowiecką. Nie wiadomo jednak czy można by uniknąć bardziej tragicznego rozdziału wojny — rozbicia jej na *dwie wojny w jednej*: albowiem wojna zaczęta w roku 1939 prowadzona była pod innymi hasłami, w imię wizji świata, świata odwartego, ujętej czy skodyfikowanej w Karcie Atlantyckiej; podczas gdy wojna zaczęta w roku 1941 atakiem Hitlera na Rosję podjęta była w imię innej wizji świata, świata zamkniętego, innego planu, innego zamiaru.

Cały ten problem należałoby rozpatrzyć w sposób beznamytny. Kluczowym momentem jest dalej oczywiście pytanie czy Benesz gotów był w ogóle walczyć? Istnieją na ten temat dwie tezy. Jedna powiada, że Benesz może i gotów był do przyjęcia wojny z Hitlerem ale został całkowicie zdemoralizowany presją wywartą na nim przez Zachód, ażeby odwołał mobilizację. Od tego czasu szukał on już tylko pretekstu do zrzucenia z siebie ryzyka walki. Dlatego to wezwał na Hradczyn posłów Francji i Anglii, ażeby postawili mu pewnego rodzaju ultimatum, a zatem że on sam wymógł na nich oświadczenie, że nie może liczyć na pomoc Zachodu. Tego rodzaju oświadczenie potrzebne było Beneszowi, ażeby mógł wykazać własnemu gabinetowi, że Praga została zdradzona i że musi skapitulować. Druga teza powiada, że nawet po odwołaniu mobilizacji Benesz byłby gotów przyjąć walkę, że aliansi sami, z własnej inicjatywy, a nie z sugestii Benesza, dali mu ostrzeżenie, które było niczym innym jak ultimatum. Benesz nie poddałby się jednak gdyby miał pomoc moralną — zwłaszcza Polski.

Należałoby zbadać, która teza jest prawdziwa. Jeżeli istotnie Benesz nie chciał w ogóle walczyć i był zdecydowany kapitulować od samego początku sporu sudeckiego, to wówczas widoki rozpętania wojny powszechnej w roku 1938 nie przedstawiały się realnie. Ale nawet przy przyjęciu takiej całkowitej negatywnej tezy — i wyjaśnieniu czy Benesz sam skłonił wysłanników Paryża i Londynu do dania mu ostrzeżenia, czy też była to akcja samodzielna z ich strony wydaje się, że brak poparcia ze strony Polski okazany w przede dniu mobilizacji czeskiej odegrał wielką rolę w ostatecznej decyzji Benesza.

10

Brak nam dotychczas krytycznego rozbiór wagi i znaczenia układu polsko-angielskiego. Jest rzeczą oczywistą, że z wiosną roku 1939 zawarcie tego układu powitano u nas jako wielki triumf. Trzeba powiedzieć otwarcie, że istotnie był to najlepszy układ jaki można było otrzymać, że realizował on — szkoda, że tak późno, bodaj za późno — marzenia francuskie o re-asekuracji angielskiej dla francuskiej sieci sojuszków, że dawał nam gwaran-

cję, że wojna przeciwko Polsce zmieni się — ze względu na światową pozycję Anglii — w wojnę powszechną.

Ale już wtedy można było snuć pesymistyczne domysły na temat sensu samego paktu. Był on bowiem od początku paktem obliczonym na jedną doraźną okazję: atak Hitlera na Polskę. Po wejściu wojsk sowieckich do Polski stało się rzeczą jasną nawet dla tych, co nie umieli czytać dokumentów dyplomatycznych, że układ polsko-angielski był tylko pomyślany jako pakt obronny w odniesieniu do Niemiec. Umocnił on podejrzenia pesymistów, że w tle niejako tego paktu poruszała się czy przesuwiała gwarancja sowiecka.

Toteż kiedy zawarty został układ anglo-sowiecki w roku 1941 Londyn nie tylko wcale brutalnie skłonił rząd generała Sikorskiego do podpisania najszybciej układu z Rosją sowiecką — układu na pewno potrzebnego, ale źle interpretowanego, układu, którego istotny sens został zatajony przed naszym społeczeństwem — ale i walor sojuszu polsko-angielskiego począł szybko spadać. Było to nieuchronne następstwo tego, że układ polsko-angielski nie był celem samym w sobie, ale niejako wstępem do całego cyklu sojuszków. Ze na tle sojuszu z potęgą sowiecką sojusz z Polską automatycznie się dewaluował.

11

Nie tylko nie mamy dotychczas krytycznego rozbiór wartości i implikacji sojuszu polsko-angielskiego, ale nie mamy żadnego poważnego opracowania stosunków polsko-angielskich w dobie drugiej wojny. Być może dlatego, że nie brak w tych stosunkach — jak właśnie moment skłonienia Sikorskiego przez Edena do podpisania układu z Majskim — chwil raczej niemiłych. Zapominamy dzisiaj, że lipiec 1941 przyniósł poważny rozłam w opinii polskiej w Anglii co do sensu układu Sikorski-Majskij. Rozłam ten zatuzowano, ale warto przypomnieć, że był to spór między optymistami — z Sikorskim na czele — a pesymistami — z Sosnkowskim na czele — co do konsekwencji całego układu. Układ jakiegoś rodzaju był potrzebny, co więcej — konieczny, ażeby ratować tysiące Polaków z Rosji. Ale jeżeli już przyjmowało się układ typu takiego, jaki został zreagowany (przy czym co do okoliczności redagowania i roli odegranej w tym przez pewne czynniki natury jak najbardziej postronnej istnieją liczne relacje) to trzeba było odważnie przyjąć następstwa tego układu. Albowiem strona sowiecka — trzeba to przyznać na jej korzyść — nie tała tego, że układ Sikorski-Majskij nie przywraca granicy ryskiej. Majskij powiedział to wyraźnie Sikorskiemu. Innymi słowy było rzeczą jasną dla każdego trzeźwo myślącego człowieka, że już w lipcu roku 1941 Polska traciła kresy wschodnie za cichą zgodą Zachodu i że wysoka pozycja Rosji sprawia, iż zwycięstwo uzyskane przyniesie jej rolę arbitra w Europie wschodniej.

Ten stan rzeczy zatajono przed opinią polską w kraju. Gdyby kraj został odpowiednio poinformowany o tej sytuacji, to kto wie jak by się kształtowało tworzenie ruchu podziemnego i czy doszłoby potem do Powstania Warszawskiego? Ze strony władz londyńskich dokonano rzeczy karygodnej w formie nieujawnienia całej prawdy, która jasno rysowała się przed oczyma wszystkich obserwatorów nieomamionych naiwną propagandą nagminnych polskich optymistów. Optymizm w połączeniu z lekko-myślnością i brakiem odpowiedzialności kierował naszymi poczynaniami w owym tragicznym lipcu roku 1941.

Momenty te czekają rzetelnego opracowania.

12

Oświecenia wymagają takie problemy jak Powstanie Warszawskie, odpowiedzialność za to powstanie, a potem problem taki jak powrót Mikołajczyka do Polski. Jeżeli chodzi o Powstanie Warszawskie to po dziś dzień nie ustalono, gdzie spoczywa odpowiedzialność za ten krok: czy Londyn całkowicie przesądził sprawę, a jeżeli tak, to kto? Wiele wskazuje na to, że istotna decyzja leżała w rękach Mikołajczyka. Ale nawet tego nie zdołano obiektywnie ustalić.

Powstaje pytanie, czy Mikołajczyk, powodowany kalkulacjami, które nie są w pełni znane (może chęcią powiedzenia Stalinowi w Moskwie, że on panuje w Warszawie?), istotnie zdecydował o wybuchu powstania? Składanie odpowiedzialności na ludzi takich jak gen. Bór-Komorowski wydaje się o tyle niezasadne, że po pierwsze decyzja była w Londynie, a po wtóre nie można wymagać od człowieka podziemia ażeby orientował się w sytuacji międzynarodowej. Uważam, że sytuacja gen. Bora-Komorowskiego przypominała sytuację człowieka, który siedząc w piwnicy ma wnioskować z nóg osób przechodzących pod oknami o sytuacji na ulicy. Ale pogląd jaki można sobie było wyrobić w Londynie był o wiele jaśniejszy — i o wiele bardziej pesymistyczny. Streszczał się on w tym, że Niemcy są zbyt już słabi ażeby odeprzeć Rosjan, ale dosyć silni ażeby zniszczyć nas. Ze Zachód nie może pomóc wiele, nawet gdyby chciał, ze względu na dystans; że Rosja nie pomoże, bo jest to wbrew naturze niejako akcji rosyjskiej ujawnionej od chwili stworzenia Komitetu Wolnej Polski.

Ustalenie odpowiedzialności za Powstanie Warszawskie jest sprawą dalej pilną. Istnieje teza, że do Powstania musiało dojść, albowiem istniała zbyt wielka koncentracja sił w stolicy. Ale kto dopuścił do powstania tej koncentracji? O wiele więcej tragicznej prawdy wieje z relacyj Polaków przybywających z Polski — powiadają oni, że do powstania dojść musiało, albowiem musiała się wyładować, chociażby na czas krótki, straszliwa nienawiść do okupanta: że Polacy musieli wywalczyć, czy próbować wywalczyć własnymi siłami, stolicę.

Ale to nie zwalnia nas jeszcze od zbadania do gruntu tragicznego rozdziału zwanego Powstaniem Warszawskim.

13

Jest rzeczą znamioną, że w atakach na Mikołajczyka zapomina się całkowicie niemal o jego roli jeżeli chodzi o wywołanie czy decyzję co do Powstania Warszawskiego, natomiast cały ogień oskarżeń kieruje się na niego w związku z jego powrotem do Polski. Zapomina się o tym, że w roku 1945 zaślepienie Zachodu co do zamiarów régime'ów komunistycznych i samej Rosji było tak wielkie — albowiem było to zaślepienie świadome, chciane — że żadne dowodzenia teoretyczne nic nie potrafiły wskórać. Zachód uważał, że można z komunistami współpracować. Trzeba było dopiero trupa Jana Masaryka na podwórku pałacu Czerninów w Pradze i ucieczki Mikołajczyka z Warszawy, ażeby otworzyć oczy na to, że taka współpraca jest niemożliwa. Nie trzeba dodawać, że trup Masaryka na bruku Pragi wywołał większy wstrząs aniżeli ucieczka Mikołajczyka. Ten fakt był początkiem zwrotu w opinii Zachodu.

14

Oto kilka z tych tematów, które należałoby — jak mi się zdaje — pełniej oświetlić i wyjaśnić. Wszystkie one są sporne, kontrowersyjne; wszystkie muszą wzbudzić polemikę. Ale nadszedł już chyba czas, ażeby zbadać je spokojnie, ażeby ustalić odpowiedzialność, ażeby rozwiać cień legendy, jeżeli była to istotnie tylko legenda (jak w sprawie inicjatywy wojny prewencyjnej z Niemcami), ażeby uprzytomnić sobie gdzie popełniliśmy błędy. Tego rodzaju robota jest wskazana nie tylko jako służba prawdzie i historii — ale jako zabieg w dziedzinie, którą można by nazwać higieną narodową.

(Dokończenie nastąpi.)

Zbigniew GRABOWSKI

„Gospodarka Narodowa”

(W DWUDZIESTĄ PIĄTĄ ROCZNICĘ)

I. — TŁO

Pomimo krótkiego okresu czasu, który dzieli nas od lat przedwojennych, ludzie, fakty i sytuacje tej tak niedawnej przeszłości zaczynają powoli ginać we mgle, jeśli nie całkowitej niepamięci — to w każdym razie dostatecznie gęstej na to, by kontury i sens wydarzeń straciły swoją ostrość.

Nawet sprawy najważniejsze wymagają przypomnienia i sklasyfikowania. Tak na przykład trzynastolecie 1926-1939, które dla jednych jest nieprzerwanym okresem dobrych rządów „sanacji” było w rzeczywistości podzielone na parę podokresów, których zacierzawieni zwolennicy, lub przeciwnicy nie chcą widzieć. Być może, że w przyszłości ustalić będzie można szereg elementów, które pozwolą na trwałe podział według jakichś ostatecznych kryteriów. Tymczasem wobec istnienia tendencji do zamazywania raczej, niż do wyjaśniania, trzeba podjąć próbę prowizorycznego przynajmniej ustalenia niektórych słupów granicznych, czy — jak to było w modzie mówić przed rokiem 1939: linii podziału.

Konstytucja roku 1921, która dla wielu nabrała później wdzięku utraconej doskonałości, w okresie bezpośrednio przed przewrotem majowym była oceniana surowo, nie tylko przez późniejszych zwolenników obozu Marszałka Piłsudskiego. Mnożyły się prace i artykuły, wykazujące konieczność wzmocnienia władzy wykonawczej. Dwuletni okres rządów Władysława Grabskiego wprowadził wprawdzie pewną dozę porządku do administracji państwa, a zwłaszcza do tak chwiejnych przedtem finansów, ale przekonanie o potrzebie silnych rządów, jeśli się tak można wyrazić: „wisiało” w powietrzu. „Sejmowładztwo” było niepopularne.

Na prawicy o potrzebie reformy konstytucji pisał prof. Dubanowicz. Myśl o zamachu krążyła po głowie nie tylko Marszałkowi Piłsudskiemu. Wiadomo, że o konieczności przewrotu przemysliwał także ówczesny dowódca Okręgu Korpusu Lwowskiego, gen. Władysław Sikorski, który zresztą wówczas był dość zasugestionowany przykładem świeżego jeszcze i nieobarczonego całą późniejszą treścią tego słowa: faszyzmu włoskiego.

Bezpośrednią przyczyną zamachu było stworzenie rządu

„Chienio-Piasta” przez Wincentego Witosa i obawa, że na zasadzie „paktu lanckorońskiego” — prawica i prawe-centrum będą się starać utworzyć trwałą koalicję rządową, a i reformę konstytucji na swoją korzyść. Za oddziałami wojska, które na rozkaz marsz. Piłsudskiego „poszły na most” stała więc lewica. Ciągący ulicami Warszawy pochód po dokonanej przewrocie miał w znacznym stopniu charakter manifestacji robotniczej. Są to fakty o których się zapomina — ale wówczas miały one swoją wagę i charakter.

Marsz. Piłsudski, przybywając po zakończonych walkach do Komendy Miasta, oświadczył: „Jestem bardzo zmęczony. Niech nam Bóg przebaczy to co się stało”. Nie był to okrzyk triumfu podobny do wykrzykników Mussoliniego. Pierwsze posunięcia zwycięskiego wodza poszły po linii łagodzenia sytuacji. Władza została złożona w ręce marszałka Sejmu, Rataja. Sejm większością głosów lewicy i centrum zalegalizował poniekąd zamach, wybierając Marszałka Piłsudskiego Prezydentem Rzeczypospolitej. A gdy on tej godności nie przyjął, ta sama większość, na wniosek posła Mariana Zyndram-Kościałkowskiego wybrała mało znanego profesora Ignacego Mościckiego, którego główną kwalifikacją było to, iż był on kandydatem tegoż Marszałka Piłsudskiego. I ciągle ta większość w Sejmie w tym samym czasie uchwała pierwszą „małą” reformę Konstytucji.

Zestawmy więc raz jeszcze fakty: zamach dokonany na tle dość powszechnego przekonania o niemożliwości trwania „sejmowładztwa”, w oparciu o lewicę. Zalegalizowany przez koalicję centrowo-lewicową. Po tamtej stronie „mostu” znalazła się przede wszystkim endecja i wszyscy ci, którzy do niej ciążyli.

Zgodnie z charakterem lewicowym zamachu przeprowadzono szereg ustaw społecznych. Socjalistyczny przywódca, Daszyński, późniejszy marszałek Sejmu, pisze książkę o Marszałku Piłsudskim. Ale jeśli jakieś imię miałoby być symbolem tego pierwszego okresu trzynastolecia, to przede wszystkim nazwisko prof. Kazimierza Bartla. Premier i wice-premier kolejnych rządów uosabia on najlepiej te lata.

Nieświerz, Dzików — są to posunięcia, które wprowadzają zmianę kierunku rządów, ale jeszcze nie zmianę metody. Owa zmiana kierunku dotyczy głównie wsi. Zniesiono Ministerstwo Reform Rolnych. Ministrem Rolnictwa zostaje konserwatysta. Ustawy kontyngent parcelacyjny (200 tysięcy hektarów rocznie) nie jest wykonywany, przy tym reforma jest stosowana przede wszystkim w odniesieniu do majątków niemieckich, co nadaje jej charakter regionalny. Mnożą się wyłączenia z ustawy o reformie rolnej dla tzw. gospodarstw wzorowych. Wreszcie na zasadzie specjalnych pozwoleń dopuszczona jest tzw. „dzika” parcelacja, która sprawia, że poważna część ziemi przechodzi w ręce zamożniejszych chłopów (według dzisiejszej terminologii „kulaków”) a nie w ręce bezrolnych, czy małorolnych.

Jeśli chodzi o przemysł, to pierwsze lata wypełnione są dys-

kusjami między „liberałami” a „interwencjonistami”. Ogłoszone zostają „rozmowy premiera Kazimierza Bartla z przemysłowcami”. Specjalna Komisja Ankietowa, która w latach 1928-1929 przeprowadziła pogłębione studia poszczególnych działów przemysłu dobrana była spośród reprezentantów inicjatywy prywatnej, jak i zwolenników etatyzmu. W każdym razie w zakresie przemysłu nie ma tak wyraźnego zwrotu ku konserwatyzmowi, jak w dziedzinie rolnictwa.

O wyborze momentu zamachu majowego 1926 roku decydowały względy natury personalno-politycznej. Ale wypadł on w momencie wyjątkowo pomyślnej koniunktury gospodarczej. Strajk górników w Anglii otworzył dla węgla polskiego nowe rynki zbytu, na bardzo korzystnych warunkach. Polityka wysokich cen rolnych, stosowana przez kolejnych prezydentów Stanów Zjednoczonych: Harding'a, Coolidge'a i Hoover'a zapewniała zbyt artykułów rolnych na warunkach tym lepszych, że cała Europa Zachodnia przeżywała wówczas okres dobrej koniunktury.

Na tym tle wojna celna z Niemcami, która w przekonaniu kierowników polityki Rzeszy miała doprowadzić do załamania się słabego organizmu gospodarczego Polski stała się bodźcem do rozwoju nowych gałęzi przemysłu i dodatkowej aktywności gospodarczej.

Pożyczka dillonowska z roku 1927 udzielona zostaje Polsce przy klauzulach mniej „kolonialnych” niż dotychczasowe pożyczki. (Pożyczka włoska, zaciągnięta przez rząd Grabskiego przewidywała, iż w razie komplikacji międzynarodowych zarząd Monopoli Tytoniowego, pod którego zastaw została udzielona, przechodzi w ręce włoskie i na budynkach jego powiewać będzie flaga włoska.) Oprocentowanie pożyczki dillonowskiej jest jeszcze bardzo wysokie, ale wobec drożyzny pieniądza w kraju nie razi. Odrzucona zostaje propozycja Harrimana elektryfikacji południowo-zachodniej Polski. (Na tle późniejszych wydarzeń był to niewątpliwie błąd. Warunki nie były gorsze od dillonowskich, a przyspieszało to uprzemysłowienie kraju i zapewniało stan zatrudnienia w latach kryzysu. Zwolennikiem układu z Harrimaniem był minister Robót Publicznych, socjalista, Moraczewski). Przyspieszona jest budowa Gdyni.

Wysoki stan zatrudnienia, wysokie płace, dobrobyt wsi: sprawy gospodarcze idą dobrze i są na dalszym planie. Na pierwszy plan wybijają się sprawy polityczne: wybory roku 1927, konflikt z Sejmem, Trybunał Stanu. Później: kongres krakowski „Centrolewu” i — Brześć.

Brześć i wybory roku 1930 to nowa data, nowy rozdział. To początek drugiego okresu trzynastolecia. Okres pierwszy, lata 1926-1930 są epoką twórczą. Lata 1930-1935 są epoką konsolidacji.

Koniec „bartłowania”, koniec „demokracji kierowanej”. Pada zapowiedź „trzeszczenia kości”. Linia podziału biegnie te-

raz inaczej. Odpadają od obozu rządowego partie chłopskie (poza nielicznymi „kadzichłopami”) i socjaliści. Kraj dzieli się na zwolenników i przeciwników dyktatury Marszałka Piłsudskiego. Podział ten idzie poprzez klasy społeczne i ugrupowania polityczne, ale w sumie oznacza wielkie przesunięcie partii rządowej — B.B.W.R. ku prawicy i ku tendencjom zachowawczym.

Symbolem tych lat są w pierwszej linii Sławek i Prystor, a w dalszej perspektywie Janusz Jędrzejewicz, Pieracki, Beck, Matuszewski. „Pułkownicy”. Tylko pułkownicy nie z tego samego pokolenia i nie tego samego stosunku do Marszałka Piłsudskiego.

Dla Sławka i Prystora — Piłsudski to „Ziuk”, to „towarzysz Wiktor” z pracy partyjnej. Wódz, ale i kolega z konspiracji. Janusz Jędrzejewicz — to pokolenie przejściowe, świadek wysiadania Piłsudskiego z tramwaju „socjalizm” na „przystanku Niepodległość”. Ci inni — to dwudziestolatki z roku 1914, błyskotliwi oficerowie do zleceń, wyciągnięci wołą Piłsudskiego na zawrotne wyżyny, oddzieleni od „komendanta” nie tylko dystansem wieku, bałwochwalczym stosunkiem, ale i własnym bez niego „nieistnieniem”.

W tym okresie 1930-1935 dokonywało się stopniowe przesunięcie władzy z rąk ludzi roku 1905, czy później lat 1908-1912, do rąk „pierwszej brygady” z roku 1914. Ci ostatni mieli zawsze do Piłsudskiego stosunek jak do groźnego Bóstwa. Byłoby rzeczą ciekawą, choć dzisiaj już niemożliwą do ustalenia, jak często który z nich miał w życiu swoim okazję rozmawiania z Piłsudskim. Byli tacy którzy latami całymi nie widzieli go, pomimo, że w jego imieniu kierowali ważnymi działami aparatu państwowego. O nich to myślał Bartel, mówiąc z goryczą „o fałszywych tłumaczach Pisma Świętego”.

Polska tych lat nie jest państwem totalistycznym. W Sejmie zasiada opozycja. Gazety opozycyjne są często konfiskowane, ale się ukazują. Forma rządów w Polsce podobniejsza jest do dyktatur bałkańskich: rumuńskiej, jugosłowiańskiej, węgierskiej — niż do dyktatury włoskiej, czy niemieckiej. Lecz są to niewątpliwie rządy strachu, zastrzone przez narastające trudności gospodarcze i społeczne. Polska zostaje wciągnięta w wielki kryzys gospodarczy, pogłębiony przez szczególnie katastrofalną sytuację rolnictwa. Wiara w możliwość przyciągnięcia kapitałów zagranicznych, jeśli Polska utrzyma się w roli dobrego płatnika skłania do stosowania bardzo ortodoksyjnej polityki finansowej: utrzymania za wszelką cenę kursu złotego i wolności dewizowej. Unie możliwia to „nakręcanie koniunktury”. Obrazem tych lat staje się chłop, dzielący zapałkę na cztery części.

Są kraje, które nie są zdolne do wytrzymywania polityki deflacyjnej. We Francji, niezależnie od reżymów, od dwóch stuleci nie utrzymał się długo żaden rząd, który stosował zarządzenia deflacyjne. W Polsce ciężkie lata kryzysu kopały coraz większą przepaść między obozem rządowym, a społeczeństwem.

Charakterystyczne jest, że kolejni premierzy tych lat — Sławek, Prystor, Jędrzejewicz, Kozłowski — wyszli z lewicy, lub kół lewicujących. Tylko, jak często bywa z byłymi lewicowcami — pełni byli niewiary i pogardy dla lewicowości, a także dla niektórych haseł społecznych. Uważali, że ich własna ewolucja jest to jedyna droga, którą dyktuje rozsądek i interes Państwa. Nie rozumieli, że są inni, którzy myślą i czują, tak jak oni sami przed laty. Nie zdawali sobie sprawy jak daleko odeszli od swych pierwotnych poglądów. Odczuwali natomiast dobrze wrogość znacznej części społeczeństwa.

Dystans między rządem a społeczeństwem rośnie na tle kompleksu goryczy, tak silnego u Marszałka Piłsudskiego, a przejętego przez jego współpracowników. U Marszałka Piłsudskiego był to rezultat długich lat walki, toczonych często na tle niezrozumienia społeczeństwa: zrodzony z okresu akcji roku 1905 („bandyta spod Rogowa”), kompleks ten rozwijał się poprzez lata Legionów, okres pełnienia funkcji Naczelnika Państwa, śmierć Narutowicza, odosobnienie Sulejówka — aż wreszcie widział on dookoła siebie pełno „zaplutyh karłów”. U Sławka i Prystora podobne nastawienie mogło być zrozumiałe na tle analogicznych przeżyć. Ta nuta goryczy i pogardy u Jędrzejewicza była już tylko naśladownictwem i pozą intelektualną, a u Kozłowskiego — wręcz groteską.

Ci inni, młodzi, też nauczyli się pogardliwego stosunku do społeczeństwa. Wszak jeszcze w Pierwszej Brygadzie śpiewali: „Nie chcemy już od was uznania...”

Jeśliby znaczyć wykres owej pogoni za niepopularnością, to szczytowy moment wypadłby na okres premierostwa Jędrzejewicza i Kozłowskiego. Widowym znakiem jego staje się stworzony przez tego ostatniego obóz koncentracyjny w Berezie Kartuskiej.

Śmierć Marszałka Piłsudskiego w maju 1935 roku zamyka ten drugi okres.

Następuje trzeci, najkrótszy, rok zaledwie trwający „rozdział” trzynastolecia.

Na początku tygodnie „interregnum”. Na kilkanaście dni przed śmiercią Marszałka Piłsudskiego ogłoszone zostaje szczytowe dzieło jego obozu: konstytucja kwietniowa, mająca zapewnić trwałość, siłę i ciągłość rządów. „Rządzić nami ma prawo”, oświadcza Sławek bezpośrednio po śmierci Marszałka Piłsudskiego. Prawo — to też właśnie konstytucja. Ale oto ważny problem polityczny: konstytucja nie zawiera przepisów przejściowych. Nie wiadomo, czy „odpowiedzialny przed Bogiem i historią”, urzędujący Prezydent ma ustąpić, czy też urzędować do końca swego siedmiolecia. Konflikt między Sławkiem a prezydentem Mościckim rodzi się już przy pierwszym akcie: sprawie nominacji Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych. Kandydatem premiera Sławka jest gen. Dąb-Biernacki. Prezydent, powołując się na rozmowy z Marszałkiem Piłsudskim mianuje gen. Rydza-

Śmigłego. Dla zwolenników Sławka Prezydent jest uzurpatorem. Dla innych — przemawia za nim fakt, że dwukrotnie był wyznaczony na to stanowisko przez Marszałka Piłsudskiego. W dyskusjach między spadkobiercami powołanie się na to, że było się wyznaczonym do pełnienia jakichś funkcji przez Marszałka Piłsudskiego jest atutem decydującym. Cień Marszałka rządzi po jego śmierci...

Sławek kieruje swe wysiłki na sprawę ustawy o ordynacji wyborczej. Sama konstytucja nie wprowadzała jeszcze obozu rządowego w rodzaj stanu odosobnienia wobec innych ugrupowań i wynikający z niej bojkot wyborów, uchwalony przez opozycję i partii politycznych. Uczyniła to dopiero ordynacja wyborcza wszystkich odcieni.

Śmierć Marszałka Piłsudskiego wywołała wstrząs. Tłumy płaczące na pogrzebie, to nie tylko „piłsudczycy”, to szereg ludzi bez jasno określonych przekonań, którzy widzieli w zmarłym „gospodarza” Polski. Szybkie rozpisanie wyborów na zasadzie poprzedniej ordynacji wyborczej, dałoby obozowi rządowemu stosunkowo najlepszy rezultat, jakiego mógł się spodziewać. Legenda Marszałka Piłsudskiego, która już przed jego śmiercią oddzieliła się od poczynań jego współpracowników (wiele posunięć niepopularnych tłumaczono złym poinformowaniem, lub chorobą Marszałka) mogła teraz działać na korzyść jego spadkobierców. Bano się raptownym przemian, skoków w nieznaną. Ludzie byli pod wrażeniem śmierci, pogrzebu. Był to moment, gdy Piłsudski był najpopularniejszy.

Sławek poszedł po linii niewiary w społeczeństwo. Nie zdawał sobie sprawy, że kilkanaście lat szkoły powszechnej polskiej zmieniło wiele. Że w najzapadlejszych wsiach, gdzie przed rokiem 1914 mieszkali „tutejsi”, żyło młode pokolenie, któremu szkoła i służba wojskowa otworzyły inne drogi myślenia. W miastach przy postępującym mimo wszystko uprzemysłowieniu waga klasy robotniczej rosła. „Elitarna” ordynacja wyborcza oddziaływała szersze masy od wpływu na losy państwa, cofała Polskę do rodzaju reżymu „notablów”, niemożliwego już po roku 1905, a cóż dopiero po kilkunastu latach powszechnego prawa wyborczego.

Napięcie pomiędzy premierem Sławkiem, a prezydentem Mościckim dochodzi do punktu szczytowego we wrześniu. Konstytucja dawała Prezydentowi potężną broń, nawet jeśli miałby być zmuszony do ustąpienia: miał on możliwość wyznaczenia swego kandydata. Wówczas między kandydatem Zgromadzenia Narodowego (połączonego Sejmu i Senatu), a kandydatem ustępującego Prezydenta decydował plebiscyt. Prezydent Mościcki rzucił nazwisko swego kandydata: Kazimierz Bartel. Sławek wiedział, że Sejm i Senat, wybrane na zasadzie nowej ordynacji wyznaczą jego kandydaturę. Lecz wiedział także, że w razie plebiscytu, przy kontr-kandydaturze Bartla nie on wygra.

Ustąpienie Sławka kończy „interregnum” i rozpoczyna wła-

ściwy trzeci okres trzynastolecia. Jest on w całości wypełniony przez rząd-Kościąlkowskiego.

Od przewrotu majowego, aż po uchwalenie ordynacji wyborczej latem 1935 roku rozwój sytuacji w Polsce szedł po linii wzmagania się stopnia „autorytatywności” rządów i pogłębiania się dystansu między obozem rządowym a opozycją. Cechą okresu rządów Kościąlkowskiego jest próba zawrócenia z tej drogi i dojścia do porozumienia z częścią opozycji (P.S.L. i P.P.S.). Jest to także próba zmiany metody rządów, przez zbliżenie jej do wzorów z okresu „bartłowania”, a odejście od stylu „pułkownikowskiego”.

Otrzymuje dymisję cała grupa ministrów (Wacław Jędrzejewicz, Floyar-Reichman, Paciorkowski, Zawadzki, Koc, Krzysztof Siedlecki i inni). Z „pułkowników” w rządzie pozostaje tylko Beck (utrzymany przez prez. Mościckiego) i gen. Kasprzycki (utrzymany przez gen. Śmigłego-Rydza). Reszta rządu to liberalizująca lewica Obozu (sam Kościąlkowski, Kwiatkowski, Poniatowski, Świętosławski. Ten ostatni podpisał w roku 1930 protest profesorów przeciwko Brześciowi), lub także liberalizujące centrum (Raczkiewicz, Jaszczółt). Wciągnięci zostają przedstawiciele innych ruchów niepodległościowych — nie I-ej Brygady (Ulrych, b. „Zarzewiak”, Górecki — II-ga Brygada). Dokonane zostają zmiany na drugorzędnych stanowiskach. Między innymi rozbita zostaje „mafia” szefów Biur Personalnych Ministerstw, a szereg kierowników tych biur otrzyma dymisję.

Prawe skrzydło obozu, zwolennicy rządów „silnej ręki” przechodzą od razu do mniej lub więcej otwartej akcji zwalczania rządu. Jednym z ośrodków tej akcji staje się nowy „sławkowski” parlament: Sejm i Senat. Z największą trudnością rządowi udaje się uzyskać pełnomocnictwa, dzięki którym w ciągu jednego miesiąca przeprowadza on czterdzieści kilka dekretów, regulujących szereg zaległych spraw. W zakresie gospodarczym — to polityka „umiarkowanego nakręcania koniunktury” (zwalczana między innymi przez Matuszewskiego i Koca). W dziedzinie społecznej — to początek trzeciego okresu realizacji ustawowych (część z nich zostaje dokończona przez Kościąlkowskiego już jako ministra Opieki Społecznej) — pierwsze dwa okresy, to lata Marszałka Piłsudskiego, jako Naczelnika Państwa i bezpośrednio po przewrocie majowym. W zakresie mniejszościowym, to epoka „umowy normalizacyjnej” z Ukraińcami (zawartej przez Kościąlkowskiego, jako ministra spraw wewnętrznych) i odparcie pierwszego ataku antysemitckiego, montowanego przez prawe skrzydło obozu, przy poparciu endecji (sprawa uboju rytualnego). Inny kierunek ataku idzie na politykę rolną min. Poniatowskiego: przyspieszenie reformy rolnej, poparcie polityki hodowlanej (mała własność) kosztem zaniechania kosztownej interwencji zbożowej (wielka własność); sprawa gospodarki lasów państwowych.

Sławek wycofuje się z walki: rozwiązuje B.B.W.R. Sejm

składa się z luźnych grup i „kół pułkowych”. Rej wodzą przeciwko rządowi w Senacie Janusz Jędrzejewicz, w Sejmie — Prystorowa i konserwatyści wileńscy. Poza parlamentem cierpliwą akcję przekonania nowego wodza sił zbrojnych, gen. Śmigłego-Rydza o potrzebie rządów „silnej ręki” podejmuje Miedziński. „Lampka Wina” dla Legionistów z I-ej Brygady już w końcu października 1935 roku jest pierwszym krokiem Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych na arenie politycznej uczynionym przy pomocy Miedzińskiego. Siły antyrządowe puszczone więc są w ruch szybko.

Pojawiają się na widowni nowi „pułkownicy”, tym razem z GISZ’u. Przygotowują oni nastanie „systemu hetmańskiego” już od grudniowej podróży gen. Rydza-Śmigłego do Poznania. Na dolnych szczeblach administracji nie trudno się zorientować „kiedy wiatr wieje”. Rozpoczyna się sabotaż akcji rządowej, w którym celuje szczególnie aparat bezpieczeństwa i jego kierownik, wice-minister Kawecki. Zajścia w Przytyku, ułatwione przez „zniknięcie” policji w godzinach z góry wiadomych; szereg strajków okupacyjnych dostarczają materiału do wykazania, że rząd „rozpuszcza” naród. Następuje konfiskata „rządowej” „Gazety Polskiej”, prowadzącej pod kierownictwem Miedzińskiego i Matuszewskiego coraz jawniejszy atak na rząd. Chodzi w danym wypadku o artykuł wyraźnie przeciw rządowi, który miał się ukazać w momencie podróży premiera zagranicę. Dymisja wojewody Świtalskiego, po zajściach krakowskich i odwołanie strajku powszechnego przez negocjacje z Niedziałkowskim doprowadzają kryzys w łonie obozu rządowego do punktu szczytowego. Stanowisko Rydza w rozmowie z Kościąlkowskim decyduje o upadku rządu i zaniechaniu prób porozumienia z opozycją lewicową.

Dzień 12 maja 1936 roku, pogrzeb serca Marszałka Piłsudskiego na Rossie jest ostatnim, w którym publicznie zachowany jest porządek osób przewidziany przez nową konstytucję: Prezes Rady Ministrów idzie bezpośrednio po Prezydencie Rzeczypospolitej, a przed Generalnym Inspektorem Sił Zbrojnych.

W trzy dni później obejmuje władzę ostatni, przedwojenny rząd gen. Sławoj-Składkowskiego. Zmiany personalne są niewielkie, ale na pierwszą radę ministrów przyjeżdża Generalny Inspektor Sił Zbrojnych, na którego pojawienie się rząd oczekuje przed gmachem Prezydium. Nowy rząd powstaje pod hasłem „Obrony Państwa”. „Idę na patrol z polecenia Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i Pana Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych” — oświadcza prasie nowy premier. „System hetmański” dojrzał. Formalną sankcję otrzyma w trzy miesiące później w okólniku o „drugiej osobie”, zmieniającym w ten uproszczony sposób ład konstytucyjny.

Jest to początek czwartego, ostatniego okresu trzynastolecia.

Rząd generała Składkowskiego powstał na tle kompromisu

Rydza z Prezydentem. Prezydent poświęcił Kościalkowskiego i jego próby dojścia do porozumienia z lewicą opozycyjną za cenę udzielonego mu poparcia wojska. Wielka rewia wojskowa na Polu Mokotowskim, 31 maja 1936 roku, na jubileusz dziesięciolecia urzędowania Prezydenta, na której Rydz „drugą osobą” stoi za Mościckim jest widomym znakiem tego poparcia.

Kilka dni przedtem gen. Rydz-Śmigły występuje w nowej roli „wodza narodu”, powierzając misję tworzenia Obozu Zjednoczenia Narodowego — „OZON'u” pułkownikowi Adamowi Kocowi.

Nie ma już mowy o ustąpieniu Prezydenta. Sławek schodzi na dalszy plan. Na rok 1940 przygotowywane jest objęcie prezydentury przez Rydza, który tymczasem zajmuje się wojskiem, OZON'em i swoją popularnością.

Już Mackiewicz zwracał uwagę na dziwny objaw stosunkowej popularności Rydza, przy niepopularności Piłsudskiego. Krążyły legendy na temat lewicowości Rydza (mówiono na przykład, że przebijana wówczas przez ogród Saski ulica nazywać się będzie ulicą Rydza — bo to „przedłużenie Marszałkowskiej, tylko trochę na lewo”). Być może, że mieszały się tu wspomnienia udziału Rydza w krótkotrwałym rządzie „lubelskim” Daszyńskiego z 1918 roku. Nie orientująca się w rozgrywkach w łonie obozu rządowego opozycja, skłonniejsza była nieraz do szukania porozumienia z Rydzem i „wojskiem”, niż z liberalniejszymi, „cywilnymi” elementami rządu. Zresztą upadek rządu Kościalkowskiego oznaczał przerwanie rokowań z opozycją i scementowanie obozu rządowego w sensie nawrotu do metod sprzed 1935 roku.

Stpiczyński próbuje pozyskać sympatie części lewicy dla Rydza, jako dla „syna chłopskiego”. Nieudana w Nowosielcach kończy szybko ten okres. Już w czasie podróży do Francji Rydz występuje nie tylko jako szef wojskowy, ale jako czynnik nadrzędny polityki zagranicznej (sprawa roli Becka w rozmowach z Francuzami). Nadany mu przez Prezydenta order Orła Białego i buława marszałkowska wzmacniają jego autorytet.

Lata 1935-1937 charakteryzuje powstanie szeregu klubów w łonie obozu rządzącego. „Nowy Świat” później „Zaczn”, „Zespół”, grupa „Polityki”, klub „11 Listopada” itd. Szczególnie bliski Rydza jest klub „11 Listopada”, któremu przewodniczy minister Sprawiedliwości, Grabowski. Jest to nowy element w rządzie, o przeszłości endeckiej (należał do młodzieży, która manifestowała przeciw Narutowiczowi w 1922 roku). Pod jego kierownictwem Ministerstwo Sprawiedliwości stawia sobie za zadanie „sanację sanacji”, to jest walkę z nadużyciami. Wszczęte zostają z rozgłosem dwie sprawy: Dlouhego i Parylewiczowej. Obydwie nie dają pożądanego rezultatu. Zarzuty przeciw Dlouhemu okazują się niesłuszne — z powrotem zostaje przyjęty do służby. A sprawa Parylewiczowej zamiast oczyścić atmosferę, odkrywa szereg plam, które nie dają się przylepić do

poprzednich rządów (co było intencją ministra Grabowskiego) a brudzą cały obóz.

W lutym 1937 roku ogłoszona zostaje deklaracja i rozpoczyna się tworzenie OZON'u.

Rok 1937 jest rokiem strajku chłopskiego i nowej „pacyfikacji” w Małopolsce Wschodniej. Rząd „trzyma porządek” zelaną ręką, ale polityka robi się gdzie indziej. OZON przygotowuje się do objęcia władzy w państwie w maju roku 1940, w chwili ustąpienia Prezydenta. Tymczasem szuka porozumienia z różnymi odłamami młodzieży narodowej, ONR'u przede wszystkim. Koncesją dla nich mają być ustawy antysemitki, rodzaj obywatelstwa drugiej klasy dla Żydów. Przygotowywane są projekty ustaw gospodarczych, wzmacniających rolę kierowniczą i kontrolę państwa. W zakresie polityki zagranicznej, w chwili najwyższego napięcia, najważniejsze decyzje zapadają też poza rządem, na radach pięciu (Mościcki, Rydz, Składkowski, Kwiatkowski, Beck). Przedstawiciele OZON'u jeżdżą na kongresy norymberskie, szukają natchnienia we wzorach włoskich i niemieckich.

W roku 1938 nowe wybory kładą kres parlamentowi sławkowskiemu, rozwiązananemu przed czasem, dla otwarcia drogi ozonowemu Sejmowi i Senatowi. Marszałkowstwo tego ostatniego (a więc i przewodnictwo Zgromadzenia Narodowego przy wyborach prezydenckich w 1940 roku) jest dla Miedzińskiego nagrodą za torowanie dróg nowego „Wodza Narodu”.

Polityka Rydza zbliżenia z odcienią wszelkich odcieni (z „Arkonią” włącznie) odsuwa na bok „starych piłsudczyków”. Z goryczą śledzą oni praktyki „rydzowców” przeciwko tradycjom obozu. Przypominają faszyzujące tendencje Rydza i jego dziwną rolę w organizacji „Orla Białego” w 1927 roku. Strzał samobójczy kończy życie Sławka.

Czwarty okres trzynastolecia w jednym różni się od trzech poprzednich: przez lata całe ośrodkiem akcji był przede wszystkim rząd BBWR, czy inne ugrupowania obozu wyznaczoną miały rolę „współpracy z rządem”. Teraz rząd schodzi na plan administracyjnej „ariergardy” kończącego się okresu. Można widzieć premiera Składkowskiego w tak niepasującej do niego roli obrońcy masonerii na trybunie sejmowej. Ministrowie i ministerstwa „bronią się” przed inicjatywami ozonowymi. Inicjatyw tych jest dużo. Stoi za nimi nowe pokolenie „pułkowników”, przygotowujących się do objęcia w roku 1940 ministerstw i województw.

Tylko... dnia 1 września 1939 roku wybuchła wojna...

II. — APARAT RZĄDOWY

Załącznikiem aparatu rządowego Polski między dwoma wojnami był nieliczny zespół urzędników Rady Regencyjnej. Poszczególne departamenty rekrutowały swych współpracowników

wśród obywateli Królestwa Polskiego, czy innych ziem byłego zaboru rosyjskiego. Zaraz po załamaniu się państw centralnych do Warszawy napłynęła duża fala urzędników byłej Galicji. Później, wskutek repatriacji, przybyło wielu kresowców i uciekinierów z Rosji, których część wylądowała na urzędach państwowych. Wielkopolan było najmniej. Uprawiali oni przez pierwsze lata politykę separatyzmu i boczenia się na Warszawę, co czyniło koniecznym stworzenie specjalnego ministerstwa byłej dzielnicy pruskiej.

„Sejmowładztwo” pierwszych lat istnienia niepodległego państwa było tym groźniejsze, że administracja państwowa była świeżej daty, improwizowana w pośpiechu i nie miała ani tradycji, ani wyrobienia. We Francji niestałość rządów jest łagodzona przez ciągłość administracji. W Polsce, kraju nowym — tej ciągłości oczywiście nie było. Co więcej — wpływy partii politycznych przyczyniały się do częstych zmian w obsadzie urzędów, nawet niższych.

Pewną stabilizację urzędów i struktury ministerstw przyniósł rząd Władysława Grabskiego, który w sumie przez blisko dwa lata sprawował funkcje premiera. Ale największy krok w kierunku stworzenia właściwego szkieletu aparatu rządowego został zrobiony w pierwszym okresie po przewrocie majowym, to jest w latach 1926-1930.

Już sam styl prac rządu został zmieniony. Przed przewrotem, pomimo przewidzianej przez konstytucję 1921 roku kolektywnej odpowiedzialności rządu, poszczególni ministrowie zasiadali w nim jako przedstawiciele partii. Często obrady rady ministrów przerywano, gdyż ministrowie przed głosowaniem nad jakąś sprawą musieli się porozumieć z zarządem swego stronnictwa. Protokoły rady ministrów prowadzone były w ten sposób, że zgłaszane były zastrzeżenia ministrów z danego stronnictwa do tego, czy innego punktu. Faktyczna władza była nie w rękach rządu, a przewodniczących partii. „Konwent seniorów” Sejmu był rodzajem nadrządu. Po przewrocie majowym protokoły rady ministrów ograniczono do suchego zestawienia punktów przyjętych, czy odrzuconych — bez wzmianki jakie który z ministrów zajmował stanowisko, no i wobec niezależnienia rządu od partii politycznych nie było przerw na czas porozumienia się ze stronnictwami.

Uniezależnienie prac rządu od wpływów przywódców sejmowych nadało mu charakter ciągłości, jeszcze bez tej sztywności, której nabierze później. Rządy były w rękach ludzi, którzy się starali pozyskać społeczeństwo, a nie darzyli go pogardą. Była to dobra atmosfera do ściągania do ministerstw ludzi o właściwym przygotowaniu. Dojrzało już zresztą pokolenie, które miało za sobą wyższe studia ukończone w Polsce. Ciągłe był wielki brak ludzi, ale można było myśleć o przebudowie, czy rozbudowie ministerstw pod kątem widzenia potrzeb rzeczywistych, a nie koniunktury partyjno-politycznej.

Jeśli w sumie można powiedzieć, że Polska przed rokiem 1939 była państwem poważnym — to w znacznej mierze jest to zasługą tej konstrukcji aparatu państwowego, która stworzona została w latach 1923-1925 (Grabski) i 1926 (Bartel, pierwszy okres pomajowy).

W okresie tym doszło do stabilizacji administracji: ministrowie się zmieniali, lecz nie zmieniał się (albo tylko niewiele) skład ministerstw, a tym bardziej organów administracji na prowincji.

Równocześnie doszło do ogólnego podniesienia poziomu, między innymi właśnie dzięki pojawieniu się narybku młodego z odbytymi już całkowitymi wyższymi studiami w Polsce.

Ministerstwa powstawały i przebudowywały się szybko. Wynikała stąd pewna niejednorodność ich charakteru. Często przypadek: indywidualność takiego czy innego ministra, wice-ministra lub dyrektora departamentu decydowała na lata całe o stylu danego ministerstwa.

Jeden z korespondentów gazet niemieckich w Warszawie, pisząc książkę o Polsce przedwojennej określił ją złośliwie jako „federację republik zwanych starostwami”. Była to oczywiście przesada, ale było w tym też i coś prawdy.

Władza starosty była bardzo duża. Poza z tytułu przypadających mu funkcji był on niewątpliwie „gospodarzem” powiatu. Był ponad wszystkim innymi lokalnymi urzędnikami. Miał powierzona sobie decyzję w bardzo wielu sprawach.

Na szczeblu starościńskim bardzo wyraźne były przesunięcia od lewicy do prawicy w ciągu trzynastolecia pomajowego. W zasadzie w skład aparatu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych wchodziła większość urzędników o tendencjach lewicowych. Od czasu utworzenia BBWR. rozpoczęły się zmiany w poszczególnych działach Ministerstwa. Za namową Sławka do służby w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych wstąpiło kilku młodych ludzi o znanych arystokratycznych nazwiskach. Pod koniec OZON wprowadził wielu swoich zaufanych.

Jeśli chodzi o zakres władzy wojewodów, to był on nierównomierny: w jednym województwie większy, w innym mniejszy. Był on znacznie mniej obwarowany zarządzeniami i ustawami niż zakres władzy starostów na ich szczeblu. Wynikało to między innymi stąd, że w stolicy województwa było zwykle paru urzędników w tym samym co wojewoda stopniu służbowym (IV-tym), którzy się uważali za bezpośrednio podległych swojemu ministrowi (np. kurator okręgu szkolnego, dyrektor Izby Skarbowej), itd.).

Rozległy zakres władz miał w zasadzie wojewoda śląski, z racji przewidzianej dla tego województwa autonomii. Inni wojewodowie doszli do większego znaczenia, jak np. Józewski, „książe Wołyński”, stosujący inną politykę mniejszościową, niż w sąsiednich województwach. By podnieść znaczenie wojewodów rząd Kościłkowskiego, idąc po linii decentralizacji adminis-

tracji, rozpoczął mianować wojewodów w III stopniu służbowym, to jest w randze wiceministra. Za czasów rządu tego na tle konfliktu z wojskiem o władzę (o czym wyżej) powstał problem kto ma odbierać rewiew wojskową w dniu święta narodowego — wojewoda, czy dowódca korpusu.

Jeżeli chodzi o administrację centralną, to znaczy same Ministerstwo Spraw Wewnętrznych, to zmiany dokonywane były nierównomierne w poszczególnych departamentach ministerstwa. Np. departament, a później wydział aprowizacyjny (organ szczerkowy zniesionego Ministerstwa Apropowizacji) pozostawał do końca swego istnienia w rękach ludzi o przekonaniach lewicowych. Zdziwiająco stałość wykazywał sekretariat Ministerstwa: wszyscy ministrowie spraw wewnętrznych w Polsce od roku 1919 (to jest od czasu rządu Paderewskiego) do roku 1939 (to jest do rządu Składkowskiego) mieli tego samego sekretarza!

W miarę gdy administracja rządowa w ostatnim okresie (to jest od czasu upadku rządu Kościłkowskiego) zepchnięta została na pozycje obronne, wobec narastania znaczenia politycznego OZON'u, kurczyła się rola departamentu politycznego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Natomiast wzrosło znaczenie departamentu Bezpieczeństwa.

Ministerstwo Sprawiedliwości było w pierwszym okresie pomajowym nietknięte przez zmiany polityczne. Dopiero w okresie pułkownikowskim stanowisko ministra obejmuje „prokurator brzeski”, Michałowski. Ustawy przewidywały znaczną niezależność aparatu sądowego. Wpływ ministerstwa mógł być większy przy awansach i przeniesieniach. Dość powszechne było przekonanie o korupcji, istniejącej w aparacie sprawiedliwości za czasu rządów ministra Michałowskiego. Pod hasłem walki z tą korupcją ministerstwo objął w ostatnim okresie (to jest od maja 1936 roku) prokurator Grabowski. Był on przedstawicielem „grupy prokuratorów”-członków „klubu 11 Listopada”, a przez to szczególnie blisko stojący marszałka Rydza-Śmigłego. Przeprowadził on dużo zmian personalnych. Poza tym w zakresie ustawodawczym był prekursorem nowego okresu OZON'owego. Gościem jego w Warszawie był minister Sprawiedliwości Rzeczypospolitej, późniejszy „General-Gubernator” — Frank.

Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego też dopiero w drugim, to jest „pułkownikowskim” okresie przeszło na drogę „czystek” politycznych. Symbolem ich stały się postacie braci Jędrzejewiczów. Wobec istnienia samorządu wyższych uczelni skasowano szereg katedr, gdyż był to jedyny sposób usunięcia profesorów. Szkolnictwo średnie również w znacznym stopniu ogarnięte zostało przez tę akcję. Natomiast o ile chodzi o szkoły powszechne, to olbrzymia większość nauczycielstwa rekrutowała się z ludzi o przekonaniach lewicowych. O ile kolejne działania BBWR i OZON'u doprowadziły do dobrych stosunków między starostwem a dworem, o tyle stosunki między szkołą powszechną a dworem były na ogół złe. Nominacja mi-

nistra Świętosławskiego kładzie kres politycznym czystkom w szkolnictwie wszelkich stopni. Akcja przeciwko Związkowi Nauczycielstwa Polskiego, nominacja ONR'owskiego komisarza (Musioła) była dziełem OZON'u, przy pomocy departamentu Bezpieczeństwa M. S. Wewnętrznych.

Charakterystyczny dla sytuacji w Polsce w czasie trzynastolecia 1926-1939 był fakt złych stosunków między obozem rządowym a hierarchią kościelną. Te złe stosunki doszły do największego napięcia znowuż w okresie „pułkownikowskim”. Nie wynikały one bynajmniej z jakiejś potrzeby politycznej. Wprost przeciwnie — mogło się wydawać, że ówczesni rządcy Polski będą szukać oparcia w kościele. Jeśli było inaczej, to należy to przypisać owej tendencji do pomiatania społeczeństwem i polityką, która charakteryzowała w szczególności politykę wyznaniową Jędrzejewiczów. Duży wpływ na niechętny do rządu stosunek znacznej części kleru miało stanowisko kardynała Kakowskiego i podległego mu aparatu Akcji Katolickiej. Watykan szedł po linii koncesji dla postulatów prestiżowych reżymu (nuncjatura w randze ambasady, przywilej wręczania kapeluszy kardynalskich przez Prezydenta Rzeczypospolitej), przy jednoczesnej wyraźnej niewierze w trwałość państwa polskiego, widocznej w szczególności w zagadnieniach mniejszościowych (sprawa obśady biskupstw unickich, poparcie metropolity Szeptyckiego, idące aż do projektu kapelusza kardynalskiego dla niego, czemu sprzeciwiał się rząd polski, wydawanie przez jezuitów pisma katolickiego w języku białoruskim „Złuczenie” o wątpliwym stosunku do Polski).

W sensie dodatnim dla Polski wpływał wyjątkowo jej przychylny papież Pius XI (1). Papież ten jednak na tle swej surowości i demokratyczności był bardzo niepopularny przez całą „kamarę rzymską”. Jego nieprzejednany wobec hitlerizmu stosunek, rozciągnięty po zawarciu przymierza „stalowej osi” i na faszyzm, czynił zeń obiekt mniej lub więcej ukrytych ataków. W pewnym okresie na terenie Watykanu wpływy włosko-niemiecko-francuskie (tak!) między innymi w „Pro Russia” szły po linii „Paktu Czterech” wrogiego wobec Polski.

W aparacie Ministerstwa Spraw Zagranicznych, w pierwszym okresie pomajowym wprowadzono stosunkowo niewielkie zmiany. Zostali na stanowisku nawet ci przedstawiciele Polski

(*) Paryska „Revue des Deux Mondes” przyniosła niedawno wspomnienia przedstawiciela Francji przy Watykanie w okresie 1914-1919, Loiseau. Wynika z nich, iż w okresie, gdy wyraźne było już, iż monarchia austro-węgierska nie przeżyje wojny, Monsignor Ratti, bibliotekarz watykański, któremu Benedykt XV powierzał różne misje dyplomatyczne, chciał zgrupować na wschodzie Europy szereg państw katolickich pod przewodnictwem Polski. Był on więc jednym z prekursorów myśli o „Międzymorzu”. W sensie przeciwnym działał zawsze proniemiecki Mgr. Pacelli, dzisiejszy Pius XII. Z pamiętników Loiseau wynika, że dyplomacja francuska również nie była zbyt entuzjastycznie nastawiona do większej roli Polski.

zagranicą, którzy w maju 1926 roku informowali prasę o „zwycięstwie wojsk rządowych nad buntownikami” (poseł, później ambasador Chłapowski). Doszło szybko do znacznej stabilizacji aparatu, przez usunięcie wpływów partyjno-politycznych. Jest to okres, gdy kierownikiem ministerstwa, a później ministrem był August Zaleski, a wiceministrem Roman Knoll.

Nominacja Józefa Becka na stanowisko wiceministra, a następnie ministra, oraz objęcie biura personalnego przez Tomira Drymmera rozpoczyna drugi okres dużych zmian personalnych. Zmiany te Knoll scharakteryzował jako „najazd bandytów na przytułek dla idiotów”. Te lapidarne określenie wymaga bliższego omówienia: W kleconym w pośpiechu aparacie służby zagranicznej ślady różnych improwizacji były szczególnie widoczne. W braku odpowiedzialnych kandydatów ściągano do służby zagranicznej szereg zupełnie nieprawdopodobnych ludzi, którzy mieli może pewne kwalifikacje jeśli chodzi o znajomość języków, ale niewiele innych. Byli to ludzie na ogół bardzo czuli na stronę reprezentacyjno-towarzystką pracy w dyplomacji, nie posiadali natomiast żadnej techniki pracy, ani znajomości problemów międzynarodowych. Stąd określenie Knolla — „idioci”. Cechą dyplomacji polskiej z tego pierwszego okresu jej niepodległego istnienia jest bałwochwalczy stosunek do zagranicy i do stosunków z dyplomacją innych państw, Francji przede wszystkim.

Już w pierwszym okresie pomajowym przeprowadzone zostało podniesienie znaczenia Polski w koncercie międzynarodowym, dzięki jej wzmocnieniu, stabilizacji politycznej i dobrej sytuacji gospodarczej. Wyraziło się to między innymi w przemianowaniu na Ambasady szeregu Poselstw w Warszawie i równoczesnym „podwyższeniu” rangi poselstw polskich w kilku stolicach.

Akcja min. Becka i jego szefa biura personalnego Drymmera poszła w kierunku zupełnej przebudowy od dołu aparatu służby zagranicznej. Od nowoprzyjętych wymagano przede wszystkim całkowitej „dyspozycyjności” wobec obozu rządowego, zrozumienia „mocarstwowej” roli Polski i umiejętnego stosowania owego mocarstwowego tonu wobec cudzoziemców. Ściągano nieraz kandydatów, nie znających języków, ani stosunków zagranicą, których cechą była buńczuczność zachowania się i gromka pewność siebie w słowie i geście. Stąd „bandyci”.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż w miarę lat poziom aparatu służby zagranicznej bardzo się podniósł. Wynikało to z faktu, że urzędnicy placówek byli dobrze płatni, a wskutek tego praca w M.S.Z. przyciągała szereg absolwentów wyższych szkół polskich, które jak wiadomo rzuciły na rynek co roku coraz większą ilość i na ogół coraz lepiej przygotowanych młodych ludzi. Drymmer starał się nawet o wprowadzenie elementu społecznego, do wymagań stawianych kandydatom. Chodziło mianowicie o wciągnięcie do pracy dla Polski emigracji polskiej w różnych krajach. Był to teren działania Związku Polaków Zagranicą.

Cechą charakterystyczną pracy w M.S.Z. była wielka rozpiętość płac w Centrali i na placówkach. Wszyscy urzędnicy marzyli o dostaniu się na placówki. Stąd przesadne gorliwości w „dyspozycyjności” i uniżoność wobec ministra i szefa personalnego. Dystans między ministrem, a współpracownikami w żadnym ministerstwie nie był tak duży, jak w M.S.Z. Minister Spraw Zagranicznych miał bez porównania największy fundusz dyspozycyjny ze wszystkich członków rządu (8 milionów złotych, w ostatnich latach). Fundusz ten był jeszcze zwiększony przez to, że niektórzy urzędnicy, formalnie na etacie M.S.Z. u byli opłacani przez Sztab Główny (II Oddział).

Szereg wyższych urzędników M.S.Z. u nie widywało prawie nigdy ministra. Na konferencjach międzyministerialnych zjawiali się oni bez ostatecznych instrukcji i wskutek tego bali się zająć stanowisko. Przyczyniło się to do dziwnego stanu rzeczy: ogromnie przekonani o swej „mocarstwowości” byli w rzeczywistości otoczeni rodzajem aureoli śmieszności, nie tylko w oczach znacznej części społeczeństwa, ale nawet kolegów z innych resortów ministerialnych. Oddanie jakiejś sprawy w ręce M.S.Z. u traktowane było w pewnym sensie jako jej „utopienie” na długo. I tak na przykład, gdy kontrola nad pracą radców handlowych i nominacja ich przeszła z resortu ministra Przemysłu i Handlu do ministra Spraw Zagranicznych — uważano to za przeszkodę w dobrym działaniu aparatu handlu zagranicznego.

U szczytów M.S.Z. zdawano sobie sprawę z niepopularności i „wspaniałego odosobnienia” służby dyplomatycznej. Ale w myśl zasady „nie chcemy już od was uznania” nie robiono wielkich wysiłków, by ten stan rzeczy zmienić.

Dziwnym zbiegiem okoliczności o ile bardzo rozpowszechnione były wątpliwości co do służby zagranicznej, o tyle na ogół wierzono w siłę i dobry stan armii. Złożyło się na to wiele czynników. A więc przede wszystkim rodzaj „wishful thinking”: pierwsze pokolenie Polski, która odzyskała niepodległość, nie zapomniało nauki z okresu upadku państwa w wieku XVIII. Pamiętano o skutkach słabości Polski z okresu, gdy „stała nierządem”. W sile armii widziano gwarancję niepodległości. Chciano wierzyć i wierzono, że armia jest dobra.

Dalszym czynnikiem, działającym w kierunku wiary w armię była legenda Marszałka Piłsudskiego. Wiedzano, że armia jest jego „oczkiem w głowie”. Przypuszczano, iż w tym zakresie rezultaty owej inwazji wojskowej na aparat państwowy powinny być dobre. Wreszcie wiedzano, że wojsko drogo kosztuje. Ale nie narzekano na ogół na to właśnie bo wierzono, iż tak powinno być.

W przeciwieństwie do administracji cywilnej, gdzie okres „czystek” w ministerstwach rozpoczął się w drugim, to jest „pułkownikowskim” okresie trzynastolecia — w wojsku zmiany personalne zaczęły się od razu po przewrocie majowym. Jeśli nawet w stosunku do szeregu wyższych oficerów, którzy walczyli

po „tamtej stronie mostu” nie wyciągnięto daleko idących konsekwencji (gen. Anders np. pozostał cały czas w służbie czynnej), to jednak polityka personalna w wojsku poszła po linii całkowitego przekształcenia go na aparat dyspozycyjny Marsz. Piłsudskiego.

W pracach administracji państwowej istniał wyraźnie ustalony i niekwestionowany prymat obrony państwa. Nawet po śmierci Marsz. Piłsudskiego budżet MSWojsk. przechodził na radzie ministrów bez dyskusji i bez bliższych wyjaśnień. Budżet ten wynosił trzecią część wszystkich wydatków państwowych. Przy tym minister Spraw Wojskowych miał prawo dokonywania przesunięć poszczególnych pozycji, w granicach przyznaných mu sum. Czyniło to z budżetu MSWojsk. olbrzymią masę zupełnie dowolnie administrowanych pieniędzy.

Podobnie jak aparat MSZ'u — wojsko pozostawało w pewnego rodzaju izolacji od reszty służby państwowej. Tylko, o ile z MSZ'owców śmiano się na konferencjach międzyministerialnych — o tyle zające jakiegoś stanowiska przez przedstawiciela wojska, w imieniu potrzeb obronnych państwa — przesądzało sprawę. Dyskusja była możliwa tylko wtedy, gdy przedstawiciele poszczególnych organów wojska zajmowali różne stanowiska. Wówczas jedynie budziły się wątpliwości, czy aby przedstawiciele armii tak na pewno i dobrze wiedzą, co jest konieczne dla obrony państwa. By zacytować przykład: Polska wywoziła dyktę, która jednak w pewnym zakresie potrzebna była dla obrony państwa (w szczególności do produkcji samolotów, przy ówczesnym stanie techniki). Na specjalną komisję dla zbadania sytuacji przemysłu dyktowego przyszło trzech przedstawicieli wojska: administracji armii (MSWojsk), departamentu lotnictwa (z tegoż MSWojsk) i Sztabu Głównego. Każdy z nich przedstawiał inaczej potrzeby obronne państwa, jeśli chodzi o zaopatrzenie w dyktę. Cyfry różniły się w skali 1 do 8.

Przed paru laty pojawiły się w prasie emigracyjnej echa znanej sprawy wywozu działek przeciwlotniczych z Polski w przededniu wojny, gdy jak wiadomo obrona przeciwlotnicza w kraju była bardzo słaba. Ze strony czynników wojskowych twierdzono, że wywóz ten nastąpił wskutek nacisku ministra Skarbu, ze względu na brak dewiz.

Jest to zupełnie nonsens. Ani żaden urzędnik, ani minister Skarbu nigdy by z podobną propozycją do władz wojskowych nie wystąpili. Rzeczywistość była odmienna: Polska miała kupiony od fabryki szwedzkiej Boforsa patent na produkcję działek przeciwlotniczych. Jednakże w Polsce nie produkowano amunicji do tych działek. Uczyniono natomiast z tą samą firmą szwedzką umowę na dostawę amunicji. Na krótko przez wojnę jednak Wielka Brytania zakupiła całą produkcję naboju „Boforsa” za tak wysoką cenę, że fabryce tej opłaciło się zerwać układ z Polską, płacąc karę umowną. Polska zamówiła wówczas naboje produkowane we francuskiej fabryce „Hotchkiss”. Ale pomimo, że

w zasadzie naboje te były tego samego kalibru, co armatki „Boforsa”, wyrabiane w Polsce (8,8) — do nich nie pasowały. Polska miała więc działka przeciwlotnicze, ale nie miała amunicji. Czyja i w jakim stopniu była to wina, pozostaje do ustalenia. Jedno jest pewne, że administracja cywilna nie miała w tym żadnego głosu. Natomiast ważnym czynnikiem zarówno w tej, jak i w innych sprawach jest fakt, że Generalny Inspektorat Sił Zbrojnych, przede wszystkim sam marsz. Śmigły-Rydz nie wierzył w bliskość wojny.

Polska w zakresie przygotowania do wojny uczyniła błąd odwrotny na przykład do takich Włoch. Włochy przygotowały się zbyt wcześnie do wojny. Ich największy potencjał wojenny wypadł na lata 1936 i 1937. Wskutek tego materiał ich między innymi samoloty — był przestarzały. Gdyby wojna nie wybuchła — Polska doszłaby do największego potencjału zbrojeniowego gdzieś na przełomie roku 1940 i 1941. Oczywiście w decyzji Niemiec uderzenia w tym właśnie momencie, to jest we wrześniu roku 1939, zawarta była świadomość, że ani Polska, ani zachodni jej sojusznicy do wojny przygotowani nie są.

Inna rzecz, że czynniki wojskowe, które z taką zachłannością sięgały po władzę we wszystkich jej dziedzinach, w zakresie właściwej obrony państwa wykazywały bardzo poważne luki. Dla przykładu: na kilkanaście miesięcy przed wojną z całą powagą na najwyższych szczeblach dyskutowano był problem, czy produkować lance ułańskie, czy też żelazo przeznaczone na tę produkcję skierować do innych działów produkcji wojennej. Braki w zakresie przygotowania fachowego do wojny były bardzo duże. Przyczyniło się do tego niewątpliwie to, że pułkownicy z GISZ'u myśleli o województwach i ministerstwach, a nie o powierzonych im funkcjach wojskowych.

Ministerstwo Komunikacji, Poczty i Telegrafów, ministerstwo Robót Publicznych — dopóki istniało — były to resorty techniczne, wolne na ogół od wpływu czynników politycznych. Zmiany kierunku rządów w czasie trzynastolecia pomajowego odbijały się jedynie na najwyższych szczeblach w tych ministerstwach.

Odrębną grupę stanowiły ministerstwa gospodarcze i ministerstwo Opieki Społecznej.

Jak wiadomo marsz. Piłsudski na zagadnieniach gospodarczych się nie znał i nimi się nie interesował. Jest rzeczą dziwną ten brak zainteresowania u kogoś, kto przez szereg lat był jednym z przywódców PPS'u — partii, powołującej się na Marksa. Niewątpliwie z teoretycznym przygotowaniem marksistowskim w owej epoce PPS'u nie musiało być silnie. Faktem jest, że stosunek marsz. Piłsudskiego do spraw gospodarczych ograniczał się na ogół do troski, by „nie kradli”.

W dziedzinie gospodarczej więc, w większym niż gdzie indziej stopniu „tłumacze Pisma Świętego” mieli pozostawioną sobie wolną rękę.

Na strukturę ministerstw gospodarczych szczególnie silnie wpłynął pierwszy okres po przewrocie majowym to jest lata 1926-1930. Ściągnięto wtedy z różnych stron specjalistów, nie bardzo pytając o ich przeszłość, ale nawet o przekonania polityczne — byle umieli pracować. To w tych właśnie ministerstwach na niższych szczeblach pojawiło się szczególnie licznie pierwsze pokolenie absolwentów wyższych uczelni polskich.

Ministerstwa gospodarcze to: Ministerstwo Skarbu, Ministerstwo Przemysłu i Handlu, oraz Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych z ich „przybudówkami” i podległymi im urzędami. Nie będąc w ścisłym tego słowa znaczeniu ministerstwem gospodarczym — ministerstwo Opieki Społecznej było blisko związane zakresem pracy z ministerstwami gospodarczymi.

W obozie rządzącym Polską w latach 1926-1939 specjalistów od spraw gospodarczych było mało. Z wojskowych odkomenderowanych do tych spraw po roku 1930 byli nieliczni, którzy nauczyli się dużo (Matuszewski). Byli tacy, którzy nauczyli się trochę. Byli wreszcie tacy, którzy nie nauczyli się, ani nie zrozumieli niczego.

Szereg dziwnych nominacji na stanowiska ministrów, czy wiceministrów spraw gospodarczych w latach 1930-1935 doprowadził do tego, że ciężar prac i decyzji spadł na podległych im urzędników. Ministrowie, nie znający problemów, nie rozumiejący o co chodzi, opierali się o dostarczone im przez ich współpracowników materiały i prace.

Jak już zostało zaznaczone wyżej: urzędnicy ministerstw tych byli fachowcami często nie do zastąpienia. Byli stosunkowo niezależni od nacisków politycznych. Stali, jak na warunki polskie na ogół na dość wysokim poziomie przygotowania w zakresie swej specjalności. Wpływ ich na bieg życia gospodarczego był duży, w niektórych dziedzinach — bardzo duży. Przy niefachowych ministrach wiele najważniejszych decyzji było rezultatem inicjatyw dyrektorów departamentu, naczelników wydziału, czy nawet radców i referentów.

Zdawano sobie z tego na ogół sprawę, a przede wszystkim — wiedzieli o tym sami zainteresowani urzędnicy. Wzmagало to ich poczucie odpowiedzialności, a także i zainteresowania dla pracy. O ile na przykład kierownik referatu w MSZ swojego ministra nie widział prawie nigdy, a w pracy swej miał bardzo tylko mały zakres dla inicjatywy, o tyle kierownik referatu w ministerstwach Przemysłu i Handlu, Rolnictwa, czy Skarbu przedstawiał często wchodzące w zakres jego kompetencji sprawy bezpośrednio ministrowi, a ponieważ miał tę wyższość, że się na nich znał — więc mógł przesądzić o zajęciu stanowiska.

Na tym tle na szczególną uwagę zasługuje rola grona urzędników w ministerstwach gospodarczych, która wiosną roku 1931, a więc dwadzieścia pięć lat temu zorganizowała spółdzielnię wydawniczą celem publikacji dwutygodnika, poświęconego zagad-

nieniom polityki gospodarczej, pod tytułem „Gospodarka Narodowa”.

III. — PISMO I KLUB „GOSPODARKA NARODOWA”

Jeśliby próbować w jednym zdaniu odtworzyć genezę „Gospodarki Narodowej”, to prawdopodobnie najściślejże byłoby określenie, że powstała ona dla wymiany i kontroli poglądów grupy młodych ekonomistów, którzy wszyscy prawie pracowali w różnych działach administracji gospodarczej państwa.

Celem „Gospodarki Narodowej” było szukanie dróg.

By zrozumieć sytuację: pewna ilość młodych ludzi znalazła się na odpowiedzialnych stanowiskach państwowych z tym, że w całym szeregu wypadków mieli oni do wykonania zadania pionierskie. Mieli oni teoretyczne przygotowanie do pracy. Poznali także zagadnienia, które im powierzono do rozwiązania. Ale brakło im szerszej perspektywy, którą normalnie mogliby otrzymać od swego kierownictwa, gdyby było ono na poziomie. Otóż kierownictwo to nie było na ogół na poziomie — przeciwnie oczekiwało gotowych wniosków.

Ci młodzi urzędnicy stykali się na konferencjach międzyministerialnych, czy na zebraniach dyskusyjnych w Instytucie Spraw Społecznych lub w Towarzystwie Ekonomistów i omawiali między sobą interesujące ich sprawy. Lecz konferencje były krótkie, ograniczone do jakiegoś konkretnego zagadnienia. W Instytucie Spraw Społecznych zebrania były sporadyczne, bez określonego, bardziej długofalowego programu. W Towarzystwie Ekonomistów na odczyty i zebrania dyskusyjne przychodziło bardzo wielu ludzi różnego wieku i różnego przygotowania: nieraz pół wieczoru schodziło na tym, że jakiś starszy pan opowiadał co przed laty trzydziestu robił nieboszczyk Witte, a inny znów o ekscelencji Bilińskim — co nie było w żadnym związku z właściwym tematem dyskusji.

Z pism gospodarczych „Ekonomista” miał charakter kwartalnika teoretycznego. „Polską Gospodarczą” był to tygodnik pół-oficjalny, zawierający szereg materiałów statystycznych i artykuły informacyjne. Pisma codzienne prowadziły swoje rubryki gospodarcze, lecz traktowane powierzchownie, zgodnie z zainteresowaniami szerokiego grona czytelników gazet. Poza tym pisma codzienne miały fizjognomię polityczną, która nie zachęcała do pisania tych, którzy nie podzielali poglądów danego pisma — i to niezależnie od tego, czy chodziło o gazety pro- czy anty-rządowe.

Potrzeba było „wolnej trybuny”. Czasopisma poświęconego polityce gospodarczej, ale w sensie dyskusyjnym, krytycznym. Tę lukę, ten brak miała wypełnić i wypełniła „Gospodarka Narodowa”.

Celem wydawania pisma zawiązana została spółdzielnia wydawnicza z ograniczoną odpowiedzialnością. Członkowie tej spół-

dzielni wpłacali każdy po 25 zł., a zobowiązywali się w razie potrzeby do wpłaty kwoty trzykrotnie wyższej. Nigdy jednak potrzeba ta nie zaszła. Członków spółdzielni było około 50-60. Członków czynnych, to jest takich, którzy przychodzili na zebrania klubu „Gospodarki Narodowej” i pisywali do pisma było około 30-40.

Przygotowania techniczne trwały między marcem a majem roku 1931. Pierwszy numer „Gospodarki Narodowej” ukazał się w maju tegoż samego roku.

„Gospodarka Narodowa” powstała jako dwutygodnik. Za wzór służył jej w pewnym stopniu londyński „Economist”. Pismo zawierało rodzaj artykułu wstępnego, pisanego przez jednego z członków Komitetu Redakcyjnego i dyskutowanego na jego zebraniu w najmniejszych szczegółach. Był to artykuł niepodpisany, wyraz poglądów tegoż właśnie komitetu. Następnie szły 2, 3, 4, zależnie od długości, artykuły podpisane, omawiające jakieś szersze zagadnienia. Później podpisane inicjałami krótkie uwagi, poświęcone już tylko jakiemuś ograniczonemu problemowi. Wreszcie (także podpisane inicjałami) notatki, często złośliwe, lub humorystyczne, oświetlające drobne szczegóły bieżących spraw.

Projektowana początkowo rubryka wydawnictw nie została wprowadzona. Ważniejsze wydawnictwa omawiane były w artykułach, uwagach, czy notatkach.

Praca członków komitetu redakcyjnego była bezpłatna. Honoraria autorskie, bardzo zresztą skromne zaczęły być płacone dopiero po kilku miesiącach istnienia pisma, gdy się przekonano, że ma ono podstawy istnienia dzięki dostatecznej liczbie prenumeratorów.

„Gospodarka Narodowa” nabrała najpierw znaczenia jako pismo. Związany z pismem tym klub dyskusyjny rozwinął swą działalność dopiero później.

Całokształt każdego numeru był omawiany na zebraniach Komitetu Redakcyjnego, który kwalifikował nadesłany materiał i dyskutował porządek i charakter części przeznaczony do druku. Zresztą przez pierwsze parę lat członkowie Komitetu Redakcyjnego wypełniali piórami swymi większą część numeru.

Komitet Redakcyjny składał się z pięciu osób: Czesław Bobrowski, redaktor, Aleksander Ivanka, Tadeusz Lychowski, Józef Poniatowski, Kazimierz Sokołowski.

Po kilku tygodniach istnienia pisma Czesław Bobrowski wyjechał na roczny przeszło pobyt zagranicą (jako dyrektor „Sowpoltorgu” do Moskwy). Miejsce jego w Komitecie Redakcyjnym zajął świeżo przybyły do Warszawy Bohdan Łączkowski a funkcje redaktorskie objął Kazimierz Sokołowski.

Pracą i wysiłkiem tych kilku ludzi „Gospodarka Narodowa” nie tylko ustaliła swój byt jako pismo, lecz zyskała poważny wpływ na opinię publiczną w zakresie spraw gospodarczych. Zgodnie ze swoim zasadniczym celem — szukania dróg

— „Gospodarka Narodowa” redagowana była jako „wolna trybuna”. Dopuszczana była bardzo duża rozpiętość zdań. Często zdarzało się, że w tym samym numerze ukazywały się dwa polemizujące ze sobą artykuły. Z tego tytułu stawiono „Gospodarce” zarzut, że nie wiadomo czego chce. Odpowiedź na te zarzuty była zawsze ta sama: zadaniem pisma nie jest propagowanie z góry ustalonych haseł, a wprost przeciwnie — przedstawienie problemu ze wszystkich możliwie stron, tak by przez pogłębioną analizę doprowadzić do najsluszniejszych decyzji tych, którzy mieli ją powziąć. O przyjmowaniu artykułów decydował przede wszystkim ich poziom.

„Gospodarka” była pismem apolitycznym. Wśród członków klubu i pisujących do pisma istniał bardzo duży wachlarz poglądów od socjalistów (Władysław Diamand), do endeków (Józef Wejtko, Tadeusz Marchwiński), poprzez wszelkie odcienie stosunku do obozu rządowego.

Jedną z pierwszych trosk „Gospodarki” była walka z próbami naklejania jej etykiety. Dlatego przez dłuższy czas unikano umieszczania artykułów osobistości znanych na firmamencie polityczno-gospodarczym. I tak na przykład gdy po kilku tygodniach istnienia pisma ówczesny wiceminister Skarbu, Stefan Starzyński, chciał umieścić artykuł swój w „Gospodarce Narodowej”, jeden z członków Komitetu Redakcyjnego otrzymał delikatną misję zniechęcenia go do tego, a to w obawie, że ukazanie się na łamach „Gospodarki” takiego artykułu przesądziłoby na długo o naklejeniu na pismo etykiety „pismo zbliżone do Stefana Starzyńskiego”.

Znacznie później dopiero, gdy pismo było znane i miało ustaloną markę, gdy działał w pełni klub „Gospodarki Narodowej”, zaczęto zapraszać do zabrania głosu, czy to na łamach pisma czy w ciągu zebrania dyskusyjnego, znanych działaczy polityczno-gospodarczych, jak profesorowie Henryk Tennenbaum i Edward Lipiński, czy były minister Matuszewski.

Jedną z „etykietek” z którą pismo walczyło od początku była nazwa „pismo młodych urzędników państwowych”. W nazwie tej zawarta była prawda, jeśli chodzi o stan faktyczny, co do pracy zawodowej większości współpracowników „Gospodarki”. Nie była to natomiast prawda, gdy wziąć pod uwagę charakter pisma i swobodę z jaką poruszano szereg spraw. Dla uniknięcia możliwych nieporozumień, wynikających z pomieszania funkcji urzędowych i swobodnie wyrażanych opinii w „Gospodarce”, większość współpracowników pisma pisywało pod pseudonimem, czy nawet paroma pseudonimami. I tak na przykład z częściej używanych pseudonimów: Czesław Bobrowski - Tomasz Kornicz, Bohdan Łączkowski - Wiktor Dębowiecki, Kazimierz Sokołowski - Kazimierz Brodnicki itd. Pisywali oczywiście także i pod swoimi nazwiskami, zwłaszcza gdy chodziło o bardziej „zasadnicze” wystąpienia.

O zwyczaju tych pseudonimów wiedziano. Stąd wynikały

czasem zabawne nieporozumienia : jeden z członków „Gospodarki”, rzadko pisujący miał mało rozpowszechnione nazwisko. Nazywał się Patrycy Dziurzyński. Gdy zjawił się kiedyś na zebraniu klubu wywołało to wielkie zdziwienie, gdyż przypuszczano, iż to jeszcze jeden pseudonim któregoś z członków Komitetu Redakcyjnego.

Na jesieni roku 1932 powrócił do Warszawy Czesław Bobrowski. Z Komitetu Redakcyjnego wystąpił wówczas Ivanka, a miejsce jego zajął Bobrowski, który przejął też redaktorstwo pisma.

Od roku 1933 pismo podpisywał rozszerzony dziesięcioosobowy Komitet Redakcyjny, który jednak zbierał się bardzo rzadko. Redakcja pisma pozostawała w dalszym ciągu w rękach pięcioosobowego tak zwanego „Komitetu Ścisłego”. Ten „Komitet Ścisły” stanowili : Bobrowski, Łączkowski, Lychowski, Poniatowski, Sokołowski, a „Komitet Rozszerzony” oprócz wyżej wymienionych pięciu członków „Komitetu Ścisłego” : Henryk Greniewski, Aleksander Ivanka, Wacław Jastrzębowski, Michał Kaczorowski, Zygmunt Szempliński.

Od roku 1933 rozpoczyna się również okres szczególnie ożywianej działalności klubu dyskusyjnego „Gospodarki Narodowej”. Zebrania odbywały się co tydzień, lub co dwa tygodnie — zależnie od okresów. Jeden z członków klubu, lub zaproszony gość wygłaszał rodzaj krótkiego referatu, w charakterze zagajenia dyskusji. Później miała miejsce dyskusja. Była to wolna wymiana zdań, gdyż klub, tak jak i pismo był „Wolną Trybuną”, jednoczącą ludzi o zupełnie różnych nieraz poglądach. Czasem waga niektórych spraw doprowadzała do wielozebraniowych „tasiemcowych” dyskusji, nie tylko z zaproszonymi gośćmi, ale częściej jeszcze — między członkami Klubu. I tak na przykład sprawa kierunku polityki finansowej państwa to jest „deflacji”, czy „nakręcania koniunktury” była tematem bardzo długiej dyskusji, w której głównymi oponentami byli Józef Poniatowski i Kazimierz Studentowicz — obydwaj członkowie Klubu i bardzo często pisujący do „Gospodarki”.

Przewodniczącym klubu „Gospodarki Narodowej” był Michał Kaczorowski.

Do Klubu „Gospodarki” ściągano wszystkich tych, którzy doń pasowali z tytułu zakresu pracy, zainteresowań i poziomu. A także — wieku. Poza paroma wyjątkami, członkowie „Gospodarki” rekrutowali się z ludzi urodzonych w pierwszym dziesięcioleciu wieku XX-go, a więc wówczas, gdy zebrania się odbywały : młodych, albo bardzo młodych.

Z tytułu pewnego rodzaju przypadkowości w doborze ludzi nie wszystkie działy życia gospodarczego i polityki gospodarczej były jednakowo silnie reprezentowane. W niektórych zakresach „Gospodarka” była silniejsza w innych mniej „silna”. Tak samo w niektórych sprawach istniała większa, w innych mniejsza rozpiętość poglądów.

Duża zgodność poglądów na sprawy polityki rolnej, oraz na zagadnienia ubezpieczeń społecznych doprowadziła do ukazania się dwóch numerów specjalnych „Gospodarki” w roku 1933.

Jeden z nich, pod redakcją Łączkowskiego, a przy udziale Poniatowskiego i Krzyczkowskiego poświęcony był sprawom rolnym i reformy rolnej. Drugi pod redakcją Bobrowskiego, a przy udziale Szemplińskiego i Greniewskiego — sprawom ubezpieczeń społecznych.

Te dwa numery były charakterystyczne przez to, że odwrotnie do tendencji „Gospodarki” : zachowania charakteru „Wolnej Trybuny” były „kierunkowe” i wypowiadały się w spornych wówczas zagadnieniach : za reformą rolną, za utrzymaniem i rozszerzeniem ubezpieczeń społecznych. Numer rolno w wstępnym artykule Łączkowskiego pt. „Wielki Niemowa” poruszał nawet już zupełnie polityczną sprawę dopuszczenia chłopów do udziału w odpowiedzialności za losy państwa.

Tutaj należy poruszyć jedno zagadnienie : czemu się to działo, że przy istniejących rządach „twardej ręki” „Gospodarka” miała stosunkowo dużą swobodę pisania bez ściągnięcia na siebie prześladowań.

Otóż przede wszystkim twardość ówczesnych rządów, jak zawsze zresztą w Polsce łagodzona była przez swojski bałagan. Poza tym Polska, pomimo policyjnego charakteru dyktatury, nie była państwem totalistycznym, a BBWR nie była monopartią. Charakter monopartii miał mieć dopiero, zgodnie z zaleceniami różnych Biur Planowania — OZON. BBWR był zlepkiem różnych tendencji, nieraz tego kłócących się między sobą. Dla policii, dla normalnej cenzury „Gospodarka” była czymś umieszczonym zbyt wysoko : wiadomo było, że w skład jej wchodzi wyżsi urzędnicy. Jeśli chodzi o poszczególnych ministrów to po prostu często bali się zaczepiać „Gospodarkę”. Wiedzieli, że w skład jej wchodzi szereg najpotrzebniejszych im, najlepszych fachowców. Poza tym wiedzieli, że „Gospodarka” istnieje także w innych ministerstwach, gdzie koledzy ich z ławy rządowej nie zawsze byli im najzyczliwsi. Wszczęcie wojny z „Gospodarką” mogło danego ministra ośmieszyć i narazić na skutki odwrotne od oczekiwanych, zwłaszcza iż większość z kolejnych ministrów zdawała sobie sprawę, że nie ma właściwie żadnej przyczyny dlaczego on, a nie kto inny ma pozostawać u steru danego resortu.

Jeśli chodzi o aparat bezpieczeństwa na wyższym szczeblu : wiedziano, że „Gospodarka” jest zespołem dyskusyjnym, a nie żadną grupą, dążącą do zagarnięcia władzy. Toteż traktowano wypowiedzi jej nie jako przejaw opozycji, a czegoś co zgodnie z obecną terminologią w państwach demokracji ludowej można by nazwać : samokrytyką. W tych warunkach, by wykończyć „Gospodarkę” trzeba byłoby uchwały rządu jako całości, a nie niezadowolenia tego, czy innego ministra, czy nawet — jak się

zdarzało — premiera. Otóż „Gospodarka” nie była znowuż do tego stopnia groźna. Jeżeli po jakimś numerze któryś minister był niezadowolony, to po innym cieszył się, że jego koledze się dostało. Zresztą ataki na rząd, czy poszczególnych jego członków nie były bynajmniej zadaniem „Gospodarki”. Jeśli miały miejsce, to na tle krytyki zarządzeń, zawsze z uzasadnieniem fachowym wyrażanego poglądu i przy starannym unikaniu wszelkich akcentów personalnych.

W ten sposób, dzięki całemu szeregowi okoliczności „Gospodarka” przechodziła przez oka różnych sieci, które w innych warunkach nad nią by się zwały. Przyczyniło się to z czasem do wytworzenia pewnego rodzaju legendy na temat „Gospodarki Narodowej”. Uważano ją za tak potężną „sitwę”, czy „mafie”, która na bardzo wiele sobie może pozwolić i ciągnie wiele nici w sprawach polityki gospodarczej.

Otóż — było tak i nie było tak.

Grupa „Gospodarki Narodowej” nigdy nie była sitwą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Był to zespół ludzi o podobnych zainteresowaniach, dyskutujący na ich temat, którego członkowie bardzo często prawie się nie znali jeśli chodzi o ich życie prywatne. Nie była to „mafia”, gdyż nie dążyli oni do zagarnięcia władzy ani nawet do jakiegoś obsadzenia planowego swoimi ludźmi różnych stanowisk. Istniały oczywiście pomiędzy poszczególnymi członkami „Gospodarki” bliższe przyjaźnie. Istniały wypadki solidarności „Gospodarki” na przykład z reguły, gdy któryś z jej członków miał coś „oberwać” za „Gospodarkę”, albo i w innych wypadkach. Tak na przykład gdy wskutek konfliktu z min. Floyar-Reichmanem, ówczesny naczelnik wydziału polityki handlowej, Łychowski, otrzymał dymisję — solidarność „Gospodarki” zagrała na całego, by przy następnej zmianie rządu powrócił na zajmowane uprzednio stanowisko.

Jeśli chodzi o wpływ na szereg zarządzeń gospodarczych, to rzeczywiście istniał. Znowuż jednak: niejednolity w różnych działach i nie według jakiegoś z góry ustalonego planu, a zależny od tego, gdzie, w jakim stopniu „Gospodarka” była reprezentowana. Członkowie „Gospodarki” awansowali i w końcowym istnieniu pisma i klubu w charakterze „Wolnej Trybuny” to jest na przełomie lat 1935-1936 — „Gospodarka” liczyła: pięciu dyrektorów departamentu (Bobrowski, Geppert, Krzyczkowski, Łączkowski, Poniatowski), kilkunastu naczelników wydziału (w tym: Kaczorowski, Ivanka, Łychowski, Sokołowski, Rudziński, Gryziewicz, Pilch, Jastrzębowski, Greniewski), parudziesięciu radców ministerialnych i kierowników referatu. Wśród członków „Gospodarki” znajdowali się poza tym przedstawiciele samorządu gospodarczego (Józef Jakubowski, Marchwiński, Łopiński), organizacji zawodowych przemysłu (Witold Czerwiński, Tadeusz Zamojski), wreszcie — „prywatni” przemysłowcy, lub handlowcy (Stefan Meyer, Władysław Diamand). Szczególnie silnie była zawsze reprezentowana „Gospodarka” w zakresie

spraw rolnych. Oprócz pierwotnej grupy (Poniatowski, Łączkowski, Krzyczkowski, później Bobrowski) doszła młodsza ekipa znakomitych specjalistów w zakresie gospodarki rolnej (Stanisław Gryziewicz, Edward Iwazskiewicz, Jacek Rudziński, Stanisław Skwarczyński).

Alé od bezpośredniego wpływu, to jest w zakresie funkcji urzędowych tego, czy innego członka „Gospodarki”, ważniejszym był ów wpływ, który „Gospodarka” wywierała przez swoje artykuły, uwagi i notatki (a także przez wyrobienie osiągnięte na licznych zebraniach dyskusyjnych) na całokształt administracji gospodarczej i życia gospodarczego państwa. Wpływ ten jest oczywiście trudno wymierzalny. Można tylko tytułem przykładu przytoczyć parę dziedzin.

I tak np. bardzo długo dzięki rozmaitym wydawnictwom pseudo-patriotycznym istniało przekonanie, że Polska jest krajem bogatym, tylko chodzi o dobre zagospodarowanie go itd. Jedną z zasług „Gospodarki” było przeciwstawienie temu pogładowi tezy, że Polska bynajmniej nie jest krajem bogatym, że jej podstawy surowcowe i gleby są raczej ubogie (chodzi oczywiście o Polskę w granicach sprzed roku 1939) i że głównym bogactwem Polski jest — praca.

Książka Józefa Poniatowskiego o „Przeludnieniu Wsi” była jednym z najważniejszych wydawnictw w Polsce między dwoma wojnami. Wskazywała ona i uzasadniała cyframi istnienie największej bolączki struktury gospodarczej Polski. Tezy książki tej były wielokrotnie wykorzystywane przez „Gospodarkę”.

Postawienie na czele hierarchii celów potrzeby uprzemysłowienia kraju było dalszym punktem, wybijanym przez „Gospodarkę”. Następnie właściwy stosunek do polityki rolnej, że na przykład Polska, poza jęczmieniem browarnianym nie powinna być krajem eksportującym zboże (znowuż teza Józefa Poniatowskiego), że nacisk powinien być kładziony na produkcję hodowlaną, a nie produkcję zbożową itd.

Na tle sprawy uprzemysłowienia: walka z niektórymi formami super-protekcjonizmu (artykuł Łączkowskiego pt. „Czosek”, wyśmiewający motywację nowej taryfy celnej). Krytyka działalności szeregu przedsiębiorstw państwowych, między innymi Państwowych Zakładów Przemysłowo-Zbożowych, pozostających pod kierownictwem wszechpotężnego wówczas Wiktora Przedpełskiego.

Tematem szeregu artykułów i notatek, w których się specjalizował Sokołowski był stosunek biurokracji gospodarczej do „szarego człowieka”. Chodziło oczywiście o tępienie przerostów tej biurokracji.

Sprawa naśladownictwa wzorów niemieckich, przy innej zupełnie strukturze gospodarstwa była tematem artykułów Łychowskiego („Przymierze polsko-pruskie”) i Łączkowskiego („Ex Germania Lux”).

Sprawy oddłużenia, polityki skarbowej, „równania na 60”

itd. były obok zasadniczego tematu kierunku polityki gospodarczej (deflacja, czy nakręcanie koniunktury) traktowana w szeregu artykułów, między innymi Bobrowskiego, Ivanki, Poniatowskiego, Studentowicza, Meyera itd.

Przerostami biurokracji i organizacją ubezpieczeń społecznych zajmowali się Szempliński i Greniewski.

Walka z kartelami była tematem, o którym pisali wszyscy członkowie Komitetu Redakcyjnego.

Wyraźnie była też atakowana „mocarstwość” i teza wyznawana przez ówczesne kierownictwo MSZ, że można „oderwać” politykę zagraniczną od stanu ekonomicznego Polski (między innymi w sprawie tej artykuł Łączkowskiego „Nie można budować mocarstwa na pustych brzuchach”).

Szereg artykułów o stopniu interwencjonizmu i o zakresie „bezplanowej, planowej gospodarki” pióra różnych autorów, itd., itd.

Jednym z ważniejszych osiągnięć „Gospodarki” było to, że stanowiła ona rodzaj ogniwa pośredniego między naukowcami, zajmującymi się pracami teoretycznymi, a praktykami życia gospodarczego, nie rozumiejącymi często najważniejszych osiągnięć naukowych.

Głównym ośrodkiem prac teoretycznych w Polsce był Instytut Badania Koniunktur Gospodarczych i Cen, gdzie pod kierownictwem prof. Edwarda Lipińskiego pracowała grupa „ekonometryków” to jest ekonomistów, stosujących metody matematyczne do oceny zjawisk gospodarczych. Trzeba dodać, że Polska była jednym z najbardziej zaawansowanych krajów w tej dziedzinie i że na kongresach międzynarodowych była ona w pierwszej linii wraz ze Stanami Zjednoczonymi, Niemcami i Szwecją.

Grupa, pracująca pod kierownictwem prof. Lipińskiego (Landau, Kalecki, Breit, Poniatowski, Wiśniewski, Łączkowski, Zagórski, Skrzywan) osiągnęła bardzo poważne rezultaty. Michał Kalecki równoległe do Keynesa i zupełnie niezależnie od niego doszedł do matematycznego opracowania mechanizmu cyklu koniunkturalnego. Ludwik Landau, wraz z Kaleckim, dzięki niestęchanie żmudnej pracy obliczył dochód narodowy Polski. Breit opracował analizę handlu zagranicznego. Poniatowski — zużycie nawozów sztucznych, jako jeden ze wskaźników sytuacji w rolnictwie. Łączkowski ustalił sezonowe wahania podaży zbóż, tak zwany „cykl świński”, sezonowe wahania cen szeregu artykułów rolnych oraz elastyczność konsumpcji niektórych z nich. Wiśniewski zajmował się przygotowaniem i analizą wielu wskaźników statystycznych itd.

Były to wszystko prace ważne dla polityki gospodarczej, ale trzeba było je rozumieć. Na łamach „Gospodarki” znajdowały się praktyczne wnioski z osiągnięć naukowych.

Gdy w roku 1932 ustąpił z prezesury T-wa Ekonomistów były premier Władysław Grabski, a wybrany został nowy zarząd

(prof. Lipiński — prezes, Łączkowski — sekretarz generalny) członkowie „Gospodarki” przyczynili się do ożywienia i podniesienia poziomu zebrań tego towarzystwa.

Rok 1936 jest ostatnim rokiem „Gospodarki” jako „wolnej trybuny”. W roku tym część członków klubu pod przewodnictwem Bobrowskiego i Krzyczkowskiego przekształciła go na „Zespół”, o określonych celach i kierunku. Tej samej ewolucji podległo pismo. Nie oznaczało to formalnego rozłamu. Ale wiele z dawniejszych, najbardziej aktywnych członków „Gospodarki” przestało przychodzić i pisywać. „Zespół” nabrał charakteru politycznego między innymi przez zbliżenie się do ówczesnego ministra Rolnictwa i Reform Rolnych — Juliusza Poniatowskiego.

Rok 1939 — wojna — rozproszył „Gospodarkę” — od Rosji poprzez Bliski Wschód, po Londyn. Większość pozostała w kraju. O losach członków „Gospodarki” decydował przypadek.

W okresie lat 1945-1949 poszczególni członkowie „Gospodarki” odgrywali wybitną rolę w Polsce. Czesław Bobrowski, jako prezes Centralnego Urzędu Planowania był wraz z kilkoma innymi dawnymi członkami „Gospodarki” twórcą pierwszego Planu trzyletniego odbudowy Polski; Michał Kaczorowski ministrem Odbudowy; Kazimierz Sokółowski — wiceministrem Handlu; Dietrich — wiceministrem Skarbu; Jastrzębowski — dyrektorem departamentu Min. Handlu Zagranicznego; Ivanka — dyrektorem departamentu budżetowego; Łączkowski — w czasie swego krótkiego pobytu w Polsce mianowany dyrektorem biura ekonomicznego w Min. Spraw Zagranicznych. Jego miejsce zajął następnie Lychowski. Jeden z najmłodszych członków „Gospodarki” — Michałowski został ambasadorem w Londynie. A równocześnie: Kazimierz Studentowicz był do sierpnia br. w więzieniu w Polsce. Stanisław Skwarczyński zginął w Katyniu.

Józef Poniatowski był członkiem Rady Narodowej w Londynie, Gryziewicz opracował numery krajowe „Kultury”, a obecnie wykłada w Adis Ababa; szereg innych z mniej lub więcej czynnych członków „Gospodarki” jest na emigracji: Czerwiński, Zamoyski w Londynie, Jakubowski we Francji, Diamand i Meyer w Brazylii itd.

Trudno jest sądzić dzisiaj: co, jak, dlaczego. Przypadek w życiu wszystkich grał tak wielką rolę od siedemnastu lat! Lepszą perspektywę da dopiero historia.

W latach 1946-1947 mówiono o „grupie” „Gospodarki Narodowej” w Warszawie, jako o pewnego rodzaju grupie politycznej. Przyspieszenie rytmu rewolucji zepchnęło większą część ludzi dawnej „Gospodarki” z zajmowanych przez nich miejsc. Pod tym względem „Gospodarka” stała się jedną z ofiar „zimnej wojny”...

Tym niemniej nie należy niedoceniać wkładu grupy ludzi

o tak cennym przygotowaniu i doświadczeniu, do odbudowy gospodarczej zniszczonej przez wojnę Polski.

O wielu rzeczach z tego okresu trudno jest jeszcze teraz pisać, między innymi ze względu na brak danych.

A poza tym cóż jeszcze można napisać? Chyba uronić łzę nad kolejami losów grupy ludzi, którzy należą do nieszczęśliwych roczników na prawdę przygotowanych do służby Polsce. Kiedy im było dane — pracowali jak mogli. Osiągnięcia mieli niemałe. Żadnemu jednak z nich los nie pozwolił wykazać pełnej miary możliwości.

Jako grupa należą już dzisiaj do przeszłości. Stanowią jeden z elementów dziejów tego pokolenia, w które uderzyła zawierucha wojenna i jej konsekwencje w chwili, gdy praca jego dla narodu i państwa mogła być i była najbardziej wartościowa. Są to te niewymierzalne statystycznie straty Polski.

Janusz NEGRYŃSKI

**LEKARSTWA
MATERIAŁY
ŻYWNOŚĆ**
NAJSZYBCIEJ, NAJKORZYSTNIEJ, NAJTANIEJ
wyslesz przez

P. C. STORES

STEFAN BREWKA

18, Queens Gate Terrace, London S.W.7, England

Cennik nasz, dostosowany do przepisów celnych w Polsce
jest naszą najlepszą reklamą.

DO
POLSKI
i ROSJI

LEKI — ŻYWNOŚĆ — ODZIEŻ
najtaniej — najlepiej — wysyła
FREGATA (Merchants) LTD.
7, Cromwell Rd., London, S.W.7.

Kronika kulturalna

Kongres P. E. N. Club'u i jego polskie echa

Od dawna już żadne wydarzenie nie wywołało w emigracyjnym środowisku intelektualnym tyle zainteresowania, komentarzy i polemik, co odbywający się w Londynie, w dniach 8-14 lipca br., 28-my Kongres Międzynarodowej Federacji P.E.N.-Clubów. Spotkały się bowiem na nim odrębne polskie grupy pisarskie — z Ameryki, z Anglii i z kraju, co zresztą pośrednio wskazuje na pożytek tego rodzaju kongresów, często pochopnie lekceważonych przez ludzi nieobeznanych z ich wewnętrznym, intensywnym życiem, ukrytym poza zewnętrzną fasadą publicznych ceremonii i wystawnych rautów.

800 AUTORÓW

Był to największy z dotychczasowych Kongresów PEN-Club'u i zarazem największy chyba ze wszystkich zjazdów literackich, bo do Londynu przybyło blisko ośmiuset autorów, w czym prawie siedmiuset z zagranicy. Londyn jest miastem o znacznej, aczkolwiek jakby poufnej i dyskretnej tradycji literackiej. Osiedlił się tu Henry James i Karol Marks, przebywał tu niegdyś Erazm z Rotterdamu, Voltaire, Châteaubriand, a jednym z mało znanych, a niewątpliwie efektownych wydarzeń w historii nowoczesnej powieści było jedyne w ich życiu spotkanie między dwoma wielkimi nowatorami: James Joyce'm i Marcellem Proust'em.

Oczywiście najliczniej obeszali kongres gospodarze.

Istotną cechą Kongresu było przybycie trzech delegacji spoza „kurtyny odwilży”, to jest z Czechosłowacji, Polski i Węgier, przy czym ośmioosobowa delegacja polska była najliczniejsza i najpoważniejsza z Janem Parandowskim na czele jako gościem honorowym, specjalnie zaproszonym przez PEN-Club angielski.

Naszą literaturę emigracyjną reprezentowało 10 polskich członków Centrum „Writers-in-Exile” oraz parę osób należących wyłącznie do PEN-Club'u angielskiego.

Bardzo liczne obelżanie Kongresu świadczy nie tylko o turystycznych atrakcjach Anglii, ale i o żywotności, mimo nieustannych krytyk, tego dziecka epoki Ligi Narodów, zrodzonego z ówczesnego międzynarodowego optymizmu, z naiwnego entuzjazmu Wellsa, z wiary Galsworthy'ego w zapomnieniu win i błędów przeszłości, we wspólność ideałów kulturalnych. Założenie PEN-Clubu było jednym z ostatnich gestów, wyrastających z europejskiej tradycji humanistycznej, jednym z ostatnich błysków jej pięćsetletniego światła. H.G. Wells pojmował PEN-Club jako zgromadzenie ludzi wolnej myśli i wolnego pióra, indywidualistów świadomie stających ponad podziałami wytwarzanymi przez różne rodzaje solidarności. Dziś natomiast dyskutuje się namiętnie sprawę „zaangażowania się pisarza”, przejęcia się duchem czasu i problem służby na rzecz wyraźnej idei politycznej. Mimo tych zmian, znakomity powieściopisarz, E.M. Forster, mógł jeszcze powiedzieć: „Reprezentujemy ludzkość wznosząc się ponad przypadkowe różnice rządów, języka, rasy czy koloru skóry. Pamiętajmy, że instynkt twórczy istniał w człowieku, zanim jeszcze wynaleziono narodowość”. Zdanie, zawierające wprawdzie wiele słuszności, ale pod którym nie byłoby łatwo podpisać się autorowi należącemu do literatury, wyrastającej właśnie z narodowego charakteru jej społeczeństwa.

PISARZ I CZYTELNICZY

Otworzyło Kongres przemówienie wybitnego polityka konserwatywnego R.A. Butlera, do niedawna ministra skarbu, obecnie przywódcy partii rządowej w parlamencie i członka „gabinetu wewnętrznego” w rządzie angielskim. Butler należy do polityków-intelektualistów, miłośników sztuki, o których tak trudno u nas, a których we Francji tak często spotyka się na Quai d'Orsay, w pałacu Rady Ministrów, w Anglii zaś i na ławach ministerialnych w parlamencie i w armii. Lord Wavel, dowodząc podczas ostatniej wojny korpusem brytyjskim na Bliskim Wschodzie układał i wydawał antologię wierszy, pisanych przez jego żołnierzy; R.A. Butler jest w Anglii prezesem Royal Society of Literature, aczkolwiek nie mógłby o sobie powiedzieć, jak jeden z premierów królowej Wiktorii, Disraeli, który mawiał: „Jeśli chcę przeczytać powieść, to ją piszę”.

Butler, mówiąc głównie o zjawisku nowej publiczności, nowych odbiorcach dzieł sztuki, dotknął głównego tematu tegorocznego Kongresu: „Autor i czytelnicy: zagadnienia porozumienia i oddziaływania”. W latach powojennych coraz silniej występowały zmiany społeczne będące wynikiem wyrównania dochodów i powszechnego nauczania, podnoszonego na coraz wyższy szczebel. W Anglii podwaliny pod ten stan rzeczy położono w sa-

mych początkach wojny. Jest jakiś powiew wielkości myśli i tchnienie odwagi tego narodu, że w 1940 roku, pracując w schronach, przygotowano tekst Education Act, ustawy która w 1941 roku głęboko zmieniła warunki uzyskania średniego i wyższego wykształcenia, oraz rozwinęła system stypendiów państwowych do zakresu niespotykanego w innych państwach. Przypomina to prawie Napoleona układającego na Kremlu, podczas pożaru Moskwy, statut Komedii Francuskiej, czy Eurypidesa troszczącego się o inscenizację „Elektry” w najcięższych dniach wojny peloponeskiej. Wojny mijają, sztuka i nauka zostają.

Jednocześnie ze wzrostem świeżych zastępów czytelników rozwinęły się nowe sposoby zaspakajania ich potrzeb i popularyzowania literatury. Masowe przedruki wybranych książek, tanie wydawnictwa kieszonkowe, kluby książki, nadawanie powieści w odcinkach przez radio — wszystko to niepomiernie zbliżyło pisarza do społeczeństwa, prawdopodobnie przyczyniając się też do ostrości problemu „zaangażowania się”. W poezji — autorzy, których tomy nie były w stanie przekroczyć w sprzedaży kilku setek, dzięki radiu zyskują miliony słuchaczy; w Anglii są poeci nowego pokolenia utrzymujący się wyłącznie z radiowych recitali poetyckich i przekładów na użytek mikrofonu poezji obcej; w Ameryce okazało się, że gdy wybór wierszy jest właściwie drukiem na wpół prywatnym, teksty poetyckie nagrane przez autorów na płyty patefonowe potrafią osiągać rekordy sprzedaży.

Radio wywarło nawet wyraźny wpływ na kształtowanie się nowego stylu poetyckiego. Dłuższe poematy opisowe, forma prawie zanikła, odżywiają pod wpływem audycji radiowych; język wierszy staje się prosty, zwarty, ostry, łącząc dążenie do wyraźnej rytmiki i kompozycji quasi muzycznej z zachowaniem kolokwialnego porządku zdania.

Ale rozszerzenie oświaty i powszechne prawo wyborcze wnoszą demagogię nie tylko do polityki. Trudna sztuka nawiązywania nici porozumienia między jednostkami usuwa się w cień wobec potrzeby przemawiania do tłumu. G.M. Trevelyan, jeden z czołowych historyków, w „Historii społecznej Anglii” wyraża obawę, że „nowoczesna oświata powszechna wytworzyła rzesze umiejące czytać, ale niezdolne do rozróżnienia rzeczy wartych przeczytania”.

Na posiedzeniach literackich Kongresu zajmowano się sprawą powstania jakby dwóch kategorii publiczności, a w związku z tym, dwóch grup pisarzy lub nawet dwóch osobowości artystycznych u jednego i tego samego autora. Podkreślano więc, że lepiej płatna praca dla telewizji, radia, filmu odciąga autorów od właściwych zadań używając ich siły: pisarz twórco stopniowo spada do kategorii pisarza-producenta, związanego z przemysłem rozrywkowym. Elmer Rice dowodził, że opanowanie przez przemysł środków przemawiania do wielkiej rzeszy słucha-

czy prowadzi do pojawienia się ukrytej formy cenzury w krajach, których ustawodawstwo cenzury nie przewiduje. Niknie wobec tego swoboda stanowiska pisarza, kontrowersyjność jego wypowiedzi, bezpieczny banał zabija oryginalną myśl.

W interesującej dyskusji zdania podzieliły się: jedni kładli nacisk na powaby i zarazem niebezpieczeństwa nowych technik jak film, radio, a zwłaszcza telewizja, podczas gdy inni, jak na przykład V.S. Pritchett wystąpili z twierdzeniem, że w społeczeństwie pozostaje jak gdyby ta sama suma wrażliwości artystycznej: oświata nie tworzy jeszcze odbiorcy dzieła sztuki, prawdziwa publiczność jest zawsze publicznością elitarną, wszelka twórczość na użytek mas nie ma znamion trwałości i nie przyczynia się do rozwoju kultury. Stąd też i nowe formy działalności artystycznej, uzyskane dzięki nowoczesnym wynalazkom, stoją poza marginesem prawdziwej sztuki, ilekroć odwołują się do mas. J.B. Priestley, wręcz przeciwnie, głosił że autor winien iść ze swoją publicznością, że jest jego obowiązkiem nie pozostawiać jej na łup „sztuki ogłoszeń”. Jeżeli telewizja wypiera czytelnictwo, pisarz winien opanować technikę teatru telewizyjnego. Warto w tym miejscu zanotować interesujący pomysł znanego krytyka amerykańskiego, I.A. Richardsa, że telewizja może dostarczyć nowej i cennej formy recytacji poetyckiej: w chwili czytania utworu przez autora czy aktora na ekranie winien zjawiać się tekst wiersza.

Istniejący materiał do tej dyskusji wniosło przemówienie oficjalnego delegata PEN-Club'u polskiego, Ant. Słonimskiego. Słonimski bronił tezy konieczności zdobywania jak najszerszych mas dla jak najwartościowszych postaci kultury. W Polsce powstaje zjawisko nie znane w tym samym stopniu w innych krajach: imponujący bowiem wzrost czytelnictwa, wspomagany przez tanie książki, jest spontaniczny i bynajmniej nie zwraca się ku pozycjom o wątpliwej wartości. Przeciętny, minimalny nakład powieści, wynosi 10.000 w pierwszym wydaniu, tom wierszy ukazuje się w ilości 3-5.000 egzemplarzy, podczas gdy bardziej znani poeci z łatwością osiągają nakład 50-60.000 dla swych zbiorów. Zaprzeczaloby to twierdzeniem Pritchetta i dowodziło, że w Polsce w nowych warstwach czytelników, zdobytych dla literatury, nie przeważają reakcje prymitywne.

Słonimski twierdził, że dla dotarcia do nowego czytelnika i rozbudzenia jego wrażliwości konieczna jest rewolucja społeczna. Jest to teza idąca zbyt daleko. W Anglii na przykład ogromnym powodzeniem cieszą się tanie wydania klasyków literatury światowej, od Homera zaczawszy — kończąc na Zoli i Huxleyu. Ale równocześnie trzeba przyznać, że zniknęło tu bezrobocie i niedostateczne wynagrodzenie robotnicze. Zmiana więc struktury gospodarczej społeczeństwa, a nie radykalny przewrót, wydaje się warunkiem koniecznym dla zjawiska masowego czytelnictwa.

Słonimski przyznał, że proces społeczny, którego wynikiem

dodatnim jest podniesienie się oświaty i wzrost zainteresowań kulturalnych w szerokich masach, przynosi zarazem „pewne trudności” (*some inconveniences*). Było to łagodne określenie na przemożny wpływ państwa na literaturę, na brutalne „administrowanie” sztuką i żądanie od niej wykonywania programu dydaktycznego. Mówca stwierdził że pod tym względem cel zwyciężył sam siebie i dodał, że w tej chwili odbywa się odwrót od popełnionych błędów.

Nie zostało jednak powiedziane, że w Polsce nadal nie ma miejsca na swobodne ścieranie się różnic światopoglądowych, na pełną wolność sądu intelektualnego, że zamarł eksperyment artystyczny, a nauki filozoficzne znajdują się w stanie upadku. Zrozumiałe względy muniaty stworzyć tę różnicę między zagranicznym wystąpieniem Słonimskiego, a jego lapidarnymi, dosadnymi określeniami na ostatniej sesji Rady Kultury i Sztuki.

Uwagi Słonimskiego przyczyniły się do wprowadzenia problemu mecenatu. Gdy zniknął mecenat prywatny, wraz zubożeniem klasy średniej a upowszechnieniem oświaty, rolę mecenasa sztuk i nauk przejmuje państwo. Ale jakie państwo, jaka komisja artystyczna odważyłaby się na przykład przyznać stypendia Baudelaire'owi czy Verlaine'owi w poezji, Joyce'owi czy Kafce w prozie? Polskie doświadczenia ostatnich lat źle wróżą o wielkoduszności i o zmyśle krytycznym mecenatu państwa. To też min. Butler bardzo słusznie podkreślił w swym przemówieniu inauguracyjnym, że w Wielkiej Brytanii zawsze przyjmuje się zasadę, iż państwo nie powinno stykać się bezpośrednio ze sferą nauki i sztuki; rozdziałem funduszy zawsze zajmuje się niezależny fachowy czynnik społeczny. I to powinno stanowić pożyteczny wzór dla krajów socjalizmu. Charles Morgan poszedł jeszcze dalej w swej zwięzłej definicji: „Jedynie artyści wiedzą, czym jest sztuka i lepiej żeby i państwo i różni filistyni zostawili ich w spokoju”.

NIEPEWNOŚĆ I OBAWY

Na innych posiedzeniach zajmowano się rolą krytyki oraz historią jako gałęzią sztuki, znów odzyskującą miejsce odrębnego rodzaju literackiego. Z referatów przebijał wniosek, że gdy dziś na zachodzie Europy jednym z dominujących kierunków filozoficznych w środowiskach uniwersyteckich jest logiczny pozytywizm, wywodzący się z założeń Wittgensteina, idei dających koncepcję życia ludzkiego trzeba szukać w historii. Stąd powrót historia do roli pośredniego nauczyciela ludzkości, starającego się wykryć w jej losach działanie pewnych praw lub wzorów, stąd znaczenie dzieła Arnolda Toynbee i studiów filozoficzno-historycznych Butterfielda.

Wśród dyskusji nad metodami krytyki główny spór toczył się o jej artystyczny, czy też — przeciwnie — naukowy charakter. Z głównym tematem Kongresu wiązały go uwagi, że nowe

techniki artystyczne, jak radio i telewizja, powinny doprowadzić do powstania także i nowych gałęzi poważnej krytyki, ponieważ tylko poprzez stałą analizę i ocenę można przyczynić się do podniesienia poziomu tych technik do rangi sztuki. Osobne sekcje omawiały wystąpienie świeżych metod artystycznych w poezji i powieści.

W całości przebieg dyskusji kongresowych wywołał wrażenie wyraźnego rozdziału między pisarzami a rozległą dziedziną nowych środków trafiania do czytelnika, zmieniającego się coraz częściej w widza patrzącego na ekran telewizyjny. Jako jedno ze źródeł postawy, nacechowanej raczej rezerwą i niepewnością reakcji, można by wymienić często izolację pisarzy od życia, stworzenie z pisarstwa odrębnego zawodu, tracącego związek z życiem takim, jak je przeżywają przeciętni ludzie współczesnej epoki. Występowanie prądów w rodzaju autentyzmu czy nawet realizmu socjalistycznego potwierdza swymi próbami zasypania tej przepaści jej rzeczywiste istnienie.

Zarazem artysta, pozbawiony dawnego mecenatu, dawnej publiczności dającej mu pewne oparcie moralne i materialne, z lekkim spogląda zarówno na pomoc państwa, jak i na ponętne oferty telewizji czy filmu: w obu wypadkach jego wolność doznaje skrępowania, jego wizja artystyczna — zwężenia i zubożenia. Tak zwane szerokie masy, coraz czynniej wstępujące i na arenę dziejową i w życie kulturalne nie wydały jeszcze swoich własnych artystów; oklaskują one nadal twórców wywodzących się z odmiennej i raczej elitarnej tradycji kulturalnej. Problem ten może rozwiązać dopiero przyszłość, Kongres stwierdził tylko jego istnienie. Pesymiści zapewne pozostali przy zdaniu, że prawdziwa sztuka zawsze będzie wyłącznie udziałem ograniczonej grupy, gdyż wrażliwość na dzieło sztuki i wysoki stopień inteligencji są takim samym darem losu jak zdolności twórcze. Optymiści skłonni są wierzyć, że postęp materialny pozwoli na taki rozwój oświaty iż wykształcenie smaku w masach ludowych sprawi, że równoczesne pozostawanie w obiegu dobrej i złej literatury będzie podlegać odwrotnemu niż w ekonomii działaniu prawa Greshama: rzecz dobra wyprze złą. Wreszcie ludzie o poglądach zbliżonych do kierunków marksistowskich posiadają nieco mistyczną wiarę w lud, w człowieka prymitywnego, sądząc iż instynkt twórczy tkwi we wszystkich ludziach i że jedynie warunki życiowe stepiły jego działanie. Wyzwolenie człowieka od trosk materialnych powinno — w myśl tych założeń — wyzwoić zarazem ogromną falę twórczości, przemieniając kształtującą się dzisiaj „kulturę masową”.

REZOLUCJA I PROTESTY

Debata literackie Pen-Club'u polegają na swobodnych wypowiedziach uczestników; w tym roku sprawna organizacja oraz prace przygotowawcze zapewniły że referaty skupiały się wokół

paru naczelnych zagadnień. Natomiast rezolucje kongresowe są wynikiem gorących sporów i formalnego głosowania, w którym każde Centrum rozporządza jednym tylko głosem.

Przebieg głosowania nad wnioskiem w sprawie wprowadzenia języka niemieckiego jest publiczną tajemnicą i wykazuje rolę odegraną przez delegację polską i delegację Centrum „Writers-in-Exile” (pisarze emigracyjni). Na poprzednim kongresie w Wiedniu równa ilość głosów padła „za” jak i „przeciw”, co automatycznie przeniosło sprawę jako nierozstrzygniętą na kongres londyński. Tutaj powstała podobna sytuacja, przy czym delegacja polska wstrzymała się od głosu, rozsądnie unikając posądzenia o zasadnicze antagonizmy polityczne. Nadało to stanowisku delegatów pisarzy emigracyjnych rolę decydującą: oddanie głosu przeciw rezolucji powtórzyło równowagę głosów, osiągniętą w Wiedniu, i znów odroczyło całe zagadnienie.

Centrum australijskie przedstawiło wniosek domagający się bądź zawieszenia, bądź też nawet skreślenia z listy członków Federacji tych PEN-Clubów, które nie dają gwarancji, że ich działalność nie podlega ograniczeniom sprzecznym z wymaganiami Karty zasad P.E.N. Chodziło o pośrednie potępienie tych państw środkowo-europejskich i azjatyckich, gdzie cenzura w połączeniu z dotkliwymi represjami wobec jednostek (z rozstrzelaniem włącznie) odbiera pisarzowi jego swobodę twórczą, a nawet wszelką możliwość pracy intelektualnej. Zastosowanie się do tego wniosku musiałoby na przykład dość szybko doprowadzić do zastosowania sankcji moralnych wobec PEN-Club'ów węgierskiego, czechosłowackiego i polskiego.

Oczywiście kapani w gorącej wodzie ludzie, szukający przede wszystkim zaspokojenia własnej ambicji poprzez swoisty „ekshibicjonizm patriotyczny”, bez myśli o następstwach takich popisów, są z góry gotowi przyklasnąć każdemu projektowi, który by „środkami demokratycznymi” jak najskuteczniej odcinał od Zachodu społeczeństwa i tak już oddzielone od niego linią wpływów rosyjskich. Jeżeli dziś, po wieloletniej przerwie, pisarze z Polski i sąsiednich krajów mogą przyjeżdżać na Kongresy PEN-Club'u, jest to jedna więcej wąta nica praktycznie łącząca ich ze światem, z którego od wieków czerpała ich własna tradycja kulturalna; przerwanie tej nici wyrządzi tylko szkodę, którą może się pysznić lekkomyślny emigrant, ale za którą oni zapłacą. A zresztą, czyż jest to cena warta jednej więcej pustej demonstracji, przypominającej i tak rzeczy ogólnie wiadome? Delegacja Centrum Writers-in-Exile głosowała przeciw australijskiej rezolucji; wniosek ten upadł.

Przyjęto natomiast i przedstawiono następnie na plenum Kongresu rezolucję, zgłoszoną łącznie przez Centrum Writers-in-Exile, Centrum Estońskie, Centrum Łotewskie i nowojorskie Centrum literatury w języku żydowskim. Mówiła ona:

„PEN-Club'y zebrane na swym 28. Międzynarodowym Kongresie w Londynie są głęboko przejęte liczbą pisarzy, którzy w różnych

częściach świata nadal znajdują się w więzieniach, w miejscach przymusowego pobytu, w obozach pracy, lub też którym uniemożliwia się ogłaszanie ich prac ze względu na ich poglądy, pochodzenie lub język. Kongres wzywa wszystkie Centra do wykonania postanowienia Karty PEN-Club'u poprzez a) uczynienie wszystkiego co leży w ich mocy, aby uzyskać przywrócenie wolności tym autorom, b) dopomoczenia pisarzom którzy nie są pozbawieni wolności, ale którym odma-wia się prawa ogłaszania ich prac, do wydawania ich drukiem."

Rezolucję, niezwłocznie po złożeniu jej na międzynarodowym zarządzie, poparł delegat Centrum polskiego. Na plenum przyjęto ją jednomyślnie, po czym minutą milczenia uczczono pamięć wszystkich pisarzy, którzy padli ofiarą prześladowań dogmatycznych, totalistycznych reżymów.

Nie przesłała natomiast osobna rezolucja nowojorskiego Centrum literatury w języku żydowskim, protestująca przeciw wymordowaniu za rządów Stalina licznych przedstawicieli tej literatury w Związku Sowieckim. Zgłoszono ją, niestety, już po terminie przepisany przez regulamin obrad, co automatycznie wymaga kwalifikowanych dwóch trzecich dla jej przyjęcia. Mimo więc uzyskania zwykłej większości nie mogła być akceptowana przez zarząd.

Drugą uchwałą Kongresu było przyjęcie rezolucji, zgłoszonej jeszcze w Wiedniu przez „Deutsches Centrum: Ost und West”. Nazwa ta jest myląca; przybrał ją demonstracyjnie, podkreślając swe aspiracje do zjednoczenia Niemiec i do członkostwa pisarzy z Niemiec Zachodnich, Pen-Club Komunistycznych Niemiec Wschodnich. Dyskutowanie rezolucji we Wiedniu, znajdującym się jeszcze pod nadzorem czterech władz okupacyjnych, okazało się kłopotliwe dla gospodarzy. W Londynie wywołała ona również żywe sprzeciwy, jak i gorące obrony. Oto jej tekst:

„Międzynarodowa Federacja PEN-Club'ów, doceniając niezmierną powagę czasów w jakich żyjemy, oraz nieograniczone wprost niebezpieczeństwa zagrażające rodzajowi ludzkiemu wskutek rozwoju środków masowego zniszczenia, wyraża swą sympatię wszystkim pisarzom którzy uważają za swój obowiązek uświadamianie swych bliźnich o całej rozciągłości tej groźby."

Wśród mówców, sprzeciwiających się rezolucji, zabierał głos Cz. Miłosz, który zaznaczył, że niedostatecznie sprecyzowany tekst obejmuje zarówno autorów, rzeczywiście słuchających głosu sumienia, jak pisarzy w rodzaju I. Ehrenburga, będących tylko głosem każdorazowej tendencji propagandowej. Największe jednak wrażenie wywarło lakoniczne wystąpienie delegatki japońskiej, która oświadczyła krótko: „Myśmy poznali z bliska bombę atomową, nie chcemy odnawiać tej znajomości”. Przyjęto rezolucję niewielką większością głosów, która nie stanowiła większości wszystkich głosujących wobec powstrzymania się od głosu wielu delegacji. Przewodniczący, prof. Denis Saurat, uznał

rezolucję za uchwaloną, co wywołało później zgłaszanie różnych zastrzeżeń.

Jakiegokolwiek by wobec nich zająć stanowisko, trzeba stwierdzić że dwie przyjęte rezolucje kongresu londyńskiego wyrażają pewną wspólną świadomość świata intelektualnego: przerażenie osłabieniem się pozycji pisarza, lekceważeniem praw jednostki i obłądnym wyścigiem zbrojeń. Wpływ środków masowego oddziaływania na myśli i uczucia, jak film, radio, telewizja, związanych wskutek swej strony technicznej albo z wielkim przemyślem, albo z państwem, zabierają z rąk pisarza, z rąk samotnej, niezależnej, uczciwej jednostki możliwość swobodnej, pogłę-bionej dyskusji z drugą jednostką — czytelnikiem.

Tak by wyglądała konkluzja Kongresu, przeżywającego swe emocje intelektualne w węższym gronie, gdy tłum kongresowiczów zapełniał przyjęcia i przeróżne pokazy. Na miejsce ustępującego prezydenta Federacji, Charles Morgana, wybrano André Chamson, znanego powieściopisarza, członka Akademii Francuskiej, dyrektora Petit-Palais w Paryżu. Najbliższe trzy lata pokażą czy będzie on umiał być równie zdecydowanym szermierzem zasady niepodległości pisarza, jak odważny, stanowczy i bezkompromisowy w tych sprawach Charles Morgan.

Z POLSKI — I NIE Z POLSKI

W skład ośmioosobowego zespołu przybyłego z Polski, obok J. Parandowskiego weszli: Michał Rusinek, Antoni Słonimski (delegaci z prawem głosu), Kazimierz Brandys, Jan Brzechwa, Maria Dąbrowska, Antoni Mirek-Olcha, Jerzy Zawieyski. J. Iwaszkiewicz nie mógł przyjechać z powodu stanu zdrowia. Przemówienie Słonimskiego w dyskusji nad problemem nowego czytelnika zostało nagrane przez radio brytyjskie; Jan Parandowski wygłosił na jednym z posiedzeń literackich piękny odczyt o stosunku wytwarzającym się między autorem a czytelnikiem; pisarze przybyli z Polski spotykali się często z innymi delegacjami, odwiedzali pisarzy emigracyjnych, byli niewątpliwie najżywszym i najszybszym zespołem spoza linii politycznej przeciwnąjącej dziś Europę.

Najważniejszym posunięciem delegacji PEN-Club'u polskiego było zgłoszenie Warszawy jako miejsca jednego z najbliższych kongresów. W 1957 roku Kongres odbędzie się prawdopodobnie w Japonii, która zaprosiła PEN-Club'y do Tokio jeszcze na wiosnę bieżącego roku. Następne miejsce zajmuje Izrael, który zgłosił swe zaproszenie we Wiedniu, wobec jednak naprężonej sytuacji na Bliskim Wschodzie wybór Izraela może być mało prawdopodobny. W 1958 roku Kongres powinien zatem odbyć się w Polsce, a w razie jakichkolwiek trudności, związanych z zaproszeniem japońskim, może nawet niespodzianie zjawić się perspektywa kongresu w Warszawie już w najbliższym roku. Sprawy te decydują się ostatecznie na posiedzeniach mię-

dzynarodowego zarządu, będącego stałą władzą Federacji. W razie konkretnej możliwości Kongresu w Polsce zdanie Centrum Writers-in-Exile będzie mieć duże znaczenie.

Wielu członków zespołu podejmowały serdecznie kola emigracyjne w Londynie, odnawiając przedwojenne przyjaźnie, ciesząc się szczególnie gorąco z przybycia najznakomitszej współczesnej autorki polskiej, Marii Dąbrowskiej, oraz dwóch pisarzy których ostatnie lata zmuszały do długotrwałego milczenia: M. Rusinka i J. Zawieyskiego. Szkoda jednak, że nie wszystkie miejsca w delegacji zostały wykorzystane równie właściwie i że środowiska polskiego w Londynie nie odwiedziło więcej prozaików i poetów średniego i młodszego pokolenia.

Z licznych spotkań londyńskich warto zanotować wieczór u H. Naglerowej, na którym między innymi była M. Dąbrowska i Kazimierz Wierzyński, śniadanie w Café Royal w Londynie, popularnym miejscu spotkań literackich, sięgającym tradycją doby Oscara Wilde'a, gdzie podejmowano Marię Dąbrowską, Jana Parandowskiego z żoną, Michała Rusinka z żoną, Jerzego Zawieyskiego oraz gościa z Ameryki, prof. W. Weintrauba. Goście z Polski mieli więc dużo sposobności do poznania życia emigracji, zapoznania się z jej klimatem uczuciowym, poglądami, zaznajomienia się z sytuacją swych kolegów, którzy zdecydowali się na dalszą pracę literacką poza granicami kraju.

W ostatniej chwili członkowie PEN-Clubu polskiego z Warszawy spróbowali zbiorowo zrewanżować się za doznawaną gościnność, prosząc do siebie tych pisarzy emigracyjnych, z którymi zdążyli się jeszcze tuż przed odjazdem porozumieć, na pożegnalne śniadanie. Oprócz gospodarzy wzięli w nim udział: J. Czechowicz-Mieroszevska, Z. Broncel, Z. Grabowski, J. Jasińczyk, J. Mieroszewski, B. Taborski, J. Tokarski, J. Sito, W. Strzałkowski. Wśród długiej rozmowy wzniesiono trzy toasty. Pierwszy za pomyślność kultury polskiej, wykazującej że potrafi przetrwać najcięższe próby i najboleśniejsze podziały, drugi — za pomyślność najstarszego i najmłodszego pokolenia pisarzy (wywołał ten spontaniczny toast J. Zawieyskiego widok M. Dąbrowskiej, gawędzącej z młodym poetą J. Sito, wychowanym już w Anglii ale piszącym swe wiersze piękną polszczyzną) i trzeci — za prawdziwie wolnego człowieka w państwie rzetelnej sprawiedliwości społecznej. Ten ostatni toast wyraził ideał o jakim zapewne marzy dziś olbrzymia większość narodu polskiego i w kraju i poza krajem.

Literaturę emigracyjną na Kongresie reprezentowali przede wszystkim pisarze, należący do Centrum Writers-in-Exile. Było ich 10: C. Wieniewska, Z. Broncel, Z. Grabowski, A. Janta, T. Lisiewicz, C. Miłosz, Z. Nowosielska, Wit Tarnawski, S. Westfal, K. Wierzyński. Część wyżej wymienionych należy również do centrum angielskiego, ale jedynie PEN-Club, zrzeszający pisarzy emigracyjnych, daje im prawdziwą możliwość kontaktu z przedstawicielami innych literatur i wpływania na de-

cyzje, zapadające na posiedzeniach międzynarodowego zarządu Federacji. Ci, którzy na terenie międzynarodowym nie podkreślają swego charakteru pisarza-emigranta politycznego i trzymają się na ubożu od Centrum Writers-in-Exile, należąc wyłącznie do PEN-Club'u angielskiego, nie odegrali na Kongresie londyńskim żadnej roli.

K. WIERZYŃSKI i M. RUSINEK

Kongres zakończył się 14 lipca wycieczkami do najstarszych uniwersytetów angielskich: Oxford i Cambridge. W dwa dni później Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie podejmował obiadem literackim trzech polskich gości ze Stanów Zjednoczonych: K. Wierzyńskiego, prof. W. Weintrauba i A. Jantę. Niestety, przebieg tego zebrania zawiódł pokładane nadzieje.

K. Wierzyński jest wybitnym pisarzem, którego utwory zapewniły mu już trwałe miejsce w historii naszej literatury. Ze Stanów Zjednoczonych przyjechał do Europy po raz pierwszy od wielu lat; spodziewano się go tu z niecierpliwością i wzruszeniem, a po wspólnym z nim obiedzie literackim wielu spodziewało się cennego i trwałego wspomnienia. Liczono więc 16 lipca na przemówienie Wierzyńskiego, które by niejako zapełniło przedział tylu lat rozłąki i związało się z jego programem poetyckim; od innych mówców spodziewano się zwiezłej oceny i barwnej syntezy twórczości tak znakomitego poety. Tymczasem Wierzyński, odpowiadając na powitania, nie wyszedł poza zdawkowe słowa pozdrowień, zabarwione niemal tonem pewnego lekceważenia dla zebranych, witający go zaś mówcy wieczoru, z wyjątkiem dowcipnego intermedium J. Sakowskiego i dowodów wzruszenia złożonych przez czcigodnego prof. M. Kukiela, dali popis przeraźliwego banału, nie zaprawionego ani jedną oryginalną myślą, ani jednym ciekawym sądem krytycznym. Co gorsza, nawet polszczyzna tych wystąpień pozostawiała wiele do życzenia.

Przewodniczącemu (T. Terlecki) nie można pogratulować taktu w wyborze na pierwszego mówcę Ferdynanda Goetla; jedynie, niefortunne zresztą, uzasadnienie takiego wyboru można znaleźć w chęci nawiązania (jakże niepotrzebnego) do pamięci jędrzejewiczowskiej Akademii Literatury, której i Goetel i Wierzyński byli członkami przed wojną. Nazwisko Goetla łączy się z powieścią „Z dnia na dzień”, ale także i z wypowiedzianymi na krótko przed wojną zachwytaami dla faszystów i z poważnymi zarzutami dotyczącymi jego postępowania podczas okupacji niemieckiej, jakie mu postawił Stefan Korboński w obu swych rewelacyjnych książkach. Goetel nigdy nie dał na nie wyczerpującej odpowiedzi. Następnie Janusz Jasińczyk, recenzując na łamach „Kultury” wspomnienia wojenne Goetla, wydane przez Veritas, zarzuty te powtórzył, znów stwierdzając, że Goetel zamiast sprawę wyjaśnić, starał się je w swej książce pominąć.

Jakkolwiek daleko słaby tolerancja emigracji, nie są to kwalifikacje do występowania w imieniu pisarzy polskich w Anglii.

Przygnębiającego obrazu dopełniło mimo woli wystąpienie Aleksandra Janty. Opisywał on dobrobyt społeczeństwa polskiego w Ameryce, charakteryzując zarazem sposób, w jaki zużywa ono swoje dość wysokie dochody. Janta podkreślił, że w jednym tylko z większych miast amerykańskich znajduje się około 800 „tawern” (powtarzam eufemizm mówcy), należących do polskich właścicieli. Tygodniowy ich obrót wynosi około 800 dolarów, co znaczy że w ciągu miesiąca wydaje się tam na alkohol 400.000 dolarów, a w ciągu roku 20 milionów dolarów. Równocześnie polskie fundusze kulturalne wyrażają się wprost śmiesznymi sumami. Tak na przykład nagroda, ufundowana w Detroit za utwór literacki związany z walkami AK nie sięga nawet stu dolarów.

Słuchał wszystkiego — co nadało prawie historyczny charakter temu spotkaniu — gość z Polski, członek Związku Literatów z Warszawy, Michał Rusinek, autor „Człowieka z bramy”, „Burzy nad brukiem” i tłumaczonej właśnie na holenderski i niemiecki „Wiosny Admirala”. Rusinek pozostał w Londynie po zakończeniu Kongresu PEN-Club'u, po wyjeździe swych kolegów do Paryża. Dało mu to możność wyrażenia chęci udziału w koleżeńskim spotkaniu pisarzy emigracyjnych. Zgodnie z obyczajem naszych „obiadów literackich” każdy członek Związku ma prawo wprowadzenia jednego gościa. Czy można sobie wyobrazić by ktokolwiek powiedział „nie” pisarzowi z Polski, który ma odwagę cywilną uczestniczenia w zebraniu emigracyjnym, uważając że zawsze łączy nas polskość i służba sztuce narodowej? Czy można pomyśleć, by ktoś zamknął nasze drzwi autowowi, który sam przez długie lata porał się z trudnymi warunkami, patrząc jak leżą nie wznawiane jego powieści przedwojenne i jak próżno czekają na druk jego rękopisy powojenne?

Wprowadzającym M. Rusinka był J. Mieroszewski, na obiad przybył on w towarzystwie niżej podpisanego i R. Kiersnowskiego. Na kilka dni wcześniej zawiadomiono o tym gospodarzy obiadu: J. Czechowicz i J. Kowalewski, którzy, rzecz jasna, nie wyrazili żadnych zastrzeżeń. Poinformowano również o niezwykłym gościu prezesa Związku, T. Terleckiego. Rzecz była prosta i oczywista. Mogła być tylko powodem do radości, że zmiany w kraju postąpiły na tyle daleko, że pisarz stamtąd nie obawiał się dla siebie nieprzyjemnych następstw z racji udziału w obiedzie emigracyjnego środowiska literackiego.

Mimo to przewodniczący nie znalazł dla gościa z Polski miejsca przy stole honorowym, przy którym zasiadli goście z Ameryki. Nie chciał też znaleźć dla niego *ani jednego słowa powitania*. Działal w tym wbrew nastrojowi sali, gdzie wszystkie twarze zwracały się w stronę stolika w kącie, zajmowanego przez Rusinka i przez tych, którzy od razu pospieszyli go przy-

witać. Cały wieczór toczył się jak gdyby na dwóch planach: formalnym i rzeczywistym, zmieniając się z minuty na minutę z obiadu na cześć Wierzyńskiego, Weintrauba i Janty z udziałem Rusinka, w obiad na cześć Rusinka z udziałem tamtych.

Gdy stół przydialny uporczywie utrzymywał swą ślepotę i głuchotę na rzeczywistość, Janusz Jasięńczyk trzykrotnie prosił o głos, by móc przynajmniej stwierdzić obecność na sali gościa z Polski. Dwa, trzy lata temu oburzono przemówienia potępiały Żelazną Kurtynę, skarżyły się na zatrzęsienie drzwi między krajem a zagranicą. Dziś — pisarza z kraju, dawnego przyjaciela i znajomego wprost nie chciano dojrzeć. Rusinek odczuł to i powiedział do otaczających, że gdy on nie bał się tu przyjść, Terlecki najwidoczniej boi się go przywitać.

Po każdym następnym mówcy Jasięńczyk znów dopominał się o głos. Ale ponieważ chwalimy się, że zawsze stosujemy „środki demokratyczne”, głosu nie otrzymał. Obawiam się, że choć w Polsce ciągle dzieje się wiele rzeczy złych i margines swobody słowa w rzeczach istotnych jest nadal skromny, ta sytuacja byłaby jednak nie do pomyślenia w warunkach „odwilży” na zebraniu Związku Zawodowego Literatów w Warszawie.

A przecież przewodniczący wieczoru miał przed sobą tak prostą i łatwą sytuację! Rusinek przyszedł nie dla zwracania na siebie uwagi czy zamącania w czymkolwiek programu uroczystości urządzonej na cześć naszych kolegów z Ameryki, przeciwnie — chciał się do niej przyłączyć. Wystarczyłoby powiększyć o nazwisko Rusinka listę witanych życzliwie gości i stwierdzić fakt miłej niespodzianki, na którą jeszcze tak nie dawno nie można byłoby liczyć w najśmielszych oczekiwaniach. Aż dziwić się można, że Terlecki, człowiek wrażliwy, a jako znawca teatru czuły na reakcje publiczności, swą ofiarną pracą na stanowisku prezesa Związku dający wielokrotnie dowody ile mu zależy na powadze i znaczeniu tej organizacji, ze wszystkich możliwych wyjść — wybrał najgorsze. Konsekwentnie przemilczawszy obecność Rusinka na sali podczas całego zebrania, po zakończeniu wieczoru podszedł do niego i z rozbrajającą naiwnością wypowiedział przy wszystkich sekretne zdanie: „Nie chciałem pana przywitać, by panu nie zaszkodzić”.

Zwrot ten musiał ośmieszyć emigrację w oczach krajowego pisarza, pokazując mu jak słabo prezes Związku orientuje się w wewnętrznych warunkach polskiego życia. Toteż Rusinek odparł żartobliwie: „A ja się z panem przywitam, choć to panu zaszkodzi na emigracji”. Rusinek nie przeczuł, że tego rodzaju zjawisko wśród firmowych, emigracyjnych obrońców demokracji wkrótce zacznie występować w postaci świadomie organizowanego terroru ze strony wszelkich miernot.

Stanowisko Terleckiego było wynikiem swoistej obsesji, według której każde słowo uznania np. dla osiągnięć artystycznych w kraju, wypowiedziane zagranicą, automatycznie „łamię” życie

pisarza w Polsce. Z tych właśnie fantastycznych względów prezes Związku Pisarzy odrzucił w zimie r. b. myśl zrobienia wieczoru, poświęconego twórczości Dąbrowskiej, oraz wieczoru, który miał uczcić jubileusz Parandowskiego. W całej zresztą działalności Związku występuje ta nuta odżegnywania się od niebezpiecznego ducha, zwanego Krajem. Każdy bowiem przykład, iż w kraju powstają pewne wartości podważa teologiczną teorię, że emigracja jest świętością narodową poprzez sam fakt istnienia bez względu na swe cechy i osiągnięte wyniki. Falszywe interpretowanie oficjalnego stosunku do pisarza w kraju (to nie władze są potrzebne Dąbrowskiej i Parandowskiemu, lecz zgoła odwrotnie) jest częściowo psychologicznym przenoszeniem w ten układ naszych własnych, niezbyt przyjemnych stosunków emigracyjnych. Tu bowiem, jeśli autora dostrzeże, albo co gorsza, pochwali krytyka krajowa, od razu zaczyna się przeciw niemu kampania złośliwych recenzji i perfidnie rozsiewanych podejrzeń. A być cytowanym przez pisma w kraju, to prosta droga narażania się na *donosy* do władz kraju osiedlenia.

Na domiar złego nie jest to obsesja całkowicie szczerą, gdyż stanowi ona świadome wspieranie zapory przeciw wszelkiej konfrontacji życia kulturalnego emigracji z życiem kulturalnym kraju w obawie, iż każde zdrowe porównanie może zaszkodzić przetrwaniu emigracyjnemu wielkościom, możliwym wyłącznie w atmosferze małomiasteczkowego ghetta paru dziesiątków tysięcy polskiego Londynu, może zwrócić uwagę na ubóstwo krytyki, eseistyki, studiów historyczno-literackich, na dychawiczne tempo życia intelektualnego.

Jedną z najtypowszych, najpowszechniejszych reakcji ludzi przyjeżdżających z kraju jest zdanie: „Ależ wy nie kupujecie książek, nie czytacie, nie prowadzicie dyskusji politycznych ani filozoficznych. Między śpiewaniem hymnów politycznych a graniem w brydża nie ma u was nic pośrodku”.

Wróćmy jednakże do obiadu Związku, albowiem, niestety, nie jest to jeszcze wszystko. Po wyczerpaniu listy mówców udzielono głosu dr. Witowi Tarnawskiemu — stało się w blisko dwie godziny po rozpoczęciu zebrania, gdy już każdej chwili, wskutek nastroju sali, groził jawny wybuch skandalu. Dr Tarnawski w zręcznych i taktownych słowach próbował naprawić gaffę przewodniczącego. Podkreślił, że oto obecni są nie tylko mili goście z Ameryki, ale jest i gość z Polski, tym miłszy, że tak mało spodziewany. Stało się to hasłem do ogólnej hucznej owacji na cześć Rusinka. Urósł on do rozmiarów symbolu; entuzjazm sali stał się demonstracją tego, co czuje rzesza emigracyjna w przeciwstawieniu do wszelkich zawodowych prezesów, równie odciętych od prawdziwych nastrojów kraju, jak i nastrojów emigracji. Długotrwałe oklaski, serdecznie wyciągnięte ku niemu dziesiątki dłoni wynagrodziły Rusinkowi te długie chwile, kiedy mógł pomyśleć że Polacy nie potrafią już rozpoznać Polaka.

Odpowiedział Rusinek na przemówienie Tarnawskiego w kilku skromnych słowach, mówiąc, że zrezygnował ze spotkania z odnalezionym przyjacielem, z człowiekiem który podczas wojny ocalił mu w Niemczech życie, byle móc choć przez parę godzin znaleźć się po tylu latach w gronie dawnych kolegów, spotkać ludzi tak mu niegdyś bliskich. Kończąc Rusinek podziękował dr. Tarnawskiemu ze swymi uwagami „poprawił topografię serca”, o której mówiono na tym wieczorze, włączając do niej, obok Ameryki i Anglii także i pisarzy tworzących w kraju.

Wywołało to nową owację. Nie przeszkodziło to Z. Nowakowskiemu, którego *nie było* na tym wieczorze i który przemówienia Rusinka *nie mógł* słyszeć ani czytać (gdyż nie było ogłoszane), określić je jako „prowokacyjne”. Terlecki swym przewodniczeniem na tym pamiętnym zebraniu dał nie tylko przykład nietaktu i niezręczności, lecz popełnił jeszcze jeden z najcięższych u pisarza grzechów: grzech skąpego serca. Nowakowskiemu zaś sumienie publicysty pozwoliło wydać wyrok „prowokacji” na słowo uczciwego człowieka, rzetelnego pisarza, niesplamionego służalczą i zmienianiem poglądów dla materialnego zysku, których to słów nie słyszał i nie mógł dokładnie znać. Ów stempel „prowokacji” tak lekkomyślnie na nie nałożony, obraża tych wszystkich którzy z radością i przekonaniem oklaskiwali koleżeńskie pozdrowienie złożone przez Rusinka jego kolegom po piórze na emigracji. Gdyby Z. Nowakowski był na tym zebraniu, słysząc te brawa, patrząc na ten spontaniczny wybuch entuzjazmu, nigdy by — mam nadzieję — swego nieśczęsnego określenia nie użył.

Felieton Z. Nowakowskiego ukazał się na łamach londyńskiego „Dziennika Polskiego”, pisma w którym J. Kowalewski określił (10.8.56) Marię Dąbrowską, najznakomitszą współczesną polską powieściopisarkę, działaczkę społeczną zasługującą na najwyższy szacunek za odwagę cywilną i bezkompromisowość, jako „reprezentantkę reżymowej organizacji”. Nowakowskiego mógł ponieść temperament publicystyczny, wątpię jednak by dumny był z sąsiedzowania na łamach wspomnianego pisma z tak dojrzałym myślicielem i tak subtelnym stylistą jak J. Kowalewski.

„Dziennik Polski”, który drukuje felieton Nowakowskiego, występujący przeciw wszelkim próbom ogłoszenia w kraju jakichkolwiek utworów pisarzy emigracyjnych, jest — formalnie przynajmniej — kontrolowany przez Komitet Powierniczy, składający się z A. Bogusławskiego, St. Balińskiego, J. Sakowskiego i W. Czerwińskiego. Otóż „Życie Warszawy”, pismo często i gęsto cytowane przez „Dziennik Polski” w różnych wypadkach, a w tym jednym właśnie przemilczane, ogłosiło felieton A. Słonimskiego zapowiadający ukazanie się w Polsce obszernej wyboru wierszy St. Balińskiego. Tę samą informację, uzupełnioną szczegółami projektowanego wydawnictwa, podały audycje radia warszawskiego. Jak dotąd, na łamach „Dzien-

nika" nie ukazało się żadne oświadczenie Komitetu Powierniczego, zaprzeczające tej wiadomości.

St. Baliński jest znakomitym poetą, a jego utwory, będąc istotną częścią naszej kultury narodowej winny być udostępnione polskiemu społeczeństwu bez czekania — jak sądzę — na zgon autora, jak to się stało jeśli idzie o spuściznę literacką Lechonia. Takie wiersze Balińskiego jak „Kolęda Warszawska 1939", „Wizja ghetta", „Smutny młodzieniec" należą już dziś do wstrząsających arcydzieł liryki polskiej powstałych w dniach wojny. Jeżeli je można przekazać całemu narodowi, byłoby poważną odpowiedzialnością zamykać je w naszej angielskiej szkatułce, z chwilą gdy zjawi się możliwość ich druku w Polsce. Nie chodzi tu więc o sprzeciw wobec projektu ukazania się takiego zbioru w kraju (to zostawiamy tym, którzy w idealnych nawet warunkach niczego nie będą mieć do ogłoszenia po swych jałowych latach, spędzonych na rzucaniu się z jednej kalumnii w drugą). Chodzi o to, że na łamach niektórych organów prasy emigracyjnej mamy do czynienia ze swoistą — jak widać — niby to katońską, skargowską moralnością holdującą w rzeczywistości zasadzie: „Niech nie wie prawica, co czyni lewica". Tę metodę, nie cofającą się równocześnie przed jawnym głoszeniem hasła konieczności sterroryzowania opinii publicznej na emigracji, trzeba ujawnić właśnie w imię publicznej służby.

Zdzisław BRONCEL

Postscriptum. — Temat obecności Rusinka na zebraniu, urządzonym przez Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie, przesłonił inne sprawy związane ze wspomnianym obiadem literackim. Trzeba więc przypomnieć, że jednym z gości honorowych był prof. Wiktor Weintraub, wykładowca historii literatury polskiej na uniwersytecie harwardzkim w Cambridge w Stanach Zjednoczonych, autor pierwszej w języku angielskim monografii o poezji Mickiewicza, napisanej z wielką świeżością spojrzenia na wartości i błędy tej imponującej swą linią rozwojową twórczości. W roku mickiewiczowskim Związek winien był poświęcić tak wybitnemu gościowi osobne zebranie, które dałoby sposobność do dyskusji nad poetyką Mickiewicza, nad współczesnym odczuwaniem jego utworów. Połączenie tego z wieczorem na cześć Wierzyńskiego — słusznie mu zresztą należnym — nie było właściwym rozwiązaniem; nie było też konieczne wobec kilkumiesięcznego pobytu prof. Weintrauba w Wielkiej Brytanii, gdzie pracuje on nad studium o mistyce Mickiewicza. Ale i tu emigracyjna małość i zawiść potrafiła znaleźć swoje drogi.

Jan Olechowski

Dzień zaczynało się dość wcześnie. Ulice zatopione były jeszcze w cieniu, ale w trattoriach i fiaschetteriach między Porta Pinciana a Via Sistina podawano już wermuty z beczki. Nazywano je tam assenzio albo absinthito, tak jak za Cezara i Cicerona. Błędem jest mniemać, że dobry wermut musi pochodzić z Turynu. Absintiathum jest starsze niż Turyn i wędrowało w ciągu wieków z południa na północ. Rzymskie assenzio beczkowe po dziś dzień rodzi się w Apulii, w Sansevero i Locorotondo. Dnia zaczynać nie uchodzi winem wytrawnym; rankiem trzeba pić rzeczy albo gorzkie albo słodkie, jeśli się pragnie zachować sprawność gardła i umysłu na resztę dnia.

Przy wermutach najstosowniej pisać, ale z tym koniecznym warunkiem, żeby będąc w kompanii sięść z dala od siebie, wspólnym przechwalaniem smaku czasu nie oszukując i nie mitrząc.

W wierszach dwu zbiorów wydanych pod tytułami: „Prostą jak sosna wyrosnąc" i „Chwila nocna" autorstwa Jana Olechowskiego płynnie przeważnie rzymski wermut, nazywany gdzie indziej również aperitiwem, a dawnymi czasy absyntem. Otóż w rzymskie ranki powstawały wiersze Olechowskiego. Pisał je, głośno sobie przepowiadając gotowe strofy, ale byle pozór mógł go od wierszy oderwać. W Rzymie szkoda było każdej chwili życia, nawet na pisanie wierszy. Przeto Janek na pierwszy lepszy znak składał ochocho we czworo arkusik listowy, na którym zaczął wiersz, po kilkudziesięciu najwyżej minutach medytowania i pisania, co oznaczało, że na dzisiaj pracy dosyć i trzeba trochę odetchnąć. Pora na codzienną passeggiatę.

Każde dziecko wie, że Via Sistina prowadzi ku Trinità dei Monti i na Plac Hiszpański, a tu już cały Rzym pod ręką: i włoski, i polski, i powszechny: pałac królowej Marysienki, kościół zmartwychwstańców, Café Greco, schody wydeptane stopami Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Norwida, poetów angielskich, francuskich, niemieckich, hiszpańskich. Na prawym skrzydle Placu Hiszpańskiego stoi dom Keatsa i Shelleya, lewym biegnie Aleja Mickiewicza; Schody Hiszpańskie bratają poetów wszystkich narodów. U stóp Schodów fontanna Berniniego, jak kastylijskie źródło poetów całego świata. Jakże by można pomyśleć, aby tymi schodami nie pomykał co dnia zakochany w Rzymie polski poeta? Łatwo rzecz: pomykał. Bo na schodach aż gęsto od rzymskości! Trzeba więc co krok przystawać i patrzeć na kwiaty, jakich nie ma nigdzie na świecie, i na fanciulle, jakich także gdzie indziej nie usłyszysz, wszyst-

ko jedno czy strojne wykwintnisie, wypieszczone jak owoce ciepłarniane, czy dziczki-li tylko.

Zatem wolno się szło w dół po schodach ku siostrzanym ulicom, biegnącym od Placu Hiszpańskiego ku Corso, a otwierającym sezamy kuchen i piwnic. Święte prawo mezzogiorna nakazywało strudzonym pielgrzymom zasiąść do stołu zastawionego skromnie, ale pożywnie. Kończyło się zwykle na Via della Croce, słynnej z najlepszych makaronów. Mniejsza zresztą o capellini in brodo, fettucine i tagliatelle. Główne znaczenie pasty, nie wiadomo dlaczego po świecie nazywanej makaronem, polega na tym, że toruje ona znakomicie drogę winu. Rzymskie cannellino, które od wieków broni się skutecznie wywożeniu poza Rzym, tym się odznacza, że nawet w pozorniejszej ilości nie wysusza gardła. Tedy Castelli Romani, zwłaszcza jeśli z Vellettri albo Grottaferrata, podnosiły ducha na dalszą wędrówkę po Rzymie.

Pojadając makaron Janek lubiał wspominać pobyt w Rosji, w obozach, w więzieniach i na wolności, już w wojsku. Smaczne opisy kończył nieodmiennie westchnieniem: „Jaka szkoda, że ciebie tam nie było! To kraj!”

Przed słońcem najlepiej się schronić w ciasne uliczki między Tybrem a Corso, gdzie kiedyś rozciągało się Pole Marsowe. Olechowski rozkoszował się wólczegą, a raczej błędzeniem. Pociągały go nie tylko nowoczesne corsa i starożytne fora, ale także zaułki bez wieku, ślepe ulice, podwórka, nieznane trattorie, nory i spelunki, wszystko, co miało posmak nowości i tajemniczości. W okolicy Via di Ripetta i Scrofa koło Panteonu, w arbeskach i płataninie podwórek, placyków i przesmyków odkrywał się codziennie coś nowego, jakby zabłąkane i zapóźnione cienie z czasów cesarów, no i jeśli upał gęstniał lub powiał rzeźki wiaterek, trzeba było, rozumie się, sięgnąć po kubek napitku bez nazwy, o smakowitości niespotykanej poza tymi ciałninami.

Kiedy już słońce przebijało okna Kolosseum i Cyrku Największego, wchodziło się na Kapitol, skąd Rzym widać w ramach ze złota, a potem na forum, bo forum ożywa zawsze o zachodzie. Przyjrząwszy się o zmierzchu uważnie rzymiankom na Via Nazionale (a co wieczór wszystkie piękności wychodzą z ram portretów rzymskich galerij na ulice), należało powitać wieczór. Gdzie? Oczywiście, na Piazza Navona. Fontanny już plotkowały, a ludzie zazdrościli studniom sytości. I tak nalykawszy się bursztynowego „Est-est-est” wolno i dostojnie zmierzzało się zakosztować miłego chłodu do fontanny Trevi, i dalej kręta jak los linią ulic del Tritone i Vittorio Veneto do Pincio, aby pochwalić nową noc życia. Tu zawsze był kres rzymskich dni i nocy.

Piazza del Popolo, jak pierścień na palcu ulicy Cola di Rienzi, lśnił w dole swymi kamieniami, a Rzym pod mieczem

Anioła oddychał niebieską mgłą. Nocą w Pincio powstawały pomysły wierszy Olechowskiego, z refleksji zebranych w ciągu długiego dnia i z tej mgły błękitnej.

*Gdy Rzym, jak ołtarz ofiarny
W błękitnych dymach utonie,
A wieże wzniosą błagalnie
Ku niebu kamienne dłonie —*

*Gdy drzewa w Pincio najcichsze
Przytlumią bijące serce,
Bóg jest chyba najbliżej —
Posłuchaj. W drzewach szepce.*

Nic by pozornie nie wróżyło nastrojów, myśli i wierszy religijnych po dniach spędzonych w sposób opisany, zwłaszcza że nie starożytność tylko i nie miłość sztuki wyłącznie były celem włóczęg poetyckich. A jednak niemal cała twórczość Jana Olechowskiego jest, najprościej mówiąc, modlitewna.

Zwykli ludzie widzą świat w kolorach, poeci widzą go w tęczy. Toteż w duszach poetyckich wszystkie przedmioty i zjawiska są rozszczerzone i złożone. Poeta nie uznaje określonych granic rzeczy. Dlatego obraz poetycki i środki wyrazu, a zwłaszcza metafora, są zwykle tak trudne do uchwycenia dla czytelników, zwyczajnych nazywania rzeczy po imieniu i odróżniania poszczególnych barw, linii, kształtów i przedmiotów. Poeci patrzą na świat przez kryształ rozszczerpiający kolory. Żadnej rzeczy, ani żadnej sprawy nie widzą prosto, w jednym kolorze, w jaskrawych konturach. To poetyckie widzenie dotyczy także postępowania. Życie i czyny poetów bywają zwyczajnie dziwne, niepojęte, zagadkowe. Poczytuje się to za chwiejność i giętkość, w rzeczywistości jest to niepewność, wynikająca z tęczowego widzenia rzeczy. Twierdzenie, że jakiś z poetów żył tak jak pisał, da się zastosować tylko do bardzo nielicznych wyjątków, a opiera się przeważnie na niedostatecznej znajomości żywotów.

Jan Olechowski nie patrzył na życie po katońsku. Wiódł je na sposób cygański. Nie dbał nigdy o strój, ni o to, co będzie jadł jutro i skąd weźmie na to środki. Miłował wólczegę, beztroskę, kompanię, biesiadę. Był ciekaw wszystkich smaków życia, niczym win włoskich. Nie umiał stawiać sobie granic w upajaniu się urodą świata. Padł też ofiarą tej pasji, za gorącej jak na wątle ciało.

Za największe piękno poczytywał świat dotykany zmysłami, za największe dobro — życie, za prawdę... Prawdy Olechowski na własną rękę nie dociekał. Wielbiąc stworzenie i chwalać życie był głęboko wierzącym, a prawda dla wierzących jest objawiona. Poeci zachwyty nad życiem, rozmiłowani w urodzie świata, są duszami naturalnie chrześcijańskimi. Kto bowiem chwali stworzenie, ten wielbi Boga, który, wedle Pisma, przyrzawszy się stworzonemu światu uznał go za dobry. A ziemia

to wszak jedna z doskonałych prowincji Bożych. Dlatego święci piękno i dobro dostrzegają w każdej rzeczy na tym świecie, nawet najbardziej nędznej, więc i w cierpieniu. Złem jest tylko to, co zakłóca przyrodzony porządek. Kto nie pojmuje piękności stworzonego świata, może mieć zawód także i w niebie.

Olechowski tak bardzo kochał życie, że radość czerpał nawet w złych losach, a każdy smutek i nieszczęście traktował jak przelotną chmurę. Umierał w strasznych cierpieniach nerek, nie skarżąc się ani słowem. Gdy stanął na rozstaju dróg po skończonej wojnie, taki zakreślał program na „Przyszłość”:

*Może przyjdzie wszystko zapomnieć,
Nawet bajki z dziecińczych lat —
Byle tylko utrzymać w dłoni
Gałąź życia, którą wstrząsa płacz.*

*Ale miłość z lirycznych nut
W ustach naszych, w oczach zostanie.
Tylko mi się już nie smuć, nie smuć,
Cyraneczko miła, kochanie.*

A oto wiersz z czasów włoskich pod tytułem „Nadzieja”:

*Smutek na twarzach zamiera,
Jak ryte w kamieniu męstwo
I dzień się świtem otwiera
Po dniach naznaczonych klęską.*

*To pyszna ziemską uroda
Chwyta cię w kształty i barwy —
Biją w wiosennych ogrodach
Pąków zielone salwy.*

*Próżno się schylasz na chwilę,
Gdzie śmierci zastygłe znaki —
Już płyną drżące motyle,
Już dzwonią na alarm płaki.*

*I już cię wiedzie za rękę
Puszystej łąki pogoda —
Byś ujrzał samotną rzekę
Wyciągającą ramiona —*

*Gdzie niebo wolno odslania
Przez powłóczyście gwiazdy
Twarz dalekiego wezwania
W wieczór gasnący i jasny...*

*Byś wtędy zrozumiał klęcząc
U brzegu leśnych strumieni
Kwiaty, co ploną i szepcą:
„Życie jest szumem nadziei”...*

Beztroska poety nie płynęła tedy z lekkomyślności, ale z przekonania o słuszności takiego ujmowania życia. Mimo swego talentu i dużych zdolności, nie traktował nigdy poważnie ani swych studiów ani twórczości. Nie celebrował swojej osobistości, co tak często zdarza się poetom, nie układał rysów twarzy w grymas tajemniczej zadumy. Był skromnym po franciszkańsku, chociaż jego dorobek pisarski, w poezji, prozie i publicystyce, jest okazały. Obok wierszy rozproszonych w antologiach i czasopiśmie, po Olechowskim pozostały dwa tomiki poetyckie: „Prostą jak sosna wyrosnąć”, wydany w „Bibliotece Orła Białego” w Rzymie, roku 1944, i „Chwila nocna” („Oficyjna Poetów i Malarzy”, Londyn 1950), powieść osnuta na przeżyciach w Rosji, drukowana w odcinkach londyńskiego „Tygodnika Ilustrowanego” w roku 1949 (pod pseudonimem St. Korczeń), liczne artykuły o tematyce literackiej i politycznej. Olechowski znany był jako świetny recytator. Mógł mówić wiersze godzinami, ale nigdy nie mówił swoich własnych.

Po tym wszystkim co się rzekło, nie trzeba jednak sądzić, aby to był człowiek płochy. Cechowała go wiara i wierność. Gdy Janek raz się do kogoś przywiązał, gdy raz coś pokochał, żadna siła nie mogła skruszyć jego miłości i przyjaźni. Do końca życia pozostał ślepo wierny swoim studenckim ideałom narodoworadykalnym (jako student w Warszawie należał do grupy literackiej, zorganizowanej przez młodego muzyka Bronisława Kopczyńskiego, wydającej czasopismo poetyckie dla robotników pn. „W natarciu”), posiadał licznych, czasem dość dziwacznych przyjaciół, ze wzruszeniem wspominał nawet Rosjan, którzy mu w więzieniach i obozach okazali serce, nawet jeśli byli to funkcjonariusze NKWD, wierny był swej wielkiej przygodzie życia — wojaczce i towarzyskom broni, wszystkim swym przeżyciom i wzruszeniom. Nikt piękniej i serdeczniej nie umiał pamiętać — wędrowki po Rzymie to były codzienne odwiedziny przyjaciół. Poezja Olechowskiego jest manifestem przyjaźni i miłości. Wyznał w niej po wielokroć miłość matki, siostry, żony i synka. Należał szczęśliwie do pokolenia, które nie miało na pokaz uczuć patriotycznych. Wiara wreszcie sprawiła, że poezja Olechowskiego jest religijna, a wiersz „Modlitwa” sięga wyżyn współczesnej polskiej liryki religijnej.

Urodził się w Związkach, na Ukrainie w roku 1917, zmarł w wieku 39 lat w Nowym Jorku. Stracił ojca w dzieciństwie. Wychowała go matka, nauczycielka w Lublinie, później w jakimś miasteczku w Górach Świętokrzyskich. Góry Świętokrzyskie są w poezji Olechowskiego synonimem rajów.

*Pozwól mi w nocie podobne,
Gdy wieczność schyla się nisko,
Słyszeć jak modlą się sosny
Na stokach Gór Świętokrzyskich.*

Studiował polonistykę w Warszawie, kontynuując studia

po wojnie i rozszerzając je o rusycystykę w uniwersytetach rzymskim i londyńskim. Ostatnie lata życia spędził jako dziennikarz w radio Wolnej Europy w Nowym Jorku. Już w październiku 1939 został aresztowany i wywieziony do Rosji. Spędził dwa lata w więzieniach i obozach koncentracyjnych pod Archangielskiem. Z armią wydostał się z Rosji na Środkowy Wschód. Brał udział w kampanii włoskiej 2 Korpusu, w stopniu podchorążego, jako żołnierz 2 Brygady Karpackiej. Bywał na froncie, ale nie zaniedbywał żadnej okazji, aby pisać do periodyków 2 Korpusu, zwłaszcza do „Orla Białego”. Wolał pióro od karabina.

Na poezji znał się doskonale. Żył nią i wielił poezję podobnie jak życie. Nie trzeba było zbytnio nalegać, aby zaczął wielogodzinne recytacje wierszy Gałczyńskiego, Lechonia, Zawistowskiej, a także Błoka, Jesienina i Majakowskiego, w oryginalne i polskich przekładach, znał też i deklamował wiersze francuskie, ale szczególną, rzec by można braterską, miłością darzył Gałczyńskiego. Wydany w Rzymie w „Bibliotece Orła Białego” zbiorek przedwojennych i wojennych wierszy Konstantego Ildefonsa składa się w znacznej części z tekstów zapamiętanych i dlatego też „wyszlifowanych” przez Olechowskiego. Gałczyński był dla niego księgą poetyckiej mądrości. Cytował go w różnych okolicznościach życiowych i spopularyzował szeroko wśród szarych szeregów 2 Korpusu. Podchorąży Olechowski był na Wschodzie i w Italii chorążym polskiej poezji.

Strażnicy więzień sowieckich wzywali Olechowskiego w wolnych od zajęć chwilach na recytatorskie biesiady i lali łyż nad „Listem znad rzeki Limpopo”, nad zieloną Natalią, nad Kirą tancerką i dolą srebrnego Konstantego. Zdolności recytatorskie Janka były kluczem do wielu serc. Przyznawał, że ten dar osładzał mu nieraz życie w łagrach i więzieniach.

Mówił zaś wiersze jak wirtuoz, z niezwykłą umiejętnością ewokacji obrazów, kształtów, dźwięków i barw. Mówił je twardo, prosto, z naciskiem, niemal rozkazująco, tak że w czasie recytacji miękli najwięksi sceptycy. Liryce przywracał męskość, uczuciom godność. Praktykował poezję w życiu, porywał ku niej siłą przekonania.

Jaka jest poezja Olechowskiego?

Był on, jak się rzekło, zbyt zakochany w życiu, aby się nałamywać do ciężkich i wytrwałych wysiłków. Toteż był zaprzeczeniem rady klasycznej polerowania wierszy manu diurna ac nocturna. Pisał dość łatwo, ale wiersze dojrzewały w nim długo. Nie rozmazywał się lirycznie i nie uprawiał poetyckiej kokieterii. Każdy jego wiersz był dojrzałym owocem procesu poetyckiego. Czy były to owoce dobre, to już sprawa smaku; w każdym razie nie były podrabiane. Poezja Jana Olechowskiego jest refleksyjna i retoryczna, w formie prosta i oszczędna. O jej rzetelności świadczy niemal zupełna wolność od wyrażnych wpływów. Mimo zamiłowania do wielu poetów i niezwykle chłonny

pamięci, Olechowski wsłuchiwał się tylko we własne rytmy, zapatrzony był we własne wizje i wierny własnym refleksjom.

Był ulubionym poetą żołnierzy, ściślej mówiąc 2 Korpusu, dzięki walorom swej poezji: smutnej lecz nie łzawej, retorycznej, lecz nie deklamatorskiej, religijnej, lecz nie dewocyjnej, szlachetnie lirycznej, lecz skupionej, mocnej, męskiej. Poezja jest istotnie najwierniejszą towarzyszką żołnierza, bo trud żołnierza i treść jego przeżyć zmierzyć i pojąć potrafią tylko poeci. Nie ma dla tamtych spraw lepszego niż poetycki język. Miłość przygody, lekceważenie złego losu i cierpienia, wierność wreszcie sprawiły, że Jan Olechowski stał się ulubionym poetą żołnierzy.

Cóż, słowa się powtarzają, tak jak i ludzkie przymioty, ale trudno Jana Olechowskiego nazwać inaczej niż poetą wiernym.

W ostatnich tygodniach pobytu w Rzymie coś nam raz strzeliło do głowy, aby wspólnie z Olechowskimi, którzy już wtedy spodziewali się potomka, przeczytać „Pana Tadeusza”. Czytanie „Epilogu” przypadło w udziale niżej podpisanemu. Z początku szło jako tako, ale rychło zaczęło mnie ścisnąć w gardle. Wtedy Nina wybuchnęła płaczem a Janek, „jak trup błady”, wstał z krzesła i oświadczył: „No to zbióreczka na nową butelkę”. Taki to był człowiek: nie znośił smutku ni rozpaczy. Polak.

Jan BIELATOWICZ

Z PAPIERÓW POSMIERTNYCH POETY

W papierach pozostałych po śp. Janie Olechowskim pozostał jeden wiersz, który przypuszczalnie nie był dotąd nigdzie drukowany.

WIECZÓR W KENSINGTONIE

*Ten wieczór w Kensingtonie spokojnych nocy nie wróży,
Ani świtów różowych, jak senne ramiona żony.
Czoło nieba brwi ciemne na horyzoncie chmurzy
I drzew gałęzie opadły ruchem dłoni zmęczonych.*

*Pejzaż jest nieruchomy. Zachodzące zorze
Rozwierają nad miastem obojętne płótno,
Ukazując daleko — w kształcie i kolorze
Urodę niedościgłą, tęsknotę okrutną.*

*Wtedy rozumiesz, bliska, że to nie zwykła troska,
Skryste łzy nasze w muszle pocałunków składa,
Gdy w nagłym skurczu żalu czujemy, jak rozpacz
Krokiem nocnym, zwierzęcym do serca się skrada.*

O NAGROBEK DLA POETY

Zwłoki śp. Jana Olechowskiego zostały złożone na St. Charles Cemetery, parafii Brooklyn, w pobliżu Farmingdale, na Long Island. Działka, na której je pochowano, należy do kategorii najuboższych. Nie wolno na niej stawiać nagrobków, lecz tylko kamień rozpoznawczy, to jest małą płytkę z różowego granitu. Na płytce wolno umieścić tylko nazwisko, bez imienia.

Postawienie nagrobka z pełnym imieniem i nazwiskiem oraz napisem trzywyrazowym wymaga przeniesienia szczątków na inne miejsce, droższej kategorii. Koszt przeniesienia zwłok i postawienia nagrobka wynosi w przybliżeniu 1.000 dolarów. Nieestety, P. Nina Olechowska nie rozporządza tak dużą sumą. Mogłaby zdobyć najwyżej jej połowę.

Wydaje się nam, że przyjaciele poety, których za życia miał tak wielu, powinni pośpieszyć z pomocą wdowie i przesłać na nagrobek dla Jana Olechowskiego choćby drobne kwoty do redakcji „Kultury”. Na ten cel otwieramy zbiórkę.

REDAKCJA

Książki

Rzeczywistość widzialna

Rzadko kiedy udaje się poecie pisać tak jak chciałby pisać. Rzadko kiedy zdaje sobie sprawę że pisze inaczej niż myśli że pisze. Wyobraźnia, zaalarmowana wzruszeniem, oddaje mu do dyspozycji cały zasób posiadanego materiału: słowa-znaczenia, słowa-dźwięki i słowa-rytmy. Do niego należy organizowanie i zwieranie elementów, do niego należy wbudowanie w wiersz wektora, który zmusi wyobraźnię czytelnika do pójścia tą a nie inną ścieżką wzruszenia. Rzecz jasna że proces ten nie może być wyrachowany, a wiersz nie zabrzmi czysto i nie dotrze głęboko, jeżeli budując go, poeta obliczał wysokość płomienia, bądź też wazył na miligramy ilość aliteracji.

Po to, aby poezja była poezją, a nie rymowaną ładnością, lub retoryką, niezbędna jest odwaga wypuszczenia w pewnej chwili cugli wiersza, potrzebne jest ryzykanckie przymknięcie oczu nad brzegiem przepaści, aby słowa, wolne od czujności twórcy i jego drobiazgowej opieki, poniosły wiersz w wymiar poza codzienny, w meta-fizykę, w meta-logikę. Nie treść, chociażby najciekawsza, wyprowadza czytelnika poza bramy powszedniości, ale słowo gorejące, ludzkie czy przeciwludzkie. Reszta jest literaturą i wyręczaniem historyków czy pamiętnikarzy.

Dwóch poetów, pośród naszych pisarzy, rozumie pierwszorzędną rolę słowa: Gombrowicz i Przybóś. Gombrowicz nie pisze tak zwanych książek do czytania, ale idzie słowami, żyje słowami i męczy się słowami. Jak ów Józef K. z „Procesu” Kafki, świadom jest swego „aresztowania”. Żyje osaczony własnym, zżeranym przez swą myśl człowieczeństwem. Kiedy pod koniec „Transatlantyku” huczy jego mowa, wiemy że to już nie autor opisuje zamierzone treści, ale że słowo przejęło władzę i panuje. I wrywa Gombrowicza Gombrowiczowi, otwiera go i patroszy z sensu i z najprawdziwszego bezsensu. Triumf twórcy niszczącego świat i siebie, aby słowa żyły.

O ile patronem Gombrowicza jest niewątpliwie ów „Aniol lewy”, burzyciel tradycyjnej rzeczywistości, o tyle natchnieniem Przybosia jest rzeczywistość. Rzeczywistość pojmowana nowocześnie. Możemy się o tym przekonać raz jeszcze, czytając nowy tom Przybosia, „Najmniej słów” (*).

Jest to zbiór liryków, nazwanych bądź wierszami, bądź, skromnie, „materiałami poetyckimi”. Nieomal cały pisany jest w pierwszej osobie. Poeta, przewodnik po naturze, stara się nam ukazać coraz to inną rzecz ziemi, coraz to inne sprawy ludzi.

Wierność rzeczom, które się dzieją wokół twórcy, rozwija w jego poetyce typ *wiersza okolicznościowego*. Powie ktoś, że wszystko na świecie jest okolicznością. Tak, ale pośród gęstwy zjawisk, małych i wielkich, banalnych i nadzwyczajnych, pisarz musi umieć wybierać. Inaczej jest jak ów rybak zachłannie opróżniający sieć. Poeta musi umieć gardzić płotką wzruszenia.

Wspominam o tym dlatego, ponieważ obok wierszy świetnych i odkrywczych tom Przybosia zawiera też widokówkę. Widokówki, gdyż błahе doznanie poety pozostaje błahą widokówką nawet wtenczas, jeśli poeta utrwalił je w zwartej, nowoczesnej formie. Zdarza się, niestety, że i forma jest oleodrukowa, jak np. „A widziałeś ty snopowiązałkę — kombajn? / To maszyna ogromna — okara! / Siecze, wiąże, orze, sieje, siecze... i tak wkoło”. („List do brata na wieś”, str. 69). Podobnie w innym wierszu („Wiosna 1953”), gdzie czytamy:

.....
*To tu dawna, malowana sielskość;
 to, co drewniane, stare,
 pęka od naszego śmiechu!
 Tu przepada zmora wyspiańska
 na weselu miasta na wsi
 we dworze przeczarowanym w szkole.
 Chłopskie dzieci patrzą przez okno błękitnie...*

*W miejsce chałup z chocholem: strzecha,
 m u r o w a n e czeka na tego który wapno gasi
 i na nasz napis al fresco:*

*„Ogrodniczo-kwiaciarską
 spółdzielnię
 imienia
 Jasia i Kasi”.*

(„Wiosna 1953”, str. 80)

W miejsce „dawnej, malowanej sielskości”, zamiast aby ją zniszczyć czymś *nowym*, Przyboś wymalowuje, raz jeszcze, błękitny widoczek i kto wie czy nie ekliwsiży od tamtych à la Rydel...

(*) Wydawnictwo Literackie, Kraków, 1955, str. 214.

Tu dotykamy już nie tyle warsztatu, ile pewnego rysu osobowości pisarskiej Przybosia, jego optymizmu. Nie zdając sobie z tego sprawy, poeta współżyje z największym wrogiem swojej liryki. Jest to optymizm człowieka, dla którego świat iskrzy się od słońca, szumi zieleniami i dzwoni od tanecznych kroków młodzieży i dzieci. Tak, trzeba o tym powiedzieć, Przyboś, poeta bezkompromisowy, najnowocześniejszy poeta polski, patrzy na świat zbyt łagodnie. Potrafił jak nikt inny pośród poetów bić się o prawo do eksperymentowania, jak nikt inny mówić prawdę w oczy lakiernikom socrealizmu — ale kiedy sięga po pióro, natychmiast otacza go tęcza i wszystkie uroki wsi. Świat staje się wówczas powolnym jego wizji terrarium, nad którym pochyla się, aby przedstawiać drzewa, odwracać obłoki, wytaczać słońca na wzgórze, lub zawiesić na niebie samolot, „klucz wiolinowy dali”. Jak sam o tym pisze, staje się „bibliografem czterech stron świata”.

Nie bierzemy, rzecz jasna, za złe poecie umiejętności cieszenia się wszystkim. Radość życia jak i dar miłości może pobudzić twórcę do napisania rzeczy wielkich, niezbędny jest jednak jakiś filtr, dzięki któremu czytelnik otrzyma tylko profil szczęścia, które rozpiętało pierś poety. Reszta musi być milczeniem.

Być może iż Przyboś zdaje sobie jednak sprawę z optymistycznego tonu swoich wierszy, skoro w „Objaśnieniach”, będących zwięzłymi rozprawami na temat poezji, tak definiuje liryzm. „Liryzm jest to poryw ku wszechludzkiemu szczęściu utrwalony w słowie”. Jest to definicja, która nie obejmuje niestety poetów tej miary do Lautréamont, Rimbaud, czy Baudelaire...

A kiedy, na końcu rozdziału, dodaje iż „poeta zwrócić się musi nieraz — całą siłą swojego porywu ku szczęściu — przeciw tym, których dziełem jest nieszczęście drugich” zaczynamy się obawiać czy to przypadkiem nie czas kultu wąsatej jednostki wpłynął na ten czarno-biały podział „porywu ku szczęściu”...

Skoro już widzieliśmy czemu ulega Przyboś, zobaczymy z kolei w czym celuje, w czym osiąga niezaprzeczną przewagę nad współczesnymi poetami polskimi.

Tak jak są poeci *rozumujący świat*, i lirycznie lub retorycznie komentujący złożoność jego zjawisk i zagadnień — tak też istniejący *poeci widzący*. Okiem ich wizji jest metafora. Przeciwnicy metafory, najczęściej poeci należący do pierwszej z wymienionych kategorii, nie doceniają (*et pour cause!*) owego mechanizmu w umyśle poety, tego gromnika, wznoszonego naraz z powierzchni słów i ściągającego na wyobraźnię najwyższe niebios a nagłej radości i mrużącego szczęściem olśnienia. Jak pisze Przyboś:

... I patrz! Pierwszy grad — burza w pękach!

Zamiast dawać liczby proste i wymierne, łatwo sprawdzalne, społecznie sprawdzalne — poeta metafory umie w jednej chwili

podnieść do n-tej potęgi nasze dotychczasowe wzruszenie, potrafi jednym ruchem składni odtrącić oklepaną, euklidesową przestrzeń naszego widzenia i nauczyć nas przed chwilą jeszcze nieznanego ładu świata i uczuć.

NOC MAJOWA

*Z głębi snu wyniósł mnie na powierzchnię jawy
jakby oddech — niczyj a ogromny.*

*Gwiazdka stała nad ruiną Warszawy
jak najwyższy, najniższy pomnik.*

*Oddychała odrodzona zieleń,
dźwięk był tkliwy i nikły.*

*Nam, którzyśmy ich śmierć zamilczeli,
śpiewał słowik — z ich ciszy odmilkły.*

1945 (str. 15)

Utwór ten nie jest zbudowany według wzoru dwa a dwa daje cztery, a pomimo to tak bardzo godzimy się z jego głosem, tak bardzo dowierzamy wielkiemu śpiewowi polskiego poety. Osiem kruchych linijek ma w sobie siłę dzwonu, co głosem drżącym, jak od płaczu po przyjaciółach, zwiastuje odradzanie się zieleni i śpiewu. Wiosnę wolności.

Tyle samo czułości i poetyckiego mistrzostwa zawiera inny wiersz zbioru :

SIEROTKA

*Boi się — jak w czasie nalotu. Aby zaciemnić pokój —
odwróciła do ściany lustro
i — bezradna — palcem tak chudym, że zmasałaby nim
światło ze szyby —
kostką palca stukła w moje okno.*

(str. 116)

W przeciwieństwie do wspomnianych już poetów *rozumujących świat*, bądź pacykujących go poezją, Przyboś nie odpisał z życia mniej lub bardziej trafnych gestów sieroty, ale stworzył ją, każąc jej zachowywać się trafniej i prawdziwiej niż w *rzeczywistości*. Sierotka Przybosia odprawia symboliczne gesty powszechnego sieroctwa. Utwór potwierdza raz jeszcze możliwość i konieczność zastępowania rzeczywistości sztuką.

Przyboś jest reformatorem naszej liryki. Każdy ruch poetycki, zwłaszcza w okresie burzy i naporu, przynosi lub przynajmniej zapowiada reformę. Takim ruchem była też Awangarda. Dzięki niej nasi poeci dowiedzieli się nareszcie, że można nie tylko krzyczeć, mając głowę okręconą sztandarem, że można nie tylko publicznie skakać przez sznurek, dlatego że wiosna — ale

że można też spojrzeć na spięcia słów jako na cel operacji twórczej.

Dowiedzieli się że „układanie pięknych zdań” wybiegać może daleko poza literaturę, przebijając niekiedy pułap, gdzie bytuja zjawiska, „o których nie śniło się filozofom”.

Przełożyłem niedawno kilka wierszy Przybosia na francuski, miałem więc sposobność czytać tę poezję w jaskrawym świetle warsztatu i ważyć ją, słowo po słowie, mając na dnie myśli utajoną obawę : co też o niej powiedzą tutaj ? Jak uchwyci tutejszy grunt, przebrana w strój zachodni ? Są to stałe troski tłumacza pragnącego aby podróż z mowy do mowy, którą organizuje nie umniejszając w niczym rzetelnego blasku zjeżdżającej w gości dalekiej poezji.

Pośród wybranych przeze mnie wierszy znajduje się utwór, który Przyboś nazwał „materiałami do nie napisanego wiersza o „Fontannie Aretuzy” Szymanowskiego”.

Tak jak zwiędzający pracownię malarza prosi o szkic, „rzucony na gorąco”, tak i ja wybrałem spośród materiałów Poety skromną ćwiartkę papieru, z której można odczytać jeden z najtrwalszych wierszy naszej poezji współczesnej.

*

Diamant rysujący sen : jawa rozprysnęła się na dźwięki.

*

*Roziskryzone nikiwienie w szklawie, drążonym na głębokość
oddechu — jak chwycić powietrze?*

*

Źródło — przeciwbijące we mnie.

*

Srebrny strumień płynący złotem pod swój prąd.

*

W ciszy słowa — wirujący diament : odmiennia milczenia.

*

odcisnąć usta w diamencie : nazwać.

(str. 181)

Przyboś — poeta nie schlebający „szerokim rzeszom czytelników”. Przyboś — kartograf wyobraźni, nanoszący niestrudzenie wciąż nowe barwy na pożółkłe obszary poetyckiego świata Polaków.

Marian PANKOWSKI

“Ostatnie utwory” Pawlikowskiej

Wydany niedawno przez Oficynę Poetów i Malarzy w Londynie tom pośmiertny ostatnich utworów Marii Pawlikowskiej, powstałych w Anglii podczas ostatniej wojny, nie spełnia nadziei, jaką można było pokładać w twórczości poetki tej miary co Pawlikowska. Wiersze wojenne autorki, która zdobyła sobie zasłużoną sławę miniaturami poetyckimi, odznaczającymi się nie tylko powierzchowną błyskotliwością i polorem ale także nieraz głębią i bystrością poetyckiej wizji, są w porównaniu płaskie, nudne a czasem nawet zenujące. Cały ten tom twórczości lat wojennych jest poświęcony tematyce w taki czy inny sposób związanej z wojną, to znaczy z tematyką niespotykaną poprzednio w poezji Pawlikowskiej.

Wojna jako temat ma rozmiary kolosalne i niejednego poetę przytłoczyła swym ciężarem. Jest to temat, który bardziej może od innych wymaga zachowania pewnej perspektywy i proporcji. A na to jest przecież niezmiernie trudno się zdobyć w okresie wojennym kiedy zacierają się ustalone normy i wartości. Dlatego też choć „poezji wojennej” jest zawsze pod dostatkiem, wartościowe utwory wojenne należą do rzadkości. Podobnie i twórczość Pawlikowskiej wykazuje kompletne załamanie wobec tematyki wojennej.

Tymon Terlecki, który z wielką starannością przygotował obecny tom do druku, słusznie twierdzi we wstępie, że wojna zrujnowała dotychczasowy „klasycyzm” poetycki Pawlikowskiej. Jest to jego zdaniem „wstrząsające widowisko”. Dodaje on jednak: „...wybrzmiała ta poezja miniaturowa... nagłych dojrzeń, błysków i olśnień — tonem solidarności ludzkiej, wysokim tonem idealistycznym i humanitarnym”. Może i rzeczywiście w utworach tych brzmi „ton solidarności ludzkiej” — dość częsty to sentyment w „poezji wojennej” — ale niestety nie zastępuje on jaskrawo rzucającego się w oczy wyjąłowieńia sił twórczych Pawlikowskiej. Zmaganie się jej z tematyką wojenną — świadczące zresztą dodatnio o sumienności i wrażliwości jej poetyckiej wizji — okazuje się zupełnie bezowocne.

Pawlikowska uzyskała wybitną pozycję w naszej literaturze ponieważ w przeciwieństwie do całych zastępów swych współzawodniczek nie bała się pisać od siebie, wykorzystywać w pełni cechy swej kobiecości. Od dwóch najjaskrawszych wad poezji kobiecej (rozlewności i uczuciowości) odgraniczyła się, już w najwcześniejszych swych utworach, rygorystyczną formą wyrazu i postawą ironiczną obserwacji. Błyskotliwe, dowcipne, czasem i wstrząsające pointy jej czterowierszy, które zrodziła kobieca intuicja a nie męska logika, jak i bystrość a zarazem i delikatność ironii, uwydatniają „kobiecość jej „poetyckiego światopoglądu”. Świat w którym Pawlikowska obracała się to świat ballad i romansów, tajemniczych kochanków, chińskich pieszków i młodopolskich wzlotów. Był to świat wysubtelniionych uczuć i deli-

katnych marzeń, stworzony przez literaturę. Pawlikowskiej nie olśniewał jednak bez reszty urok tych wycackanych zjaw: umiała spojrzeć na nie okiem niezaangażowanego widza, i dlatego też poezja jej zasługuje na wyróżnienie. Nawet w wypadkach, gdy w pełni ulegała powabom tego kryształowego świata, robiła to nie tylko z wdziękiem — umiała posługiwać się też zaskakującymi skojarzeniami, które bywają oznaką wielkiej poezji:

Oblóczona światu i jawie,
Ziemią okryta calunem
Leżała kiedys
Krzyżem na trawie,
Rozpamiętując pocałunek.

Nic więc może dziwnego, że wobec kataklizmów wojny Pawlikowska stanęła bezradna, że nastąpiła ruina nie tylko jej „klasycyzmu”, ale i całego jej świata poetyckiego. Jej próby traktowania wojny jakby to był romans damy z towarzystwa wyglądają dość groteskowo. Czterowiersz, który obejmował postać *la précieuse*, łamie się pod ciężarem apokaliptycznej wizji, jaką dla Pawlikowskiej stała się wojna. Pawlikowskiej widocznie nie starczyło sił, by u schyłku swego życia porzucić konwencje, którymi dotychczas z powodzeniem operowała, a zarazem opracować formę poetyckiego wyrazu, współmiernego z nowymi przeżyciami.

Ostatnie utwory zawierają przeplataną szkicownikową poetyckich i wierszy. Szkicowniki składają się z rozmyślań „filozoficznych” które mają wytłumaczyć istotę wojny. Oto typowe przykłady tych naiwnych i banalnych sformułowań:

„Nie płacz, człowieku! Naturze smutki swoje przekaz! Patrz jak szczerze, nieskończenie, deszcz lży roni za ciebie. Jak młody gaj brzoźowy, obniżoną chmurą uduchowiony, tęskni w imię twoje. Wierzba-placzką traci wszelką nadzieję i nawet pociechy nie żąda; wyręcza cię, zalamując ramiona...”

„Nic tak nie zbagatelizowało pracy człowieka, jak samolot, wyrodny jego twór... Kto pierwszy na świecie z wysokości bombardował? Zapomnieliście opowiadań podróżników z dawnych powieści dla młodzieży, egzotycznych starych rycin francuskich? Małpy rzucają kokosami nie tylko w ludzi, lecz i na przemijającego się tygrysa, którego szczególnie nie cierpią”.

Następująca cytata, przypominająca Norwida, nie tylko bystrością obserwacji ale i tendencją do systematyzowania i usymboliczniania zjawisk, należy niestety do wyjątków:

„Z kościelnej wieży, spizowy globus, turkusowo zzieleniał, runął, strącony pociskiem armatnim.

„Toczył się ulicą wśród ryczącego, gwizdzącego, wybuchającego chaosu, wśród totalnej ciemności pożarowych dymów, niskim pulapem wiszących nad miastem. Aż się zatrzymał przy kopcem wyrwanej ziemi i tam już osiadł. Podczas krótkotrwałej przerwy w nalołach, zebrały się male dzieci, ołoczyły go, dosiadły, próbowały ruszyć z posad.

„Ziemia przyciągnęła ten planetoid kilkunastometrowego obwodu, świat, który czuł się bezpieczny obok złotego krzyża kościelnego, a znalazł tylko dołknięcie deszczu, gradu i stóp gołębic”.

Podobnie i w wierszach Pawlikowska próbuje moralizować i filozofować po linii absurdalnych i sentymentalnych analogii między człowiekiem a światem przyrody :

*Bracie, marzący o świecie bez wojen,
Jakież są płonne urojenia twoje!
Spójrz, nawet chmura atakuje chmurę :
Stalowa złota — niebne tocząc boje.*

Czasami przyczyn wojny poeta szuka w grzechach ludzkości, z wynikiem równie oplakany :

*Lawina grzechu rośnie wciąż, zbrodnicza...
Już nie żałuję dzisiaj Karłowicza,
Ze go zabiła, pośród górskich szczytów,
pociskiem śniegu
Siła przyrody, czysta i dziewicza!*

W rzadkich, bardzo rzadkich wypadkach natrafiamy na czterowiersz, posiadający *esprit* i bystrość intelektu przedwojennej Pawlikowskiej :

*Chwalimy czyn wojenny, że jest „przyrodniczy”.
„Instynkt — mówimy — walki pragnie i zdobyć”.
„Lwy, nie ludzie!” — wołamy w formie komplementu,
Po czym znów o „duszy”. — Ach, ileż zamętu!*

Ostatnie utwory będą przyjęte z zainteresowaniem przez miłośników poezji Pawlikowskiej. Będą oni mogli śledzić ostatni — z punktu widzenia tworzywa poetyckiego i charakteru pisarki bardzo ciekawy — okres jej twórczości. Jest to natomiast niebezpieczna książka dla neofitów : przedwojenne wydania Pawlikowskiej są prawie nieosiągalne a po wojnie ukazał się w Polsce tylko jeden, słaby zresztą, wybór jej wierszy w czterotysięcznym (!) nakładzie. Niejeden więc młody miłośnik poezji, rozpoczynający swą znajomość Pawlikowskiej od tego właśnie zbioru, może się łatwo do niej zniechęcić.

Ostatnie utwory przedstawiają poważne osiągnięcia wydawnicze, choćby dlatego, że jest to wydanie pełne i definitywne. Kraj, w którym „każda książka wychodzi za późno” wydań definitywnych potrzebuje jak najbardziej. Obecne wydanie nasuwa tylko jedno zastrzeżenie — nie dotyczące zresztą samego tomu bezpośrednio. W „Zamknięciu” znajduje się dość dziwna notatka edytorska : „Przeczytałem notatniki Pawlikowskiej w nocy poprzedzającej dzień jej pogrzebu i nie pamiętam nic równie wstrząsającego. Ten dokument jest tak poufny, że zapewne nigdy nie będzie mógł być ogłoszony w całości”. Czy rzeczywiście nigdy? Czy jest to objaw pruderii, która zniszczyła już pracę niejednego redaktora?

Adam CZERNIAWSKI

Lwów oczami Ukraińców

Ukraińcy pilnie czytują polskie książki i pisma, lecz, niestety, bardzo niewielu Polaków czyta po ukraińsku. Należy się więc obawiać, że, o ile jakiś ukraiński dobroczyńca nie przełoży fragmentów i nie umieści ich na łamach „Wiadomości” to książka St. Szacha „Lwów — miasto mojej młodości” (1) pozostanie zupełnie nieznaną nawet lwowianom. Trudno jest wyłaniać polonika z tej książki, bo gdzie jak gdzie, ale we Lwowie polonica i ucrańnica są pomieszane tak, że nieraz nie dadzą się oddzielić. Wśród wspomnień p. Szacha znajdujemy też rozmowę prof. Romera z Clemenceau w r. 1919, w której przewodca polskiej delegacji powiedział : „Granica etnograficzna między Polakami a Ukraińcami przechodzi przez łoża małżeńskie, a miasto Lwów leży akurat w samym środku tego łoża, czego najlepszym dowodem jest choćby rodzina Szeptyckich : jeden brat, metropolita greko-katolicki, jest Ukraińcem, a drugi brat rodzony jest Polakiem i to wybitnym polskim generałem”.

Sama geografia predestynowała Lwów do takiej roli : miasto leży na dziale wód między Wisłą a Dniestrem, innymi słowy na europejskim dziale wód między Bałtykiem a Morzem Czarnym. Do dorzecza Wisły należy stare i średnie miasto, Łyczaków i dzielnica stryjska, do dorzecza Dniestru Persenkówka, okolica dworca głównego i tak zwany nowy Lwów. Na samym dziale wód leży góra Świętojurska z katedrą-siedzibą metropolity jedyną oba dorzecza. (I rzeczywiście trudno o lepszy symbol niż ta katedra obrządku wschodniego ale podległego Rzymowi i sama zbudowana przez architektów zachodnich w stylu włoskim).

Szach zauważa, zdaje się słusznie, że polonizacja Lwowa miała miejsce nie za potężnej Rzeczypospolitej przedrozbiorowej (ta się takimi rzeczami nie trószczyła) ani nie za „demokratycznej”, jak ją nazywa, Polski okresu dwudziestolecia, ale właśnie za Austrii. Badając cmentarze lwowskie Szach zauważył ciekawą zjawisko w połowie XIX wieku : dziadek ma napis nagrobny po ukraińsku, syn mieszany ukraińsko-polski, a jego żona i dzieci już czysto polskie. Tak było nawet z grobowcem rodzinnym metropolity Łytwynowycza, którego cała rodzina miała napisy po polsku.

Jak dalece szło polszczenie się warstw wyższych i jak dalece język ukraiński zostawiano wyłącznie chłopom, świadczą za-

(1) Stepan Szach, *Lwów — miasto mojej młodości*. Czastyny I i II. Wydawnictwo „Chrystijanskyj Holos”, Muenchen 1955, 267 str.

rządzenia biskupów z końca XVIII i początku XIX wieku, a więc z najgorszego dla Polaków okresu okupacji austriackiej. Wszystkie te zarządzenia są redagowane wyłącznie po polsku a w „Konstytucji” synodu w Wawonie przykazuje się tylko, aby dzieci na wsi uczono „ruszczyzny”.

A zresztą polonizacja trwała, bo autor pisze o pewnej lwowskiej rodzinie „o historycznym ukraińskim nazwisku” (ale je, niestety, dyskretnie przemilczał), której dziadek był greko-katolickim księdzem, pięciu wnuków przeszło jeden po drugim na obrządek łańciński, a najmłodszy poszedł, jak mówiła matka, „śladami dziada” i został księdzem ale obrządku łańcińskiego. Ten ostatni wypadek świadczy jednak nie tylko o polonizacji, ale i o coraz większej przepaści między oboma narodami. Nie każdy syn spolszczonej rodziny miał tyle hartu ducha, aby zostawszy księdzem powrócić do obrządku greckiego i poświęcić się pracy dla ukraińskiego ludu swej bliższej ojczyzny, jak to uczynił Andrzej Szeptycki.

Powołując się na „ideę jagiellońską” lubimy też wspominać owych Polaków „gente Ruthenus, natione Polonus”. Jak dalece byli oni już anachronizmem w końcu XIX wieku, świadczy wspomnienie o profesorze V-go gimnazjum lwowskiego, Józefie Barewiczu, zmarłym w 1910 roku: *Prof. Barewicz był synem greko-katolickiego księdza, dyrektora polskiego gimnazjum państwowego w Samborze, ks. Tomasza Barewicza. Za to, że ks. Barewicz zanadto, jak mu zarzucali ówcześni patriotyczni księża Samborszczyzny, „podporządkowywał się Polakom”, uderzył go po twarzy „patriotyczny” uczeń szóstej klasy Sas-Liskowacki, syn proboszcza z Listowatego koło Ustrzyk, w chwili gdy uczniowie wychodzili z cerkwi po mszy. Chłopca wyrzucono wtenczas ze wszystkich szkół Galicji, a jego kolega Józef Barewicz tak się obraził za zniewagę ojca na wszystkich Rusinów, że „przystał” do Polaków, ... przyznawał się do narodowości polskiej, choć był greko-katolikiem, a sam siebie określał urzędowo „gente Ruthenus, natione Polonus” (z pochodzenia Ukrainiec, z narodowości Polak). Ta historia jest ciekawa nie tylko jako case story, ale też dlatego, że p. Szachowi nasza „jagiellońska” koncepcja gente Ruthenus, natione Polonus to jest człowieka który był Rusinem będąc jednocześnie Polakiem, jest po prostu nieznaną. Zresztą, jeśli chodzi o młodzież odepchniętą przez nietolerancję i szowinizm, to były i odwrotne wypadki. Znam młodą Ukrainkę ze Lwowa, której rodzice mówili po polsku, ale którą koleżanki w gimnazjum polskim tak prześladowały za jej obrządek greko-katolicki, że wreszcie musiała się nauczyć, nie bez wysiłku, po ukraińsku i przenieść do gimnazjum ukraińskiego. Dziś jest artystką ukraińską.*

Inny wypadek, pikantny ze względu na okoliczności, to historia proboszcza cerkwi św. Piatnic, której kolatorem był magistrat miasta Lwowa. Proboszczem był ks. Wasylewski, który nazywał się Rusinem, ale w domu mówił po polsku. Po śmierci

ks. Wasylewskiego magistrat nie chciał „podpisać prezenty” proponowanemu przez kapitułę ks. Mochnackiemu, któremu polonia trembowelska „wystawiła złą opinię polityczną”. A gdy następny proboszcz umarł w 1934, magistrat „podpisał prezenty” ks. E. Baczyńskiemu, ukraińskiemu proboszczowi miasta Brzeżany, gdyż — jak pisze p. Szach — *ojciec jego, c.k. profesor w gimnazjum brzeżańskim, był kilkoletnim gospodarzem klasorowym Edwarda Rydza-Smigłego, który został po śmierci Józefa Piłsudskiego marszałkiem Rzeczypospolitej Polskiej. Wówczas wszyscy brzeżańczycy poszli w górę w ówczesnym kursie politycznym w Polsce. I tak dla przykładu: za poparciem marszałka Rydza-Smigłego wojewodą lwowskim został „brzeżańczyk”, adwokat z Łodzi dr Alfred Bilyk, a za poparciem Bilyka w magistracie lwowskim dostał prezentę na parafię ksiądz E. Baczyński.*

Autor dał nam w pierwszym tomie wspomnienia o topografii, okolicy i architekturze Lwowa. W nich poczesne miejsce zajmują wspomnienia o czternastu cerkwiach i trzydziestu sześciu kościołach rzymsko-katolickich, a na koniec o katolikach obrządku ormiańskiego. Wspominając ostatniego arcybiskupa ormiańskiego, Teodorowicza, pisze, że był to mieszczkański syn z Brzeżan i złotousty mówca. Obecnie katedrę ormiańską objęli sprostwadzeni z sowieckiej Armenii księża ormiańscy nie uznający zwierzchności Rzymu.

Z innych ciekawostek religijnych dowiadujemy się, że były we Lwowie dwa kościoły wspólne dla wszystkich trzech wyznań. Jest też wspomnienie o synagogach, wśród których wyróżniała się renesansowa synagoga z XVII wieku przy ulicy Boimów, gdzie rabinem był ojciec późniejszego redaktora „Chwili” Henryka Heschelasa.

Druga część pierwszego tomu poświęcona jest szkolnictwu lwowskiemu i jego historii. Wśród wspomnień historycznych sprzed pierwszej wojny światowej zasługuje na uwagę wspomnienie o herbie Galicji, złotym lwie na błękitnym polu (stąd złotobłękitne barwy sztandaru ukraińskiego), jak również o hymnach narodowych: gdy zaczęło się przebudzenie narodowe w Galicji w roku 1848, galicyjscy Ukraińcy, czy, jak ich wtedy nazywano, Rusini, nie mieli ani własnej literatury ani nawet własnego hymnu. Na pierwszym zebraniu Głównej Rady Ruskiej nie wiadano więc nawet jakim śpiewem zakończyć posiedzenie i dopiero generalny wikariusz kapituły (a późniejszy ostatni biskup unicki w Chełmie) M. Koziemski zaintonował starą pieśń religijną: „Preczysta Diwo Maty ruśkoho Kraju”. Jednakże używaniu tej pieśni dla celów politycznych sprzeciwił się ks. biskup Jachimowicz, toteż powierzono młodemu księdzu Huszalewiczowi ułożenie innego hymnu, tak powstała „Myr wam bratja wsim prynosym”, najpopularniejsza pieśń Galicji wschodniej do końca XIX wieku. Dzisiejszy ukraiński hymn narodowy „Szczene wmerła Ukraina” dostał się do Lwowa za pośrednictwem... polskiego powstańca z 1863 roku. Paulin Święcicki, uciekinier z Kijowa,

był gorącym ukrajinofilem, wydawał nawet we Lwowie dwujęzyczną gazetę *Sioło-Selo*, był pierwszym nauczycielem ukraińskiego w wyższych klasach gimnazjum akademickiego, gdzie wprowadził literacki język ukraiński.

Hymn „Szczę ne wmerła Ukraina” — jeszcze nie umarła Ukraina — rozpowszechnił się we Lwowie dopiero z początkiem XX wieku, jak o tym świadczy wspomnienie p. Szacha: *Przed pięćdziesięciu laty było nas 57 uczniów w klasie I A gimnazjum akademickiego we Lwowie. Czytaliśmy z „Ruskiej czytanki” ustęp pt. Nil, gdzie była wzmianka o staroegipskim hymnie na cześć rzeki Nil. Nasz nauczyciel, wyjaśniewszy nam co to jest hymn, zapytał jaki jest nasz hymn narodowy. W klasie nie podniosły się nicyzje palce. Zdziwiony nasz profesor pyta: A jaki jest polski hymn. Zawotaliśmy wszyscy: „Jeszcze Polska nie zginęła”. Wtedy ja podnoszę palce i mówię nieśmiało: Nasz hymn jest „Preczysta Diwo, Maty ruskoho Kraju”. Nie, zaprzecza nasz wychowawca i wyjaśnia, że to stara pieśń kościelna. Za mną podniósł palce mój kolega o historycznym imieniu Iwan Mazaepa i mówi „Myr nam bratja”. I znowu pokręcił głową pan profesor i wyjaśnił nam, że ukraińskim hymnem narodowym jest pieśń „Szczę ne wmerła Ukraina”, którą usłyszymy na koncercie szewczenkowskim.*

Tak więc wspomnienia p. Szacha poświęcone czasom sprzed pierwszej wojny światowej są jakby historią ukraińskiego odrodzenia narodowego w Galicji, a zwłaszcza we Lwowie. Wspomnienia powojenne są, mimo wielkiego umiarkowania autora, dla Polaka bardziej żenujące. Główny rozdział stanowią tam siłą rzeczy najprzeróżniejsze szykany administracyjne, jak przenoszenie profesorów Ukraińców do gimnazjów polskich, aresztowanie archeologów w terenie pod zarzutem szpiegostwa itd., itp. Tak na przykład ukraińska szkoła powszechna imienia pierwszego poety ukraińskiego w Galicji M. Szaszkiewicza, nie mogła się doczekać nowego budynku, mimo iż mieściła się w starej ruderze bez powietrza i bez światła. Trzeba było dopiero, aby jakiś poseł angielski przyjechał w 1926 i „opisał” ją w gazetach, aby znalazły się fundusze i by w ciągu dwu lat Rada Miejska zbudowała nowoczesny wzorowy budynek, a dyrektorem szkoły mianowany został nawet w 1929 były ukraiński pułkownik i osobisty adiutant Petlury.

Wśród innych szykan dowodzących wprost braku zmysłu państwowego było niedopuszczanie Ukraińców (i Żydów też) do różnych szkół. Tak np. portrecista Iwan Trusz, mimo że ceniony też wśród Polaków nie mógł się doprosić, by syna jego przyjęto w 1923 roku do szkoły przemysłowej i dopiero udało się to na interwencję jego kolegi szkolnego a ówczesnego dyrektora policji lwowskiej. Podobnie więc jak z proboszczem z Brzeżan można by sparafrazować znane wyrażenie i powiedzieć, że była to nietolerancja narodowa złagodzona przez protekcję.

Gorszy przykład głupoty to ukraińska czytanka szkolna dla

ukraińskich dzieci, w której hymn państwowy był umieszczony w języku polskim. Autor, a raczej tłumacz czytanki (gdyż przełożono ją w całości z polskiego) zrobił przekład ukraiński hymnu, ale ministerstwo czy też kuratorium odrzuciło go, nakazując umieścić hymn „jednolicie w całym państwie”. Tu można zauważyć, że dawna Austria miała więcej zmysłu państwowego czy też imperialnego, jako że hymn narodowy każdy śpiewał w swoim języku. U nas wzorowano się jednak raczej na carskiej Rosji.

Nie trzeba sądzić, że autor zatrzymuje się dłużej nad tymi wszystkimi szykanami wobec ludności ukraińskiej. Wspomina on je raczej mimochodem, pisząc słusznie w posłowniu, że owe czasy „należą do tej historii Lwowa, która już nigdy się nie powtórzy”. Natomiast gdzie może, p. Szach podkreśla wypadki przyzwoitego zachowania się wobec Ukraińców ze strony czy to polskich urzędników a nawet dygnitarzy czy też nauczycieli lub dyrektorów szkół, jak na przykład wizytatora Kazimierza Bruchnalskiego, który wystarał się o prawo powszechności dla szkoły SS. Bazyljanek, Jana Gerlacha, dyrektora seminarium nauczycielskiego im. Bolesława Prusa, który przyjmował bez zastrzeżeń Ukraińców, czy ostatniego dyrektora V. Gimnazjum, Tadeusza Strojnego, który przyjmował chętnie uczniów, wyrzuconych z innych gimnazjów za „akcję antypolską”.

Przechodząc do tematów mniej drażliwych dowiadujemy się ze wspomnień p. Szacha, urodzonego w jednej z podlwowskich miejscowości, jak fatalną opinię miało miasto w okolicy. Opowiadano, że Lwów leży nad rzeką „pomyjową”, choć niegdyś jak słyszałem od babuni, leżał tak wysoko jak nasze miasteczko. Jego rzeka była czysta, ludzie i zwierzęta pili z niej wodę. Ale ponieważ Lwówianie z czasem zaczęli bardzo grzeszyć — przekleństwami, oszukaństwem, złodziejstwem, pijaństwem i wszelkimi „niewymownymi grzechami”, gorzej od pogan, to Pan Bóg ostrzegł miasto dwukrotnym trzęsieniem ziemi przed zagładą... Przy każdym trzęsieniu poziom miasta obniżał się, rzeka się zaśmierała, ale ludzie się nie poprawili. Kiedy przyjechał do Lwowa, to strach słuchać jak ludzie klną, jak na każdym kroku szachrują, jak kradną w żywe oczy ludziom z wozu, przed cerkiewiami nie żegnają się ani nawet czapki nie zdejmują i jak tak dalej pójdzie, mówiła babunia, to Lwów jednego dnia zapadnie się za karę pod ziemię, bo dzisiejszy Lwów, to Sodoma i Gomora, a na tym miejscu powstanie śmierdzące jezioro jak obrzydliwe Morze Martwe, nad którym nawet nie przeleci żaden ptak. Zachowa się tylko cerkiew św. Jura ... aby ludzie z okolicy mieli gdzie chodzić do spowiedzi. Dzisiejszego czytelnika ta sielska wizja Sodomy i Gomory pociąga patriarchalną jakąś i zaginioną pogodą.

Książka Szacha jest kopalnią wiadomości o Lwowie i lwowianach (z drugiej połowy XIX wieku i początku XX wieku. Wystarczy wspomnieć, że indeks zawiera 866 nazwisk i należy

przy okazji wyrazić żal, że brak jest indeksu budowli i ulic, niedozownego w każdej książce poświęconej jakiemuś miastu.

Autor broni się w postłowie przed zarzutami, z których jeden jest raczej słuszny, choć bez wielkiego znaczenia: nadmiar cytatów z ulubionych widać autorów łacińskich. Drugi zarzut, dotyczący jakoby zbyt małej „fachowości” autora a za to zbyt wielkiego zajmowania się szczegółami, jest nieporozumieniem. Autor wspomnień nie pisze fachowej monografii, natomiast obowiązkiem jego jest wysypać przed oczy potomności wszystko co zawiera jego pamięć. Toteż raczej zarzuciłbym autorowi zbyt ni pośpiech, raczej za mało gawędziarstwa, za mało osobistych wspomnień, które dają nie fakty, te zawsze da się ustalić, ale atmosferę, która mija bezpowrotnie. Autor postawił sobie za zadanie podać barwny obraz pojedynczych osób przemilczając słabe strony ich usposobienia. Świadczy to jak najlepiej o p. Szachu jako o człowieku, nieco gorzej jako o pisarzu. Aby podkreślić jasne miejsca, potrzebne są cienie.

Autor wspomnień musi mieć czas. I miejsce. Nie wolno mu mówić: „Należałoby jeszcze coś napisać o malowaniu lwowskich kościołów, obrazach, dzwonach itd., ale musi to odpaść z braku miejsca”. Na szczęście autor nie trzyma się zbyt konsekwentnie tej zasady, czemu zawdzięczamy wspomnienie o wielkim dzwonie Kyryło na wieży Korniaktów, którym wolno było dzwonić tylko dziesięć razy do roku.

Jeszcze jeden zarzut polegający na nieporozumieniu to, że wspomnienia napisane są „zbyt po lwowsku”. A jakże inaczej zachować atmosferę i koloryt lokalny jak nie przez lokalny język? Zarówno Polacy jak Ukraińcy mają ostatnio tendencję do wstydzenia się lokalnego patriotyzmu, lokalnego pochodzenia nawet (każdy chce pochodzić z Warszawy), lokalnej formy języka. Miłosz odważył się na umieszczenie swej „Doliny Issy” nie tylko na „ziemiach wschodnich”, ale nawet poza granicami Polski międzywojennej. I odważył się dać język lokalny i to nie tyle pod względem fonetycznym czy gramatycznym (sposób bodaj najłatwiejszy i najbardziej powierzchowny), ani nawet nie słownikowym (oprócz kilku słów jak świrno, braha czy krakwa), ale przede wszystkim pod względem składni i stylu. W ten sposób czytelnik z centralnej czy zachodniej Polski ma możliwość wejścia w bliższy kontakt z atmosferą kraju i bohaterami niż gdyby książka była napisana polszczyzną „poprawną” to jest wypraną z wszelkiego smaku i zapachu. Podobnie należy wyróżnić drugiego pisarza emigracyjnego, Czarnyszewicza, za miejsce i za piękny język jego „Nadberezyńców”. Niestety, Czarnyszewicz dał się przekonać nienajmądrzejszym krytykom i jego „Wicek Zywica” daje już język zbanalizowany, odarty ze smaku ziemi, z której pochodzi. Oczywiście, książki Miłosza i Czarnyszewicza, choć oparte na wspomnieniach, nie są autobiografiami a utworami literackimi. P. Szach miał zadanie o tyle łatwiejsze, że pisał zwykłe wspomnienia, ale należy mu się pochwała, że chciał pisać

tak, jak mówiono we Lwowie przed 1939 rokiem. Szkoda więc, że redakcja pisma *Chrystyjanskyj Holos*, w którym książka się drukowała, pozwoliła sobie na „poprawianie” języka autora. Należy mieć nadzieję, że dalszy ciąg wspomnień p. Szacha ukaze się w takiej postaci jaką nada im sam autor a może nawet w nieco lepszej szacie graficznej.

(AV)

Wydawnictwa amerykańskie

The Color Courtain: A Report on the Bandung Conference, by Richard Wright, World Publ., 1956, str. 221.

R. Wright, znany pisarz murzyński, wziął udział w konferencji w Bandungu jako obserwator i korespondent prasowy. Jak pamiętamy, celem tej konferencji była wymiana poglądów delegatów krajów afrykańskich i azjatyckich. Zagadnieniem najważniejszym ciężącym nad konferencją było pytanie: Z kim iść? Z Zachodem czy z komunizmem? Ścisłej — z Ameryką czy z Rosją. Jak ważne jest to pytanie widać choćby na przykładzie gospodarza konferencji — Indonezji. Trzeci na świecie kraj pod względem bogactw naturalnych; ludność mówi dwustoma językami; 1.400 lekarzy przypada na 80 milionów ludności; wzrastający przyrost naturalny i spadająca wytwórczość. Ludność byłych kolonii europejskich słusznym tytułem niedowierza państwowi zachodnim, bo pamięć rządów kolonialnych, szczególnie holenderskich jest zbyt świeża. Ale równie niechętnie spogląda na umizgi komunistów.

Według Wrighta konferencja w Bandungu była wyzwaniem Zachodu: Albo Stany Zjednoczone zechcą i potrafią przyciągnąć do siebie masy afrykańskie i azjatyckie, albo padną one ofiarą nowego kolonializmu sowieckiego. Wtedy jednak będzie już za późno by cały proces odwrócić.

The Changing World of Soviet Russia, by David J. Dallin, Yale University Press, 1956, str. 422.

David Dallin nie wymaga wprowadzenia jako autor książek i artykułów o Rosji. Jego ostatnia rzecz jest rozszerzeniem i jakby dalszym ciągiem poprzedniej jego pracy „The Real Soviet Russia” wydanej w roku 1944. Analiza życia sowieckiego jest bardzo interesująca i pouczająca. Widać to szczególnie na przykładzie obozów pracy przymusowej. Dallin notuje tutaj pewne zmiany, w sensie poprawy warunków życia i traktowania więźniów. Zmiany te zaczęły się już w roku 1947, a później po śmierci Stalina. Przy-

czyna tego leży według Dallina w dwóch zjawiskach. Po pierwsze, Rosja poniosła tak poważne straty w czasie wojny, że siły robocze niewolników stały się bardzo poważnym czynnikiem gospodarki sowieckiej. Po drugie, stała agitacja przeciwko sowieckim obozom pracy na Zachodzie zmusiła Kreml do zelżenia ucisku. Osobiście nie bardzo jestem przekonany co do drugiego powodu. Pierwsza teza raczej wydaje się słuszna: gdy w roku 1953 wybuchł bunt w obozach Workuty, bezpośrednim jego skutkiem był brak węgla w okręgu leningradzkim. Drugim przykładem potwierdzającym tę tezę jest obecne zmniejszenie stanów Czerwonej Armii o ponad milion ludzi. Najprawdopodobniej chodzi tutaj o skierowanie ich do pracy w przemyśle i na roli. Wydaje się, że zelżenie ucisku w obozach było podyktowane koniecznością podniesienia produkcji.

Obecną zmianę kursu Dallin tłumaczy dwoma przyczynami: chęcią Chruszczewa by zjednać i wciągnąć do obozu sowieckiego państwa neutralne, a szczególnie emancypowane kraje azjatyckie; oraz gotowością Rosji do konkutowania z Ameryką na polu pomocy gospodarczej. Dallin przypuszcza, że będzie to dodatkowym obciążeniem dla i tak kulejącej ekonomii sowieckiej. Sądzi on, że jest pewne podobieństwo pomiędzy rewolucją francuską a rosyjską (por. ciekawe uwagi prof. Kukiela „Czy już po Thermidorze?” w numerze 537 „Wiadomości”) kiedy to skończył się okres terroru Jakobinów.

Obecne społeczeństwo sowieckie odbiega zupełnie od wzoru społeczeństwa przedrewolucyjnego i z pierwszego okresu rewolucji i Dallin nie sądzi by reżym sowiecki mógłby być zmieciony siłą. Czterdzieści lat dyktatury zatarło w pamięci ludzkiej wizję innego ustroju. By zmienić obecny rząd siłą trzeba by albo nawrócić do tradycji przeszłości, albo wypracować coś nowego. Ale w Rosji nie ma ani przywódców takiego ruchu, ani organizacji, ani nawet nadziei na jej powstanie.

Six Keys to the Soviet System, by Bertram D. Wolfe, Beacon Press, 1956, str. 258.

Jest to zbiór 18-tu artykułów autora „Three Who Made a Revolution” napisanych na przestrzeni ostatnich piętnastu lat. Tytuł może zmylić niejednego czytelnika, bo trudno jest znaleźć klucz do systemu sowieckiego, nie mówiąc już o szczęściu. Zbiór otwiera artykuł pt. „Walka o następstwo” — napisany w lipcu 1953 — i analiza nowego reżymu, ze stycznia 1955. Pierwszy traktuje o systemie, jaki przyjęli następcy Stalina, drugi podkreśla, że następcy są ludźmi Stalina przede wszystkim i jego najbliższymi współpracownikami. Artykuł o koordynacji przejawów kulturalnych potwierdza wizję Orwella. Wolfe uwydatnia znaczenie decyzji Sprzymierzonych trzymania się zasady dobrowolnej repatriacji jeńców koreańskich. Tym aktem zwrócono się po raz pierwszy pod adresem potencjalnych sprzymierzeńców i być może rozstrzygnięto wojnę na Korei. O stosunkach wewnętrznych Wolfe pisze, że kontrola partii wzrastała lub zmniejszała się zależnie od stopnia zagrożenia z zewnątrz. Pierwszy plan pięcioletni zawarty był na 1.747 stronach, trzeci na 238 a piąty na trzech i pół i nie zawierał nic innego prócz propagandy i sfalszowanych danych statystycznych. Jest to graficzny dowód wzrostu siły partii. Ostatni artykuł jest przedrukiem memo-

riału, jaki Wolfe złożył w charakterze głównego doradcy ideologicznego Voice of America. Memoriał ten podkreśla główne korzyści systemu demokratycznego i jego przewagę nad totalizmem sowieckim. Według Wolfe'a są nimi: reformy rolne, pokój i rozbrojenie, prawa robotników, swobody obywatelskie, wolność myśli, słowa i wyznań.

The Theme Is Freedom, by John Passos, Dodd, Mead Publ. 1956, str. 262.

Autor potężnej trylogii-montażu „U.S.A.” przedstawił tutaj siebie w perspektywie historycznej. Dos Passos daje wyjątki ze swych reportaży i artykułów poczynawszy od 1926 roku w zestawieniu z prawdą obiektywną. Brał on udział w historycznych dzisiaj strajkach w Passaic i Harlan, rozmawiał w więzieniu z Sacco i Vanzettim, był w Rosji w roku 1928 tuż po wydaleniu Trockiego. Jako korespondent „New Masses” stał się pierwszym fellow-traveler'em w Stanach, zanim inni pisarze amerykańscy zaczęli komunizować. Był też jednym z pierwszych który przejrzał, bo w czasie wojny hiszpańskiej. W czasie ubiegłej wojny Dos Passos działał jako korespondent na Pacyfiku, a po zakończeniu wojny wyjechał do Niemiec. Tam uderzyło go, że Alianci zastosowali wobec Niemców politykę „mściwego odwetu” (?) a okazali całkowitą obojętność wobec narodów zagarniętych przez Rosję.

Nie wielu pisarzy miałoby odwagę na podobne zestawienie. Co uderza może najbardziej to porównanie rzeczy pisanych ówczesnie z obecnym komentarzem. Dos Passos-komunizujący pisał z pasją i zapałem, niemal w porywie. Dos Passos-rozumujący jest anemiczny i nudnawy.

The Permanent Purge, by Zbigniew Brzezinski, Harvard University Press, 1956, str. 256.

Praca dra Brzezińskiego ujmuje historycznie rozwój totalizmu sowieckiego pod kątem czystek, lub jak to określili B.D. Wolfe — jest studium totalnego dynamizmu. Teza autora brzmi: czystki są nieodzownym instrumentem totalizmu gdyż celem ich jest zapobieżenie stagnacji. O ile absolutyzm starał się nie dopuścić do zmian i zachować status quo, o tyle totalizm, zwrócony ku przyszłości, musi dbać o utrzymanie rewolucji w stanie ruchu. Zwolnienie lub zatrzymanie tego procesu może zwolnić tempo rewolucji lub nawet odwrócić jej kierunek. Terror czystek jest tym czynnikiem, który zapobiega przetworzeniu się partii w kółko dyskusyjne. Dzięki temu wszystkie przejawy życia państwowego stają się terenem walki, kampanii lub frontem. Sam mechanizm czystek ulega również zmianom, zależnie od sytuacji.

Po przejściu władzy przez partię, pierwszym zadaniem było usunięcie wszelkich przeszkód natury konstytucyjnej, zagradzającej drogę do władzy absolutnej. Władza absolutna następnie dyktuje jedyną prawdę i przystępuje do przetworzenia ludzi według swego planu. W pierwszej fazie następuje likwidacja klasy przeznaczonej na zagładę, i ten rodzaj terroru przeznaczony jest na zewnątrz dla zastraszenia ewentualnych sprzymierzeńców dawnego reżymu. W drugiej fazie czystce podlegają elementy, które partia pozyskała dzięki swym powodzeniom, są to bowiem oportuniści i karierowicze.

W następnym rzucie padają idealisci i fanatycy partyjni jako element zbyt czynny i mogący zakwestionować dogmat nieomylności partii. W tym punkcie wszyscy już entuzjastycznie zgadzają się na wszystko. Ale brak przeciwników nie świadczy o tym, że partia ich nie posiada, jest on dowodem nieudolności tajnej policji, która nie potrafi ich wykryć. Kompletna izolacja obywateli wytwarza prawie powszechną nieufność. W tej fazie czystki nabierają własnej szybkości i wymykają się spod kontroli. Następuje okres zwany „Jeżowszczyzną”, gdzie każdy jest albo współnikiem albo już ofiarą. Wybuch wojny zwolnił ten proces czystek, ale zaraz po wojnie wszczęto go na nowo.

W zakończeniu dr Brzezinski podkreśla, że nie można spodziewać się zasadniczych zmian w Rosji. Być może nie będzie już takich masowych czystek jak w latach 36-38, ale nie są one konieczne. Gdy reżym wszedł na drogę terroru jako instrumentu rządzenia, nie może się teraz cofnąć bez ryzyka utraty części władzy. Celem jest w dalszym ciągu władza absolutna.

A Walk On the Wild Side, by Nelson Algren, Farrar, Strauss and Cudahy, 1956, str. 346.

Podobnie jak i w poprzednich powieściach „Someone in Boots” i „Man with the Golden Arm” bohaterami „A Walk on the Wild Side” są warganci, złodzieje, prostytutki, utrzymanki, szulerzy i narkomani. Algren nie stara się wzbudzić uczucia sympatii dla tych mieszkańców pół-swiata, i w przeciwieństwie do Steinbecka nie dodaje im nic romantycznego. Opisy są nader rzeczowe i brutalne. Jedna rzecz jest ponad wszelką wątpliwość to prawość charakteru bohaterów. Ten zasadniczy podział ludzi na stojących po stronie przegranych i zwycięzców przypomina prymitywną koncepcję S. Piaseckiego z trylogii sensacyjnej, z tym że Algren jest bardziej przekonujący w wykończeniu artystycznym swej teorii.

Brainwashing: The Story of the Men Who Defied It, by Edward Hunter, Farrar, Strauss and Cudahy, 1956, str. 310.

Edward Hunter jest twórcą terminu „brainwashing” i w pierwszej swej książce pt. „Brainwashing in Red China” opisał szczegółowo jego technikę. Rzecz obecna traktuje o stosowaniu tej techniki na wybranych osobnikach w warunkach niemal laboratoryjnych. Tym razem ofiarami są Amerykanie. Hunter dokładnie opisuje poszczególne wypadki. Nacisk wywierany na ofiary przy pomocy perswazji, później tortur, znowu perswazji, podstępów itp. Jednocześnie, korzystając z doświadczeń torturowanych, opisuje ich przeżycia wewnętrzne, ciągle zbliżanie się do progu wytrzymałości i sposoby przeciwdziałania. Technika „brainwashing” oparta jest na badaniach odruchów warunkowych Pawłowa i została odpowiednio udoskonalona z dodatkiem chińskich „specjalności”. W rozdziale końcowym znany psychiatra amerykański dr Leon Freedom uzupełnia relację Huntera wyjaśniając w sposób naukowy istotę „brainwashing”. Komuniści stosują nowoczesną terapię psychiatryczną na odwrot: zamiast leczyć chorego umysł, doprowadzają do schorzenia zdrowy. Dr Freedom nazywa to psychiatrią cortivisceralną.

W tym ponurym obrazie są jednak i jaśniejsze plamy. Wiele ofiar podanych „brainwashing” oparło się skutecznie i Hunter rozpatruje poszczególne punkty tej samoobrony umysłu. Najlepszą bronią jest wiara religijna, głębokie przekonania i zaufanie do słuszności porządku moralnego i politycznego. Niestety tej broni mamy za mało.

ZBM

Wśród czasopism amerykańskich

W ubiegłym miesiącu tygodnik „Time” poświęcił „cover story” historykowi amerykańskiemu Jacques Barzun (autor: *The French Race: A Study in Modern Superstition; Of Human Freedom; Darwin, Marx, Wagner; Romanticism and the Modern Ego; Pleasures of Music; Berlioz and the Romantic Century; Teacher in America; God's Country and Mine; Music in American Life*) i przy tej okazji zajął się sprawą intelektualistów w Ameryce.. Sprawa ta nie jest oczywiście niczym nowym i dyskusje na ten temat ciągną się z przerwami od wielu lat. Ostatnio jednak J. Barzun dołał oliwy do ognia analizując cały problem od początku.

Głównym zarzutem jaki intelektualści wysuwają pod adresem społeczeństwa jest zapoznanie ich roli i wartości w życiu amerykańskim. Uważają się oni za dipisów we własnym kraju, odsuniętych na boczny tor. Tymczasem najwięksi intelektualści amerykańscy robili wszystko, by wytyczyć przyszły kierunek antyintelektualny, głosząc, że Ameryka winna stać się krajem prostego człowieka. Młody naród amerykański nie chciał zajmować się teoriami, ani też intelektualści nie mieli ochoty ich dostarczać. Gdy na początku XX-go wieku skarby sztuki europejskiej zaczęły napływać do Stanów, intelektualści ruszyli w przeciwnym kierunku, do Europy. Po pierwszej wojnie ruch ten przybrał objawy masowej ucieczki i ekspatriacji nazwali się „zbląkanym pokoleniem” (*lost generation*). W latach trzydziestych, gdy ludzie praktyczni stracili wszystko co mieli, zdawało się że wreszcie przyszła kolej na intelektualistów, których podejrzewano, że potrafią zapobiec skutkom kryzysu. Później nadeszła druga wojna i okres dobrobytu i znów zapomniano o ich istnieniu.

J. Barzun zadał sobie pytanie: jak się to stało, że Ameryka otworzyła wrota dla wszystkich, straciła swe własne dziedzictwo kulturalne i dzisiaj pojęcie amerykanizacji równoznaczne jest z barbaryzacją? W Ameryce — mówi Barzun — nie ma ani ustalonych klas społecznych, ani elity intelektualnej. Intelektualista nosi teczkę i zajmuje się „zbieraniem faktów, spisywaniem ich i wydawaniem drukiem”. Na skutek rozległości terenu, w Stanach nie powstało żadne centrum kulturalne w sensie europejskim.

„Parnas rozciąga się od morza, do morza”. „Ameryka jest społecznością obejmującą wszystkie narody. Składa się z ludzkości i ludzkość jest jej celem”.

Czym mają się zajmować intelektualiści w kraju, w którym przywileje stały się udziałem mas? Na to pytanie odpowiada filozof Sidney Hook: — Powołaniem intelektualisty jest krytyczna niezależność. Intelektualista zdradza swe powołanie gdy staje się poetą laureatem status quo. Tak zwani intelektualiści — mówi dalej prof. Hook — są konformistami w swym własnym kręgu, tak samo jak nie-intelektualiści. Wolą oni „umrzeć” niż zgodzić się z większością, nawet wtedy gdy większość ma rację. A J. Barzun dodaje jeszcze: Intelektualiści nie mają znowu tylu powodów do skarg. Nigdy przedtem nie było tylu mecenasów skłonnych udzielić im poparcia.

Najważniejszym faktem w dziejach XX-go wieku — mówi filozof Mortimer Adler — jest amerykańska rewolucja przemysłowa. Budzi ona wiele nadziei na przyszłość, choć na razie przerosł wytwórczości odsuwa sprawy kulturalne na dalszy plan. Na dłuższą jednak metę uprzemysłowienie wytworzy wielomilionowe społeczeństwo arystokratyczne. Możemy stworzyć Rzym lub Ateny dla milionów. Jesteśmy w stanie wytworzyć społeczeństwo intelektualistów lub cyrki. Możemy wybierać. Intelektualiści nie powinni lkać, powinni planować na przyszłość.

Największym fenomenem amerykańskiej demokracji w praktyce jest sprawa murzyńska na Południu Stanów. Problem ten istnieje oczywiście również i na Północy, ale w innej formie. Kilka tygodni temu znakomity pisarz William Faulkner, sam południowiec z Mississipi, w „Liście do Północy”, na łamach tygodnika „Life” dał do zrozumienia, że sprawy desegregacji rasowej w szkołach amerykańskich na Południu nie da się załatwić odgórnie dekretem rządu, i że rozwiązanie należy pozostawić ludności Południa. W numerze czerwcowym „Harper's Magazine” Faulkner powraca do tego zagadnienia (*On Fear: The South in Labor*). Faulkner podkreśla, że nierozwiązalność tego problemu leży w niemożności pogodzenia dwóch faktów: ustawy o równości rasowej w szkołach, wydanej przez rząd; i twierdzeniu ludności Południa, że Biali i Czarni nigdy nie powinni uczyć się razem w tej samej szkole. Ludnością Południa rządzi strach — mówi Faulkner — strach, nie przed Czarnymi jako rasą, ale Czarnymi jako klasą społeczną, jako czynnikiem ekonomicznym. Murzyni zagrażają całemu systemowi gospodarki rolniczej Południa.

Trzysta lat temu potomkowie dzisiejszych czarnych mieszkańców Południa żyli jako dzicy w puszczy afrykańskiej. Dzisiaj mogą się pochwalić drem Ralph Bunche, Georg Washington Carverem, Booker T. Washingtonem i innymi. Jeszcze 90 lat temu Murzyn nie miał prawa posiadać skrawka ziemi, nie mówiąc o tym, że nie umiał czytać i pisać. Dzisiaj płaci podatki na ręce urzędnika, na którego wybór nie ma żadnego wpływu; jest właścicielem farmy i stać go na wysłanie dzieci na studia do uczelni na Północy. Sprzęt rolniczy jakim uprawia swą ziemię jest taki, że Biali umarłby z głodu. I tu leży źródło strachu Białych. Jeśli Murzyni doszli do tego nie mając żadnych praw, co się stanie jeśli staną się równi pod każdym względem?

Dlatego Czarnym pozwola się umierać za Białych w czasie wojny, a nie pozwala się im wspólnie z Białymi uczyć abecadła.

Można przeklinać ten dzień w którym pierwszy ładunek czarnych niewolników sprzedano na rynku amerykańskim — mówi Faulkner — ale dzisiaj nie ma to już żadnego znaczenia. Podobnie, można żyć na Alasce i nie zgadzać się na śnieg. Otóż śnieg istnieje i trzeba się pogodzić z tym faktem. Przed pięcioma laty Faulkner zaczął podróżować po świecie. Zwiedzając różne kraje Europy, Bliskiego Wschodu i Azji doszedł do wniosku, że wiele z tych krajów mogłoby być już pod panowaniem komunistycznym, gdyby nie Ameryka. Ci ludzie tam, wierzyli i wierzą w „marzenie amerykańskie”. Mają zaufanie do Ameryki, nie dlatego że stoją za nią bogactwa i siła (Rosja ma je również), ale dlatego, że Ameryka oznacza również wolność i równość jednostki. Te pojęcia są jedyną bronią do zwalczania komunizmu. Amerykanie nie mogą pobić komunistów przy pomocy dyplomacji, bo są dziećmi w tej grze; ani produkcją, bo w wolnym kraju produkcja podlega różnym wahaniom. Jedyną i najskuteczniejszą bronią jest wiara, że człowiek może być wolny.

Nie można wybierać wolności opartej o hierarchię stopni swobód, o system kastowy jak w wojsku. Musimy być wolni — mówi Faulkner w zakończeniu — nie dlatego, że głosimy wolność, ale dlatego że ją wprowadzamy w życie. Wolność prawdziwa jest równa.

Podział świata na kraje komunistyczne, niekomunistyczne i neutralne wytworzył również pewną rywalizację w dziedzinie kulturalnej. Przedmiotem tej rywalizacji są kraje neutralne, szczególnie zaś azjatyckie. Nigdy dotąd w czasopiśmie krajów wschodnio-europejskich nie ukazywało się tyle szkiców i przekładów z literatury krajów azjatyckich czy południowo-amerykańskich. To zainteresowanie jest dwójakiej natury. Intelektualiści krajów tak zwanych „zacofanych gospodarczo” są potencjalnymi sprzymierzeńcami komunistów i można ich użyć jako zwierzęta pociągowe w procesie komunistycznej ich krajów. Zbliżenie kulturalne, a więc wszelkie wymiany dóbr kulturalnych, jest tylko zasłoną dymną do właściwego „zbliżenia” gospodarczego i politycznego.

W wolnym świecie sprawy te idą zupełnie innym trybem i nie wielu ludzi interesuje się zagadnieniami kulturalnymi i politycznymi krajów azjatyckich czy południowo-amerykańskich. Czasopisma nie poświęcają im wiele uwagi. Wiedza o nich rozprasza się w szczupłych gronach specjalistów.

Powstała w Stanach organizacja Intercultural Publications Inc., postawiła sobie za zadanie wymianę kulturalną ze wszystkimi krajami świata. Między innymi wydaje ona kwartalnik „Perspectives USA” drukowany w czterech językach i rozprowadzony w 60-ciu krajach. Czytelnicy zagraniczni mają możliwość zapoznania się z bieżącą twórczością amerykańską, a więc literaturą, sztuką, itp. Jednocześnie niektóre czasopisma amerykańskie dają dodatki poświęcone innym krajom celem zapoznania z nimi czytelników amerykańskich.

Numer czerwcowy „The Atlantic” poświęcony jest Indonezji (*Perspective of Indonesia*). Prócz artykułów zasadniczych informujących o historii,

sprawach gospodarczych, politycznych, literaturze, sztuce, religii itp. — do datek zawiera fragmenty prozy i poezji autorów indonezyjskich. Szczególnie interesująca jest część o malarstwie, uzupełniona ośmioma stronami kolorowych reprodukcji (warto jeszcze dodać, że prawdziwą niespodzianką wśród malarzy jest ekspresjonista Affandi przypominający Kokoschka).

Poza tym, dla zainteresowanych sprawami Indonezji dodatek zawiera obszerną bibliografię.

ZBM

RYSY TWARZY

Pod powyższym tytułem ukaże się wkrótce nowa powieść Wacława SOLSKIEGO.

Treścią powieści jest życie człowieka: jego lata szkolne, jego młodość, jego miłość i jego zmagania z otoczeniem i samym sobą w poszukiwaniu swojej życiowej drogi.

Kilka rozdziałów powieści drukowały londyńskie „Wiadomości”. Nazywały się one: „Stefaniak”, „Spacer po Piotrowskiej”, „Helena”, „Bal w szkole”, „Niedziela”.

Powieść RYSY TWARZY wyjdzie nakładem czytelników. Drukowana będzie w Anglii i przesyłana pocztą zamawiającym. Cena książki w przedpłacie wynosi 2 i pół dolara, w Wielkiej Brytanii — 16 szylingów, w innych krajach — równowartość 2 i pół dolarów. We Francji, Belgii, Danii, Holandii, w Niemczech Zachodnich, Szwajcarii, Indiach i Szwecji książkę zamówić można również za pobraniem pocztowym, płacąc za nią listonoszowi przy otrzymaniu książki w walucie danego kraju.

Wpłaty i zamówienia należy kierować na adres: WIADOMOŚCI (THE NEWS), 54, Bloomsbury Street, London W.C.1, ENGLAND, zaznaczając, że jest to wpłata na RYSY TWARZY.

Wydanie książki w obecnych warunkach i udostępnienie jej czytelnikowi jest, wobec rozproszenia polskiej emigracji po całym świecie, sprawą niezmiernie trudną. Autor prosi prasę polską na emigracji o przedrukowanie niniejszego wezwania, a czytelników o możliwie rychle zamawianie książki.

Listy do Redakcji

Tel-Awiv, 23 lipca 1956.

Szanowny Panie Redaktorze !

Nie wiem, czy wiadomo Panu, że świetne Wasze pismo cieszy się tutaj, w Izraelu, bardzo dużą poczytnością. Żydzi z Polski, ci zwłaszcza którzy przybyli tutaj już po wojnie, albo w czasie wojny — nie zerwali więzów z językiem polskim. I to nie tylko dlatego, że nie wszyscy jeszcze znają biegle trudny język swej ojczyzny — są i tacy, którzy czytając literaturę i prasę hebrajską — nie przestają czytać polskiej. Wśród czasopism zaś emigracyjnych — „Kultura” właśnie cieszy się wyjątkową popularnością dzięki swemu wysokiemu poziomowi, szerokim horyzontom i ciekawej treści. Dlatego też wydaje mi się, że będę wyrazić nie tylko przekonania własnych, ale i szerokiego kręgu izraelskich czytelników, jeśli poruszę problem, oświetlony w artykule Mariana Pankowskiego, „Chuligani”. („Kultura”, Nr 6/104, czerwiec 1956).

Z jednego zdania w wymienionym powyżej artykule wynika, że autor był w Polsce w czasie okupacji hitlerowskiej. („Pamiętam jedenastoletniego Miśka, który w dniu imienin dał matce w prezencie pół metra pszenicy, wyhandlowanej za ileś tam setek „Sportów”). Dlatego wydaje się nie tylko dziwne, ale zgola nieuczciwe, że pisząc o demoralizujących wpływach czasów okupacji na młodzież i dzieci polskie — publicysta tej miary i tak świetnego pióra, jak Marian Pankowski — pomija zupełnym milczeniem główne źródło tej demoralizacji: sprawę Żydów. Tym dziwniejsze, że z brutalną prawie szczerością autor piętnuje wszystkie narodowe wady polskie, na których podłożu wyrosło owo, słynne obecnie w Polsce „chuligaństwo”.

Rozmiary tego „listu”, który — zdają sobie z tego sprawę — należy jak najbardziej ograniczyć, nie dają mi możliwości ujęcia tej sprawy w jej całej rozciągłości, tak, jak ją znam, widziałam i przeżyłam. Autor wymienionego artykułu pominął jednak te sprawy milczeniem nie ze względu na brak miejsca. Więc dlaczego? Bo, jeśli pisze „.... Przy dzieciach „ubijało” się interesy, zapijając je wódką, przy dzieciach opowiadało się z uśmiechem o „wykończonych” Niemcach. Rabunek mienia niemieckiego i zabijanie (będące przecież karą i odwetem!), przestało być aktem gwałtu, stając się czynem patriotycznym — to, wystarczy w tym jednym, wyżej zacytowanym ustępie — podstawić zamiast słowa „Niemiec” — słowo „Żyd” — i wszystko będzie się zgadzało co do joty. Bo przy dzieciach załatwiano się sprawy szantażowania Żydów i wyciągania od nich ostatniego grosza, przy dzieciach wydawało się w ręce Niemców ukrywających się Żydów, dzieci wiedziały, że wystarczy podejrzanego osaczyć gdzieś w bramie i spuścić mu spodnie, aby się przekonać, czy jest Żydem i wtedy zażądać okupu, albo zawołać pierwszego z brzegu, „granatowego” albo niemieckiego policjanta. Marian Pankowski — jeśli był w Polsce w czasie okupacji hitlerowskiej —

nie może nie wiedzieć o tym że całe bataliony młodzieży polskiej, wcielone do tak zwanego „Baudienstu”, musiały brać udział w „akcjach”, czyli w mordowaniu całej ludności żydowskiej poszczególnych miasteczek polskich. Był to naturalnie przymus, ale wiadomo także ile tam było nieprzymuszonej ochoty i gorliwości. I nie wolno zapominać, że wódka, którą tę młodzież poiono przed każdą taką „akcją” była wówczas nie komunistyczna, ale hitlerowska i całe to młode bractwo pilo ją niemniej ochotnie, niż czyni to dzisiaj.

Obiektywizm jest rzeczą trudną. Przyznajemy, że i nam, Żydom można w wielu wypadkach uczynić ten zarzut, że nie umiemy być obiektywni. Dlatego zawsze i wszędzie będę się starała i czyniłam to dotąd, czy to w ramach pracy w Żydowskiej Komisji Historycznej, czy w publicystyce — podkreślać każdy moment wielkiej szlachetności i niesłychanej odwagi tych Polaków, którzy bronili i ratowali ściganych, często z narażeniem życia własnego i swych rodzin. Ofiarności tych ludzi uratowała życie setkom Żydów, podłość innych skazała na śmierć tysiące.

Nie wolno publicznie żydowskiemu przemilczeć faktu, że było dużo Żydów wśród szpiclów i agentów Gestapo, nie wolno publicznie polskiemu, takiemu zwłaszcza, którego ust nie knebluje „reżym”, ani „partia” — pisać o demoralizującym wpływie czasów okupacji — z zupełnym pominięciem sprawy żydowskiej, która była tej demoralizacji zatratnym źródłem.

Długie lata pracy konspiracyjnej pozwoliły mi dokładnie obejrzeć obie strony medalu: jedna z nich, czysta i błyszcząca szczerym złotem była jak nikły blask słońca, ślizgająca się wstydliwie po powierzchni ciemnych, mętnych wód, podczas gdy ta druga stała czarnym i nieprzebytym murem między Żydami a życiem. Dla kogo to bowiem potrzebne były Żydom „aryjskie” papiery, „aryjski wygląd”, cały ten skomplikowany arsenał kłamstw i wykrętów, którym trzeba było ratować życie? Dla Niemców? Jaki Niemiec znalazł się na wyglądzie, na akcencie, na sposobie bycia, na legalnych czy nielegalnych dokumentach? Owszem, byli tacy niemieccy specjaliści w Gestapo, ale żeby się w ich ręce dostać — trzeba było najprzód donosu. Najdosadniej określił to mały, żydowski dzieciak, który po wojnie składał swoje zeznania i zapytany, czy mu pomagali Polacy, powiedział: „Byli tacy, co mi pomogli, wiedzieli, że jestem Żydem i nie powiedzieli Niemcom”. To była najlepsza i najbardziej upragniona pomoc.

Dzieci polskie, te które dni i noce spędzały pod murem ghetta, tropiąc uciekających, dzieci, które nauczyły się tej jedynej, niemieckiej prawdy, że Żyda można i trzeba obedrzeć ze wszystkiego, co posiada, a potem wydać na śmierć — te dzieci wyrosły w młodzież i tworzą dzisiaj trzon osławionej „chuliganerii”. I jeśli mamy przyjąć, że powojenny, komunistyczny reżym nie potrafił wyplenić zła, to należy też stwierdzić, że rządy Polski przedwojenne nie dały rodzicom tych dzieci tych podstaw moralnych, które by były osłoną przed podłością i zbrodnią.

Nowa, wzmożona fala antysemityzmu w Polsce, która przyszła razem z „odwilżą” jest jeszcze jednym dowodem, że usłuszny wymysł są wszelkie, obiektywne powody tego zjawiska. Za czasów Stawoja-Składkowskiego było gospodarze „owszem”, teraz mówi się o dominacji Żydów w życiu politycznym, jutro będzie ich zbyt wiele w dziedzinie życia kulturalnego. Być może, że aż do ostatniego Żyda w Polsce znajdzie się wytlumaczenie dla antysemityzmu. I nie o to już chodzi, aby ratować tego ostatniego Żyda. Jeśli jest tu coś do ratowania — to moralność i etyka wielkiego narodu, który jeśli teraz przepadł przy egzaminie, może go zdać wysmieniec w przyszłym pokoleniu. A tej sprawie nie przysłuży się omijanie bolesnych prawd.

Miriam HOCHBERG-MARIANSKA

Fryburg, 24. 7. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

W Nr 10 (22. VII. 1956) tygodnika „Kierunki” ukazał się artykuł p. Mieczysława Kurzyna pt. „Gwarancje Jedności” w sprawie którego pragnę zabrać głos. P. Kurzyna, korzystając z „odwilży”, stwierdza najpierw niedwuznacznie, że Wiara i Kościół są w Polsce prześladowane, jest to, o ile wiem, pierwsze tego rodzaju publiczne stwierdzenie od paru lat i chciałbym na nie zwrócić uwagę. Oczywiście, p. Kurzyna nie używa tego wyrażenia, ale przytacza dość szczegółów konkretnych, aby wolno było jego myśl tak sformułować. Następnie autor stawia postulaty, bez realizowania których nie może być, jego zdaniem, „jedności narodowej”, to jest koegzystencji wierzących z komunistyczną władzą w Polsce. Postulaty takie są trzy: 1) zrozumienie społecznej roli katolicyzmu, 2) uznanie, że jedność Kościoła Powszechnego jest dogmatem, 3) zrozumienie, że istnieje tzw. „prąd postępowy” wśród katolików polskich.

Cały artykuł pisany jest ze stanowiska ideologii tzw. „katolików postępowych”, która nie może być przyjęta przez wierzącego (nawet niezależnie od potępienia przez Stolicę Apostolską) i jako taki jest nieinteresujący. Daje mi on jednak sposobność do przypomnienia czegoś, co p. Kurzyna starannie przemilczał, a co jest niewątpliwie *pierwszym* i najważniejszym postulatem katolickim w tej sprawie: przywrócenie do władzy prawowitych Biskupów.

Wydaje mi się, że wśród Polaków za mało jest zrozumienia ważności tej sprawy. Każdy wie, że jedność Kościoła polega na jedności z Papieżem, ale mało kto zdaje sobie sprawę, że równie istotna jest jedność z prawowitym biskupem. To jest jeden z *podstawowych* dogmatów wiary katolickiej: gdzie Biskup, tam Kościół. Ten dogmat jest właśnie systematycznie przemilczany w pismach „postępowców”. Oczywiście, znacznie wygodniej jest wyznawać posłuszeństwo (mocno w dodatku ograniczone) tylko względem dalekiego Rzymu. Znacznie mniej wygodny jest Biskup na miejscu. Praktyczniej jest mieć Biskupa w więzieniu, albo wydalonego, gdy diecezją rządzi jakiś agent Partii, a ci panowie z „Kierunków” mogą robić własną teologię i własną politykę kościelną.

Tylko, że to jest, nie waham się twierdzić, zupełne odstępstwo od Wiary. Z jej stanowiska *pierwszym* warunkiem koegzystencji jest przywrócenie prawowitych biskupów z ks. Prymasem na czele.

Pan Kurzyna wiele rozprawia o ponizaniu godności katolika, o przeczeniu jedności z Rzymem itd. Ale nie potrzeba nawet myśleć ze stanowiska nadprzyrodzonego, aby zrozumieć, że konkretnie ważniejsze jest co innego. Kiedy w „Potopie” wierni Rzplitej oddziały zbierają się przed pałacem zdrajcy Radziwiłła, Wołodyjowski nie słyszy wołania o poszanowanie godności, ani nawet o uznanie króla. Poprzez kraty więzienia dolatuje jeden tylko krzyk: „Pułkowników! Pułkowników!” Genialną intuicją wyczuł Sienkiewicz pierwszą reakcję każdego zdrowego społeczeństwa, zagrożonego przez nieprzyjaciela: tą reakcją jest żądanie przywódców. Przywódcami Kościoła w Polsce są Biskupi polscy. Pierwszym warunkiem koegzystencji jest tylko wrócenie im wolności i możliwości sprawowania władzy. Bez tego nie ma o czym mówić.

Racz Pan przyjąć, Panie Redaktorze, wyrazy wysokiego szacunku.

I.M. BOCHEŃSKI, O.P.

Londyn, 4 sierpnia 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Juliusz Mieroszewski omawia na łamach Pańskiego pisma sprawę wizyty pisarzy z Polski w Londynie z okazji zjazdu Pen-Clubów i ataki jakie pojawiły się w związku z tą wizytą w londyńskim „Dzienniku Polskim”. Pozwoli Pan, że uzupełnię od siebie ten obraz wyjaśnieniem, którego nie zamierzam zamieszczać w „Dzienniku Polskim”. Pismo, które sprawę przyjąca wydane przez pisarzy z Polski sprowadza do wulgarnych określeń „zafundowania „obiadu” przez Milnikieła”, obejmując tym określeniem pisarzy tak szlachetnych i wybitnych jak Jan Parandowski i Maria Dąbrowska, nie nadaje się — jak sądzę — jako teren rzetelnej i poważnej polemiki. Mam natomiast wrażenie, że warto poinformować grono czytelników pisma poważnego i szanowanego jakim jest „Kultura”, tym bardziej, że — jak się okazuje z kontaktów z Polakami z kraju — „Kultura” jest wysoce ceniona w Polsce.

Zajmuję miejsce na łamach Pana pisma i czas czytelników „Kultury” tylko dlatego, że „Dziennik Polski” wybrał sobie moją osobę za główny cel ataku. Nie bardzo rozumiem dlaczego to uczynił, skoro „Bywalec” w swojej kronice stara się pomniejszyć mój dorobek i rangę pisząc, iż „choć dziennikarz” to jednak zapisał się w annałach literatury powieścią „Anna”, potraktowaną lekko przez „Bywalca”. Nie wstydzę się swojej kariery dziennikarskiej, ale dla informacji dodam, że zawód pisarski zacząłem książką o Josephie Conradzie wydaną w roku 1927 (pierwsze studium polskie o tym pisarzu), kontynuowałem wydaną w roku 1930 pracą o Walterze Paterze; powieścią „Ciszy Lasu” ogłoszoną w roku 1931 a przyjętą doskonale przez krytykę polską. Ślady tego uznania znaleźć można w opracowaniach literatury międzywojnia K. Czachowskiego czy J.E. Plomieniskiego i w dziesiątkach ocen i recenzji. Podobnie ma się rzecz jeżeli chodzi o moje książki angielskie wydane pod własnym nazwiskiem oraz pseudonimem, łaskawie ujawnionym przez tego samego „Bywalca” bodaj w roku 1949 kiedy „Dziennik Polski” atakował mnie jeszcze gwałtowniej.

„Bywalec” zarzuca mi odmawianie pisarzom na emigracji prawa pisania po polsku, co miałem rzekomo uczynić w roku 1947, pisząc na łamach prasy w kraju. Chciałbym tę sytuację wyjaśnić.

Nie będę tańc, że zakończenie wojny przyniosło — nie mnie jednemu — wielkie rozczarowanie środowiskiem polskim na emigracji. Dowolne oskarżanie o „zdradę” wielu ludzi, którzy szukali, nieraz rozpaczliwie, wyjścia z impasu w jakim się znaleźliśmy; roztrwonienie grosza, które uniemożliwiło powstanie pożytecznych inicjatyw (m. in. odpowiednio zaopatrzonego finansowo wydawnictwa, o co walczyła w Londynie grupa osób, wysuwając projekty takiego wydawnictwa podobnie jak i instytutu polsko-angielskiego); brak możliwości wypowiedzenia spokojnego i rzeczowego sądu; coraz wyraźniej występujący brak poważnej i odważnej myśli politycznej — te i podobne motywy sprawiły, że niejeden z nas starał się szukać rozwiązania na własną rękę. Kiedy w roku 1946 „Dziennik Polski” zaatakował pisarzy w kraju za ich postawę, pozwiliłem sobie bronić ich słowami, że kultura polska jest „ostatnią naszą linią obrony”. Z rozmów, jakie prowadziłem w Londynie z ludźmi przybyłymi z kraju starałem się wyrobić sobie sąd o sytuacji — jeżeli chodzi o odcinek pisarski, to wiedziałem, jak ważną rzeczą jest dla nich pojawianie się prac pisarzy emigracyjnych w Polsce. „Dopóki można — powiedziano mi wiosną roku 1946 — należy dla nas pisać... bo przecież to, co piszecie dociera do waszego społeczeństwa. Nie wiemy jak długo potrwa ta możliwość penetracji z Zachodu”. Te słowa, po-

dobnie jak list otrzymany z Krakowa a zawierający zdania: „dlaczego pisarze poza krajem nie mają pisać dla nas? Dlaczego mamy być jeszcze i tak karani?” — zdecydowały mnie jeżeli chodzi o zamieszczenie kilku szkiców na łamach prasy krajowej, podobnie jak wyrażenia zgody na wydanie przez prywatną spółkę wydawniczą „Awir” powieści „Anna” a przez Wielkopolską Sp. Wyd., kierowaną wtedy przez mojego starego znajomego i czło-wieka wielkiej prawości, śp. Szczepana Jeleńskiego (Bolesław Katerwa), tomowi o Anglii. Tom ten nie pojawił się, albowiem jesienią roku 1947 odebrano mu przydział papieru. Żadnych honorariów za te rzeczy nie otrzymałem zagranicą; byłem natomiast rad, że mogłem nimi pomóc moim bliskim.

Na tle mojej decyzji pisania w kraju oraz listu, jaki na wiosnę roku 1947 napisałem w „Odrodzeniu” (w replice na uwagi Ksawerego Pruszyńskiego w artykule jego „Niedługo po bocianach”), wywiązała się polemika w londyńskim „Orle Białym” oraz w biuletynie wydawanym w Szwajcarii „Pod Prąd”. Odpowiadałem na łamach „Orla Białego” i „Pod Prąd”; miałem zamiar odpowiedzieć na łamach miesięcznika „Horyzonty” (Szwajcaria), ale pismo to przestało wychodzić.

List mój w „Odrodzeniu” nie ukrywał mojego rozczarowania stosunkami na emigracji. Oceniałem w nim pesymistycznie myśl polityczną na emigracji; jeżeli chodzi o odcinek pracy pisarskiej to uważałem, że dola książki polskiej na emigracji przedstawia się bardzo źle i że istotny, masowy czytelnik znajduje się w Polsce. Uważałem dalej, że brak zaopatrzenia pisarzy polskich poza krajem — na tle braku odpowiednio wyposażonych wydawnictw — zmusi ich do pisania w obcym języku. Nie odmawiałem im prawa pisania po polsku; wyraziłem sąd, że będą zmuszeni pisać w obcym języku. Fakt, że wszystkie wybitne rzeczy polskich autorów jakie pojawiły się na emigracji pisane były albo po angielsku albo pojawiły się w przekładzie na angielski czy francuski (od książek gen. Andersa, Stanisława Mikołajczyka, gen. Bor-Komorowskiego i Z. Stypułkowskiego poprzez rzeczy Czap-skiego i Miłozza aż po twory Kuncewiczowej i Pietkiewicz), potwierdzałyby moją tezę.

Mój list w „Odrodzeniu” nie był kierowany żadną chęcią przygotowywania sobie terenu czy „kariery”. Chciałem powiedzieć — pisałem w roku 1947 na łamach „Pod Prąd” — to, co myślę o roli i znaczeniu emigracji, roli grubo — według mnie — przecenionej. Chciałem stwierdzić, że nie wszyscy Polacy na obczyźnie ulegają hysterii, która kazała jeszcze nie tak dawno nazywać „zdrajcą” każdego kto chciał jechać do Polski... Chciałem podkreślić, że są ludzie, którzy starają się patrzeć możliwie trzeźwo na tragiczny spłot wypadków, w który jesteśmy uwikłani. Przyznaję się otwarcie, że cieszę się każdym postępem w Polsce, że oceniam olbrzymi wysiłek naszego społeczeństwa... Nie rozumiem jak pisarze polscy mogą odsądzać od czci i wiary innego pisarza za to, że chce utrzymać mimo wszelkich trudności kontakt ze swoim społeczeństwem.”

Wystąpienie moje było z jednej strony ostrzeżeniem, ażeby nie liczono nadmiernie na wpływy czy wagę emigracji; z drugiej próbą powiedzenia Polakom w kraju, że problemy ich i trudności są rozumiane. Oczywiście, był to odruchowy gest pisarza, który nie ludzi się co do skromności zasięgu swoich wpływów; gest taki uważałem jednak za wskazany w atmosferze wyraźnego żalu wielu Polaków w kraju do ludzi na emigracji, że nie chcą rozumieć ich sytuacji. Ponieważ piszę na łamach pisma poważnego i szanowanego gotów jestem uznać, że wnioski zawarte w moim liście do „Odrodzenia” były sformułowane może zbyt ostro. Chodziło mi wyłącznie o porozumienie z krajem; powodowany byłem obawą, że tracimy kontakt z krajem przez brak wyobraźni i zbyt pochopne potępienie ludzi, wydarzeń i dokonań.

Jeżeli dzisiaj nadarzy się sposobność do wydawania książek w kraju, to stwierdzam otwarcie, że chciałbym aby moje rzeczy — włącznie z tomem o Anglii, który utknął w roku 1947 — mogły pojawiać się w Polsce. Zależy mi ogromnie na czytelniku polskim w Polsce; i nie zapomnę nigdy wzruszenia jakiego doznałem witając w roku ubiegłym w Wiedniu starych przyjaciół, pisarzy szlacheckich, Jana Parandowskiego i Michała Rusinka. Chciałbym, ażeby moje książki pojawiały się w Polsce; nie chcę otrzymywać za nie żadnego honorarium zagranicą, ale będę rad jeżeli honoraria te pomogą moim bliskim. Godziłbym się na wydanie moich rzeczy i bez honorarium — albowiem rozliczne listy, jakie dostaję z Polski od osób mi znanych i nieznanych oraz rozmowy jakie toczą z Polakami z kraju w rozmaitych punktach Europy, przekonują mnie o wielkiej jedności i solidarności jaka między nami istnieje. Radość powrotu do swoich czytelników jest największą zapłatą dla pisarza; zapłatą, dla której można znieść wszelkie ataki i insynuacje. Ponieważ zaś godność człowieka i pisarza polega także i na odwadze myślenia i mówienia i odwadze przyznania się do pomyłek i błędów, chętnie stwierdzam, że jeżeli moje wystąpienie w „Odrodzeniu” było przekrawione w tonie, to na pewno nie miało na celu szkoderzenia słusznej i naczelnej sprawie: porozumieniu z krajem, porozumieniu z własnym społeczeństwem.

Racz Pan przyjąć, Szanowny Panie Redaktorze, wyrazy szczerzego szacunku.

Zbigniew GRABOWSKI

London, sierpień 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

Proszę o wydrukowanie poniższego listu na łamach „Kultury”. A proszę dlatego że dotąd angażowałem się, w imię zasady wolności słowa, niejednokrotnie w obronie „Kultury” jako pisma i jako zespołu.

Zakończenie artykułu p. J. Mieroszewskiego w lipcowym numerze „Kultury” brzmi: „celem naszej polityki jest wyłącznie odzyskanie niepodległości, a nie... zagłada Związku Sowieckiego i wyniszczenie komunizmu na wszystkich ładach ziemi”.

Uważam że postawieniem na swoich łamach takiej tezy „Kultura” jako zespół wyłącza się ze społeczności ludzi, walczących o prawdziwą niepodległość Polski i wolność człowieka, ujarzmionego przez imperializm sowiecki. Nie wchodzę w to, czy teza ta postawiona jest ze względów taktycznych, czy Pan z zasady wyrzeka się walki z komunizmem i Związkiem Sowieckim. W każdym wypadku jest to oświadczenie bałamutne, a sprzeczne z celami naszej emigracji politycznej.

Oświadczam że dopóki Pan tezy takiej się nie wyrzeknie jawnie, jak jawnie ją Pan wydrukował, będę wszystkimi mi dostępnymi środkami demokratycznymi walczył o wyłączenie pańskiego pisma spośród pism wyrażających opinię emigracji.

Dziękuję Panu za dotychczasowe bezpłatne przesyłanie mi „Kultury” — na moją zresztą niegdyś wyrażoną prośbę.

Z poważaniem

Janusz KOWALEWSKI

London, 8. 8. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze.

W ciekawym a rzeczowym artykule p. E. Hinterhoffa „Armia Rokossowskiego” („Kultura” Nr 7-8 z 1956) znalazłem dwie nieścisłości.

Pierwsza to pisownia nazwiska gen. dyw. Juliusza Rómmela, który zawsze pisał swoje nazwisko przez „o z kreską”.

Druga nieścisłość to twierdzenie autora, że gen. dyw. J. Rómmel „zakończył swoją karierę w 1939 roku jako dowódca obrony Warszawy”.

Jako były szef sztabu obrony Warszawy stwierdzam, że gen. dyw. J. Rómmel nie był dowódcą obrony Warszawy. Dowódcą obrony Warszawy od dnia 3 września 1939 roku aż do dnia kapitulacji był gen. brg. Walerian Czuma.

Gen. dyw. J. Rómmel był natomiast dowódcą armii Warszawa i z podobieństwa nazw tych dwu dowództw, stałe nieporozumienia w prasie. Gen. dyw. J. Rómmel po klęsce armii Łódź, której był dowódcą, został mianowany przez N.D. w dniu 7 lub 8 września dowódcą armii Warszawa. W skład tej armii wchodziły: zgrupowanie Modlina pod dowództwem gen. Thommé, zgrupowanie gen. brg. W. Andersa i zgrupowanie obrony Warszawy pod gen. brg. W. Czumą.

Z czasem gdy obszar operacyjny armii Warszawa zacieśnił się do obszaru stolicy i twierdzy modlińskiej, gen. dyw. J. Rómmel opuścił dowództwo armii Warszawa i w dniu 18 września przeniósł się wraz ze swym szefem sztabu płk. dypl. A. Prąglowskim i adiutantem por. Nowickim do dowództwa obrony Warszawy.

Zachowując w pełni swoje stanowisko dowódcy armii Warszawa, gen. dyw. J. Rómmel w pełnej zgodzie i harmonii z gen. brg. W. Czumą, kierowali wspólnie dalszym przebiegiem obrony aż do kapitulacji, którą zdecydował gen. dyw. J. Rómmel na wniosek dowódcy obrony.

W końcu, mam nadzieję, że autor przedwcześnie uśmiercił gen. Rómmela.

Łączę wyrazy poważania.

T. TOMASZEWSKI, płk.

26. 7. 56.

Szanowny Panie Redaktorze!

Jestem wdzięczny panu A. Kozłowskiemu za jego artykuł o lwowskim bałaku, umieszczony w Nr. 6/104 „Kultury”. Jak się okazuje, wychowało nas obu to samo c.k. IV. gimnazjum we Lwowie i obaj znamy i jednakowo Kochamy naszą lwowską gwarę.

Gwara ta, droga każdemu polskiemu sercu, umarła i już nigdy nie odżyje. Kiedyś, być może, wbrew wszelkim logicznym przewidywaniom, wrócimy do Lwowa, ale jej już tam nie zastaniemy. To, co powstawało przez kilkadziesiąt lat, nie da się stworzyć z powrotem w ciągu jednego pokolenia ludzkiego. Wyrażając się obrazowo, powiedziałbym że nasz kochany bałak leży teraz w trumnie i że jeszcze jest czas zrobić maskę pośmiertną a nawet fotografię zmarłego. mimo że już mrok zapomnienia zaczyna zwolna zalegać dom żałoby.

Tak, jeszcze jest czas, ale nie dużo go już zostało. Sądzę że byłoby wskazane, aby się zebrałi ludzie kompetentni i dobrej woli i utrwaliłi z bałaku to, co jeszcze się da uchwyć. Za kompetentnych uważam jednak tylko tych, którzy gwara lwowską znają dokładnie i bliżej się nią zajmowali. Nie wystarczy tutaj znajomość kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu słów. Niestety, niewielu już takich znawców pozostało przy życiu. Umarł już świetny „ekspert” bałaku prof. Kubik z lwowskiej Szkoły Realnej. Nie wiem, czy jeszcze żyje poeta Ludwik Eminowicz. Ja sam miałem przed wojną dość dokładnie opracowany słownik gwary lwowskiej wraz z wymową i pewnego rodzaju „gramatyką”. Zabrał mi to wszystko sowiecki NKWD, po moim aresztowaniu. Część tego materiału zdołałem odtworzyć z pamięci tutaj w Australii. Trzeba by też poszukać po znajomych. Wiele na przykład mógłby na ten temat powiedzieć jeden z moich przyjaciół, który, jako chłopak, był autentycznym gazeciarem lwowskim i przez kilka lat sprzedawał „Wiek Nowy” pod Kawiarnią Wiedeńską. Staczał się on potem coraz niżej i tuż przed ostatnią wojną został — docentem Uniwersytetu Jana Kazimierza. Sądzę że mógłbym go odszukać, o ile jeszcze żyje.

Takie „zakonserwowanie” gwary lwowskiej byłoby, w każdym razie, niezbyt łatwym przedsięwzięciem. Na terenie Lwowa istniały i wzajemnie o siebie się zębały: zwykle wulgaryzmy języka polskiego, archaizmy polskie, rdzennie lwowski bałak oraz stojąca nieco na uboczu i mająca raczej charakter międzynarodowy gwara złodziejska. Pisarze nasi, na ogół, o ile chodzi o Lwów, nie rozróżniają między tymi pojęciami. Niedawno spotkałem się z wypadkiem, gdzie czysto polski archaizm językowy „mac” zaliczono do gwary złodziejskiej.

Należy również wspomnieć o wymowie czyli tak zwanym akcencie lwowskim, którym lwowianie zabarwiali nawet język literacki. Wszystko to trzeba by zebrać, uporządkować i podzielić suum cuique.

Z góry przewiduję, że między osobami, które się tej pracy podejmą, będą liczne spory. Ja na przykład nie zgodziłbym się z „chojrakiem”, p. Kozłowskiego. O ile mi wiadomo, wyraz ten nie należy do gwary lwowskiej. Pochodzi on od złodziejskiego „kojdy” i przyszedł do Lwowa już po roku 1918 z Kongresówki. Bałak lwowski miał na określenie człowieka butnego i zarozumiałego nazwę „kozak” (wymawiaj: k(u)ozak) a pytanie: „s kim ty kozak?” było zawsze ostatnim powiedzeniem, poprzedzającym rękoczyn. Synonimem do „kozaka” był „fifak”.

Również „chabal” nie oznaczał jakiegokolwiek mężczyzny, tylko przyjaciela-kochanka (Mańka ma chabala). Ten „chabal”, rzecz dziwna, przybył na stały pobyt do Lwowa z dalekiego... Meksyku, gdzie się nazywał „caballero”. Prof. Kubik, w rozmowie ze mną, postawił taką hipotezę: w pierwszych latach byłego stulecia jedna z mniejszych lwowskich firm wydawniczych, bodaj czy nie Landau, drukowała dla ludku lwowskiego powieść zeszytową pt. „Leśna różyczka czyli tajemnica zebra”. Był to świetny interes, gdy się zważy że zeszyt, obejmujący jeden arkusz druku, kosztował w owych czasach niezbyt lekceważenia godną kwotę 6 a potem 10 halerzy. A było ich ponad 150. Co tydzień ukazywał się jeden zeszyt. Interes był tym bardziej dochodowy że wydawca lwowski „z nieznanich powodów” drukował tę powieść bez podania autora i pod zmienionym tytułem. Prawdziwym, pierwotnym jej tytułem był „Ród Rodriganda” a autorem — Karol May. Zeszyty te pożerała łapczywie i nagminnie cała suteryna lwowska. Tworzyły się grupki ludzi. Jedno czytało na głos a reszta z nabożeństwem słuchała. Nasze Kasie, Marysie i Antoniowe zaplakały się. Akcja powieści toczyła się w Meksyku i w dialogach często przychodziło słowo „caballero”. I z tego powstał lwowski „chabal”.

„Ćmaga” (wódka) przywędrowała do Lwowa stosunkowo późno, bo dopiero w roku 1917. Z Legionów Piłsudskiego. Bałak na wódkę miał nazwę „hara” (czyżby od słowa: arak?)...

„...a tam znowu dwa batiary
tak napili si już hary
zy czypili si za bary
kżyk kulo-nich, gwar...”

Złoty wiek bałaku lwowskiego przypada na lata 1900-1914. W niepodległej Polsce nasiąkł on powoli lokalizmami z innych dzielnic, zwłaszcza z Warszawy i — chylił się ku upadkowi.

Tak sobie marzę że jeżeli znalazły się fundusze na wydanie pięknej książki Rosy Bailly, opisującej obronę Lwowa, czy nie dałoby się skąd „wysmytrać barówki” na konserwację takiego cennego zabytku językowego, jakim, bez wątpienia, jest bałak lwowski.

Lwowskie batiary, rozprószone po całym świecie, wymierają szybko.

Dzisiejsze życie polskie stwarza tyle problemów, bez porównania ważniejszych i bardziej naglących niż losy gwary lwowskiej. A ona uśmiecha się do nas blade i zwolna oddala się w krainę zapomnienia.

Chciałoby się czasem pożyczyc sloganu Zygmunta Nowakowskiego i krzyknąć z rozpaczą: *Ratujmy bałak lwowski!*

Z poważaniem

Ludwik KRUSZELNICKI,
14, Hillcrest Str.
Wollongong N.S.W.
Australia

New York, 23 lipca 1956.

Szanowny Panie Redaktorze,

P. Andrzej Vincenz w swoim doskonałym artykule „O tabu językowym” („Kultura”, lipiec 1956) wykazuje tak całkowite opanowanie tematu, że chyba w jednym wypadku zostawił musiał pułapkę na pedantów i amatorów szukania dziury w całym. Chodzi mi o to, że p. Vincenz powiada, iż nazwa eufemistyczna niedźwiedzia „misio” jest zdrobnieniem imienia własnego Michał. Rzecz zgola nieprawdopodobna. Michał jest imieniem hebrajskim (Mi-ka-el — ktoś jak Bóg) i znalazł się w języku polskim w związku z przyjęciem przez nas chrześcijaństwa w X wieku. Z tego samego źródła przyszły do języka polskiego takie imiona własne jak Tadeusz, Józef, Jan i inne. Trudno przypuścić żeby miś znalazł się w języku polskim dopiero od czasu przyjęcia chrześcijaństwa. Nawiasem powiedziawszy, miś jest bardziej zachodnio-polski niż wschodnio-polski, a kult św. Michała, Archanioła i niebieskiego Hetmana, przyszedł do Polski z Rusi Południowej, to znaczy obecnej Ukrainy. Czy nazwa miś nie ma czasem coś wspólnego z rosyjskim słowem „miech”, to znaczy futro? A może z imieniem Mieszko? Wśród pierwotnych plemion imiona często brane są ze świata zwierzęcego. W poganińskiej Polsce na przykład Jastrzębce, Wilczkowie, Wężyki. Może by jeszcze ktoś odezwał się na ten temat, np. prof. St. Westfal?

Z wyrazami prawdziwego poważania

M.E. ROJEK

New York, 8.6.1956.

Szanowny Panie Redaktorze.

W związku z listem niejakiego p. A. Korbuta w „Kulturze”, Nr 3/101, o Bierucie w Mińsku podczas okupacji niemieckiej, oświadczam, że żadnej osoby o nazwisku A. Korbut nigdy nie znałem i żadnych rozmów o „poręczycielstwach” za Bieruta ani z nim, ani z kim innym nigdy nie miałem i nie mogłem mieć, bo to są rzeczy całkiem zmyślone.

W ogóle cała treść listu, poza samym faktem przebywania Bieruta w Mińsku i jego akcesu do współpracy z Niemcami, jest najczystszy utworem wyobraźni jego autora.

Łączę wyrazy poważania

W. TUMASZ

15. 6. 1956.

Szanowny Panie Redaktorze !

Do utworu mojego pt. „Mielizny”, zamieszczonego w numerze 5/103 br. wkradła się pomyłka. Zamiast „wirują” w drugim wierszu drugiej zwrotki, powinno być „wirujemy”. Brzmienie całego drugiego wiersza według poprawnej wersji przesłanego Sz. Redakcji maszynopisu przedstawia się następująco:

„... I płytko wirujemy w nieboskłon pamięci...”

Proszę o umieszczenie powyższego sprostowania, ze względu na gramatyczne konsekwencje, które spowodowane zostały wyżej wymienionym odchyleniem od przesłanego oryginału.

Proszę przyjąć wyrazy prawdziwego poważania.

Zdzisław MAREK

SPROSTOWANIE

W artykule p. I. Łysiak Rudnickiego pt. „Nowy Perejasław” („Kultura” Nr 6/104, str. 89, wiersz 6-ty od dołu) wypadła część tekstu. Zniekształcone zdanie powinno brzmieć:

„Na przykład bez zachodnich Kresów (Przeszowszczyzny, Łemkowszczyzny albo Ziemi Chełmskiej) można sobie doskonale wyobrazić istnienie niezależnej Ukrainy”.

Londyński korespondent „Kultury”: Juliusz MIEROSZEWSKI,
11 Gainsborough Road, London, W.4. — Telefon: CH1swick 1860.

Cena ogłoszeń: cała strona 20.000 frs., 1/2 strony 10.000 frs.
(w tekście + 50%; okładka + 100%).

Wydawca: Edition et Librairie „LIBELLA”,
12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4^e)

Directeur-gérant: Mme Christiane Karasiewicz.
Dépôt légal: 3^e Trimestre 1956.



PRZEDSTAWICIELSTWA

	Egz. poj.	Prenumerata	
		½-roczna	Roczna
AFRYKA POŁUDNIOWA: Janusz Kruszyński, 54, 15 th. St., Parkhurst, Johannesburg	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
ARGENTYNA: Tadeusz Dąbrowski, „Libreria Polaca”, Serrano 2076, Buenos Aires	17 peso	102 peso	204 peso
AUSTRALIA: „Vistula” (Australia) PTY Ltd., Daking House, Rawson Place, Sydney	5 sh. (a.)	£.A.1.7.6.	£.A.2.12.6.
BELGIA I KONGO BELG.: Janina Korab Brzozowska-Csaky, 19, Square Sainctelette, app. 2, Bruxelles, Nr konta poczt. 7315-20.	30 frb.	145 frb.	260 frb.
BRAZYLIA: Prenumeraty przyjmują: Julia Barcińska, r. Itaipava 101 (J. Botanico), Rio de Janeiro; Zofia Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Paraná; Hanna Lekszycka, r. Guiará 139, vila Pompeia, Sao Paulo	40 cruz.	200 cruz	380 cruz.
BRYT. AFRYKA WSCH. (Kenya, Tanganyka, Uganda), Roman Królikowski, POBOX 5979, Nairobi, Kenya	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
FRANCJA: „Libella”, 12, rue St-Louis-en-l'Île, Paris (4 ^e)	180 fr.	900 fr.	1.800 fr.
HOLANDIA: T. Szpilczyński, Stadhouderskade 60 A, Amsterdam-Z, Tel.: 716080. Nr konta pocztowego: 13500 — t.b.v.S. 6538	2 fl. hol.	12 fl. hol.	24 fl. hol.
KANADA: K. Krakowska, 3445 Marlowe Ave., N.D. de G., Montreal/Que., Tel.: HU 8-5224; St. L. Lemanski, 472 Aikins St., Winnipeg/Man.; H. B. Radomski, 107, Rose Park Drive, Toronto/Ont. Tel. HY-0829; St. Zybala, 1089 Queen St. W., Toronto/Ont.; „Związkowiec”, 1475 Queen St. W., Toronto 3, Ont., Tel. LE 1-2491.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
MEKSYK: Victor Stanislawski, Apartado Postal 294, Culiacan, Sin.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
NIEMCY: „Ostatnie Wiadomości”, Gendarmerie Kaserne, Mannheim-Schoenau; St. Mikiciuk, (13b) München 45, Gablonzerstr. 7/1.	2,50 DM	13,50 DM	25 DM
NORWEGIA: Br. Lubiński, Moss, Kongesgt. 2.	3 sh. 9 d.	20 sh.	40 sh.
SZWAJCARIA: Maria Wasung, 2, rue Thalberg, Genève. Tel.: 32-32-92. Nr konta p.: I.14431	2,50 fr. s.	13,50 fr. s.	25,00 fr. s.
SZWECJA: Red. Norbert Zaba, Kallskärsgatan 3/IV, Stockholm		18 kor.	33 kor.
U.S.A.: Polish Amer. Book Co, 1136 Milwaukee Ave., Chicago 22, Ill.; W. Bieńkowski, „Gryf Publ.”, 296 Sheridan Av., Albany, N.Y.; L. Dudarew Ossetyński, 28471 Ventura Blvd, Agoura, California; S. Dziarczykowski, 3216 W. 15 St., Los Angeles 19, California; M. K. Dziewanowski, 51 Reservoir St., Cambridge 38, Mass.; T. Konopacki, 1356 E. 86 St., Cleveland 6, Ohio. Tel. SW-1-2040; Ch. M. Kretowicz, 2109 Robinwood Ave, Toledo 2, Ohio; A. Pleszczyński. 2025 Monterey St. Santa Barbara, Calif.; K. Trojanowski, 17932 Van Dyke, Detroit 34 Mich. S. Dobczynski, Alma Shipping Co, 121 St. Marks Pl., New York 9, N.Y. The Polish Book Importing Co, Inc., 38 Union Sq., New York 3, N.Y.	75 cent.	4 dol.	6 dol.
W. BRYTANIA: „Gryf” Publication Ltd., 169-171, Battersea Church Road, London, S.W.11.	3 sh. 9 d.	21 sh.	42 sh.
WŁOCHY: Ewa WIERUSZ-Kowalska, Corso Trieste 130/5, Roma, tel. 859632.	300 lir	1.750 lir	3.000 lir

W krajach niewymienionych prenumerata jak we Francji, plus koszty porta 180 frs półrocznie i 360 frs rocznie. Przesyłka pojedynczego numeru: 30 frs. Należności we Francji wpłacać można przekazem pocztowym na adres: Jerzy GIEDROYC, 91, Avenue de Poissy, Maisons-Laffitte (S-et-O.)

Biblioteka "Kultury"

TOM XIV

RAYMOND ARON

KONIEC WIEKU IDEOLOGII

Tytuł oryginału: *L'OPIUM DES INTELLECTUELS*

Z przedmową autora dla czytelnika polskiego.

Czy ewolucja świata komunistycznego idzie w kierunku pragmatyzmu oddalając się od ideologii?

Czym jest wyzwolenie „rzeczywiste” proletariatu a czym wyzwolenie ideowe?

Jakie realia społeczne i historyczne wpływają na ideologie inteligencji w różnych krajach?

Cena egzemplarza 750 fr. (15 sh., \$2,25)

Nowość

TOM XV - Biblioteki "Kultury"

GRAHAM GREENE

MOC I CHWAŁA

w przekładzie Bolesława Taborskiego

Największa powieść Graham Greene'a rozgrywa się w Meksyku, w okresie prześladowań religijnych. Na tle konfliktu polityczno-religijnego autor ukazuje prawdziwe oblicze świętości, kontrastując słabość człowieka z wielkością jego powołania.

Książka Graham Greene'a poruszając najważniejszą problematykę naszych czasów — walkę komunizmu z chrześcijaństwem — nabiera specjalnej aktualności dla czytelnika polskiego. Znajdzie on w niej odpowiedź na szereg problemów które mu stawia rzeczywistość krajowa i pozwoli mu przede wszystkim ocenić i osądzić tych, którzy mu próbują wytłumaczyć możliwość współzycia marksizmu z katolicyzmem.

Cena egz. 650 frs (13 sh., 2 dol.)

M. A.
4